

**ANDRE NORTON
MARION ZIMMER BRADLEY
JULIAN MAY**

CZARNE TRILLIUM

**PRZEŁOŻYŁA EWA WITECKA
TYTUŁ ORYGINAŁU: BLACK TRILLIUM**

*Dla Uwe Luserke
Która zasiała ziarno Czarnego Trillium*

PROLOG

Z KRONIKI LAMPIANA ZMARŁEGO UCZONEGO Z LABORNOKU

W roku osiemsetnym po tym, jak Ruwendianie przybyli, żeby rządzić moczarami zwanymi Błotnym Labiryntem (nie w pełni jednak im się to udało, gdyż nigdy nie zapanowali nad niepoprawnymi Odmieńcami), legenda i historia odnotowały jedną z wielkich przemian, które co pewien czas zmieniają oblicze świata.

Cywilizowane narody Półwyspu — a szczególnie my, Laboraokowie, sąsiedzi Ruwendy — uważały tę krainę błot za przysparzającą goryczy, rozczarowań i kłopotów prowincję, która istniała tylko po to, by tkwić jak cierń w ciele energiczniejszych, bardziej postępowych ludów. Ruwenda nie była właściwie zorganizowanym królestwem, nie zdołała bowiem narzucić zwierzchnictwa tubylczym plemionom żyjącym w obrębie jej granic. Co gorsza, władca tej krainy łaskawie pozwolił na istnienie enklaw bezprawia zamieszkanych przez tak zwanych Odmieńców, często z krzywdą dla swoich prawowitych poddanych oraz uszczerbkiem dla pokoju i ładu w królestwie.

Z tych wędrujących po bagnach tubylczych plemion mali Nyssomu i blisko z nimi spokrewnieni, ale bardziej wyniośli Uisgu (wyraźnie nie należący do rodzaju ludzkiego i dlatego skazani przez naturę na służbę u lepszych od siebie) byli traktowani zarówno przez urzędników królewskich, jak i przez kupców Ruwendy jak równe ludziom istoty, chociaż nigdy nie żądano od nich złożenia przysięgi lennej. W rzeczy samej niektórzy Nyssomu często odwiedzali słynną ruwendiańską Cytadelę, a nawet kilka tych nieokrzesanych istot przyjęto do królewskiej służby, i to w wysokiej randze!

Dwa inne plemiona Odmieńców — kochający góry Vispi i na wpół ucywilizowani Wywilowie z południowych lasów deszczowych, choć niechętnie nastawione do rodzaju ludzkiego, zdobywały się jednak na regularny handel z ruwendiańskimi kupcami. Ludzie rzadko spotykali mieszkających w dżungli, widmowych Glismaków, których terytoria graniczyły z ziemiami Wywilów. Ci złośliwi dzikusci uwielbiali mordować swoich sąsiadów — Odmieńców. Największe plemię Odmieńców, ohydni Skritekowie, zwani też Topielcami, licznie zamieszkiwali tereny bagienne, zarówno rozległe, śmierdzące moczary położone na południe od królewskiej Cytadeli, jak i Cierniste Piekło na północy Ruwendy. Wszyscy wiedzieli, że te demony z Błotnego Labiryntu napadały na kupieckie karawany i na izolowane ludzkie zamki i zagrody, i od razu topiły swoje ofiary, albo najpierw je brutalnie torturowały. A przecież król po królu wstępował na tron Ruwendy nie podejmując żadnych prób uwolnienia kraju od tego zagrożenia.

Szeptano po kątach, że bagienna zgnilizna osłabiła umysły i ciała człowieczych mieszkańców Ruwendy. Ich lekkomyślnym władcom całkowicie obca była prawdziwie feudalna dyscyplina. Za rządów uczonego, ale upartego i politycznie krótkowzrocznego Kraina III, stało się rzeczą oczywistą, że już wkrótce będzie trzeba użyć środków bardziej niż dotychczasowe oświeconych i postępowych dla uzdrowienia zaognionych stosunków z sąsiednimi narodami. Nasze wielkie królestwo Labornoku zmierzało do tego od lat.

Na swoje nieszczęście Labornok odczuwał brak tego wszystkiego, co nieudolni sąsiedzi mogli mu sprzedać. Ponieważ już dawno wykarczowaliśmy nasze bory, zamieniając je na pola uprawne, byliśmy uzależnieni od ruwendiańskich lasów deszczowych jako źródła dostaw drewna dla podtrzymania naszego handlu morskiego. Potrzebowaliśmy też szlachetnych gatunków drewna dla ozdobienia i wyposażenia wspaniałych gmachów Derorguili. Na domiar złego, dziwnym kaprysem natury, labornockie zbocza nieprzebytych Gór Ohogan były całkowicie pozbawione pożytecznych surowców, podczas gdy po ruwendiańskiej stronie kryły się pokłady złota i platyny oraz wiele rodzajów kamieni szlachetnych. Te cenne metale i

kryształy, wyflukiwane przez wodę i osadzone po brzegach potoków, zbierali Odmieńcy z rasy Vispi, którzy sprzedawali je Uisgu, ci zaś człowieczym mieszkańcom Ruwendy. Innymi poszukiwanymi towarami z tego przewrotnego małego królestwa były zioła lecznicze, przyprawy i korzenie, futra worramów i skóry fedoków oraz niezwykle starożytne przedmioty, które Odmieńcy znajdowali w zrujnowanych miastach położonych w najbardziej niedostępnych zakątkach Krainy Błot.

Nawet w najlepszych czasach handel pomiędzy Labornokiem i Ruwendą wywoływał nasze rozdrażnienie i gniew, czasami bywał też zajęciem zgoła niebezpiecznym. Wielu naszych sławnych królów gryząc wąsy z wściekłości nad jakimś zuchwałym postępkim Ruwendian, żądało od swych generałów opracowania planu ich podboju. Trudno jednakże najechać kraj, do którego jest tylko jedno dojście — stroma i wąska Przełęcz Vispir w Górach Ohogan, strzeżona przez dobrze rozlokowane ruwendiańskie forty. Smutnej pamięci labornoccy królowie, którzy podjęli taką próbę, nie wrócili żywi.

Ocaleli żołnierze opowiadali o straszliwych mroźnych mgłach, trąbach powietrznych, z których zda się spoglądały ze złością nieczłowiecze oczy, burzach ze śniegiem, deszczem i gradem, potwornych kamiennych lawinach, dziesiątkujących armię morowych zarazach oraz innych nieszczęściach, które spadały na najeźdźców. Wydawało się, że stawiały im opór jakieś nadprzyrodzone siły. A jeśli nawet zdołali zdobyć strzegące przełęczy strażnice, grząskie błota na ich zapleczu stanowiły jeszcze groźniejszą przeszkodę dla naszej armii inwazyjnej.

I każdy labornocki kupiec dobrze o tym wiedział.

Ta gildia zuchwałych, przedsiębiorczych kupców, przekazujących sobie z ojca na syna koncesje handlowe i jakieś chroniące życie zaklęcia, skupiała tylko tych obywateli naszego królestwa, którzy znali tajemną drogę do serca Ruwendy. Niejeden labornocki dowódca, rozwścieczony daremnymi próbami uzyskania wyraźnych wskazówek lub użytecznej mapy od niechętnych do współpracy kupców, oskarżał ich o używanie czarnej magii zamykającej im usta i uniemożliwiającej mówienie podczas przesłuchań. W końcu drogę tę odnalazł za pomocą swojej sztuki potężny czarodziej Orogastus, o którym więcej dalej. Zanim to jednak nastąpiło, kupcy dobrze strzegli swojej tajemnicy i nie tylko mieli monopol na handel z Ruwendą, ale i niemałe wpływy polityczne.

Typowa karawana, organizowana przez czterech kupców, była mała i składała się z nie więcej niż dwudziestu czterech wozów ciągniętych przez volumniale i około pięćdziesięciu ludzi. Podawszy dowódcom ruwendiańskich strażnic pewne im tylko znane hasła, kupcy prowadzili karawanę do Krainy Błot nieoznaczoną i zdradziecką górską drogą. Tylko w kilku odizolowanych miejscach pomiędzy górami granicznymi a odległą od nich o dwieście mil ruwendiańską Cytadelą napotykali błogosławiony, twardy grunt. Największa połać suchego łądu, położona na wschód od Drogi Handlowej, nazywała się Krainą Dyleks, gdzie na polderach — odgradzonych groblami i osuszonych obszarach — znajdowały się pola uprawne, pastwiska i rozrzucone z rzadka miasta. Virk, największe z owych miast, celował w wytapianiu rud dostarczanych przez Odmieńców — Uisgu albo Nyssomu — i był drugim co do wielkości ruwendiańskim ośrodkiem handlu kamieniami szlachetnymi i cennymi metalami. Znacznie więcej tych transakcji zawierano w Cytadeli, stolicy Ruwendy, przycupniętej na skalnym wzniesieniu w centrum Błotnego Labiryntu.

W Cytadeli kupcy płacili królewskie myto, a przed odjazdem musieli też zapłacić różnej wysokości składowe od przywiezionych towarów, co było jednym z punktów zapalnych w stosunkach Ruwendy z Labornokiem. Dopiero wtedy mogli bez przeszkód sprzedawać towary na wielkim jarmarku Cytadeli, a następnie nabywać artykuły pierwszej potrzeby, jakimi były minerały lub drewno. To ostatnie ruwendiańscy agenci otrzymywali od mieszkającego w lasach plemienia Wywilów. Kupcy poszukujący bardziej luksusowych towarów płynęli ruwendiańską płaskodenną łodzią jakieś sto mil w górę Mutaru do miejsca, w którym rzeka ta

łączy się z Visparem. Leży tam zrujnowane miasto Trevista, na którego placach odbywają się słynne jarmarki Odmieńców. Odbywają się wyłącznie podczas pory suchej — podróż bagiennymi drogami wodnymi jest niemożliwa, gdy znad Morza Południowego nadciągają monsuny. Wtedy Odmieńcy odważają się wędrować po Błotnym Labiryncie, używając tylko sobie znanych od wieków sposobów.

Trevista pozostaje jedną z wielkich tajemnic naszego Półwyspu. Jest niewiarygodnie stara i niebywale piękna, nawet w obecnym, opłakanym stanie. Labirynt kanałów, rozpadające się mosty i majestatyczne, choć zrujnowane, budowle porośnięte są obficie leśnymi kwiatami. Resztki oryginalnego planu miasta pozwalają dojrzeć, iż budowniczości Trevisty posiadali doświadczenie i techniczne mistrzostwo znacznie przewyższające najwyżej rozwinięte cywilizacje Półwyspu.

Znawcy utrzymują, że Ruwenda była niegdyś wielkim, utworzonym przez lodowiec jeziorem, usianym wyspami, które obecnie są tylko pagórkami wznoszącymi się na moczarach. Na wielu stoją podobne do Trevisty ruiny. Nawet Odmieńcy niewiele wiedzą o tych starożytnych miastach. Mówią tylko, że zbudowali je Zaginieni i że istniały, kiedy ich przodkowie przybyli do krainy bagien. Powiadają też, że ruwendiańską Cytadela, prawdziwa góra wzniesiona z połączonych w skomplikowany system murów, bastionów, baszt, wież i gmachów, miała być siedzibą owych władców Półwyspu.

Bardziej odizolowane ruiny, dostępne tylko dla tubylców, są źródłem najbardziej poszukiwanych towarów — starożytnych dzieł sztuki i tajemniczych miniaturowych mechanizmów. Kupowali je po bardzo wysokich cenach nie tylko kolekcjonerzy z Labornoku, lecz także niedoszli badacze nauk tajemnych z najdalszych krańców znanego świata. Ten handel, z powodów, które później staną się zrozumiałe, podupadł, gdy książę Voltrik odziedziczył tron Labornoku i rozpoczął przygotowania do podboju naszego niewielkiego, acz nieznośnego południowego sąsiada.

Voltrik musiał długo czekać na koronę, ponieważ jego stryj, król Sporikar, przekroczył znacznie owe sto lat, których dożywają zwykle mieszkańcy Półwyspu. Voltrik skracał sobie czas oczekiwania na planach zdobycia jeszcze jednej korony i podróży po świecie. Z jednej z takich wypraw do ziem leżących na pomoc od Raktum wrócił z nowym doradcą, który miał mu dostarczyć kluczy do Ruwendy — czarownikiem Orogastusem.

Voltrik miał wtedy trzydzieści osiem lat. Był niezwykle silnym mężczyzną, czarnobrodym i przystojnym, o rysach jak wykutych z kamienia i nieobliczalnym usposobieniu. Ukochana pierwsza żona Voltrika, księżniczka Janeel, zmarła wydając na świat Antara, jego jedyne go syna. Druga małżonka, Shonda, zginęła w podejrzanych okolicznościach podczas łowów na lothoka, ponieważ nie zaszła w ciążę po dziesięciu latach małżeństwa. Frywolna księżniczka Narice, jego trzecia żona, poniosła karę za zdradę, gdyż próbowała uciec z koniuszym. Narice i jej kochanek zostali wsadzeni do wory z cierniowego runa i spaleni żywcem.

Czarownik Orogastus został głównym doradcą Voltrika i po krótkim już czasie budził szacunek i lęk w całym Labornoku. To on nalegał, żeby książę zaczął z czwartym małżeństwem i nauczył się cierpliwości, jeśli chce spełnienia swych wielkich ambicji. Przewrotny czarodziej nie zdradził jednak porywczemu księciu, że będzie musiał czekać jeszcze siedemnaście lat na śmierć starego króla Sporikara.

Tymczasem Orogastus zbudował twierdzę w górach Ohogan wysoko na pomocnym zboczu góry Brom, i zamieszkał tam, żeby doskonalić swoją sztukę. Wszystkie niezwykle przedmioty kupione od Odmieńców przez labornockich kupców trafiały teraz bezpośrednio do jego rąk. Ujrzał bowiem w wizji, że za pośrednictwem tych rzeczy można zdobyć wielką moc. Potem wziął sobie trzech pomocników, ponure indywidua, nazwane później jego Głosami. Byli akolitami i wysłannikami czarownika, a obawiano się ich prawie tak jak samego Orogastusa.

Po przeciwnej stronie Gór Ohogan, na ruwendiańskim podgórzu, gdzie powolniały wartkie dotąd hurty Notharu, a jego koryto się rozszerzało, znajdowała się siedziba innego badacza spraw tajemnych, Arcymagini Binah, zwanej też Białą Damą, która od niepamiętnych czasów mieszkała w ruinach Noth, jednego ze starożytnych miast Zaginionego Ludu. Była żywą legendą dla Ruwendian, gdyż zwykli ludzie nigdy jej nie oglądali. Mimo to uparcie wzywali ją w ciężkich czasach i czcili jako Strażniczkę swojej krainy.

Tylko Odmieńcy i władcy Ruwendy znali prawdę: to życzliwe ludziom czary Binah, a nie trudny teren, fortyfikacje, surowy klimat czy groźby natury strzegły bezpieczeństwa Błotnego Labiryntu przed najeźdźcami. Jednakże brzemień starości obciąża zarówno władców mocy, jak i zwykłych śmiertelników. Za rządów króla Kraina III Binah coraz trudniej było utrzymywać niewykrywalne zabezpieczenia, które umieszciała wokół Ruwendy. W miarę jak słabły jej siły, rosła potęga Orogastusa.

Nadszedł wreszcie czas, gdy ruwendiańska królowa Kalanthe po długoletniej bezpłodności zległszy w połogu utraty życia była bliska. Król Krain ukląkł obok żony i wezwał prawie zapomniane moce, których imion nie wymówił od dzieciństwa.

Ż gęstych, nieprzeniknionych ciemności wiszących nad wielkim bagnem nadleciał ptak tak ogromny, że rozpostartymi skrzydłami mógłby zasłonić cały dach Cytadeli. Bez wątpienia był to jeden ze strasznych lammergeierów żyjących wśród niedostępnych szczytów Gór Ohogan. Zsiadła z niego Arcymagini Binah. Na jej widok zarówno straż, jak i służba padli z lękiem na kolana. Binah wyglądała jak zwykła kobieta w starszym wieku, w obszytej srebrem białej opończy, która przy każdym poruszeniu przybierała niebieską barwę cieni padających na śnieg. Miała jednak w sobie coś, co odbierało mowę obecnym. Nikt nie odważyłby się Binah powstrzymać, gdy śpieszyła do łóża królowej.

Otoczające Kalanthe dworki i służebne płakały, wzdychały i modliły się głośno. Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, że małżonka króla Kraina nie zdoła wydać na świat nowego życia, które walczyło o istnienie w jej łonie i było bliskie śmierci. Jej piękne brunatne włosy ściemniały od potu i lepiły się do skóry. Ścisnęła rękę króla tak mocno jak tonący linę.

Podszedłszy bliżej, Arcymagini powiedziała:

— Pokój z tobą. Wszystko będzie dobrze. Kalanthe, droga córko, spójrz na mnie.

Królowa otworzyła szeroko oczy i przestała jęczeć. Zrozpaczony Krain nie chciał jej opuścić, ale lekki gest Arcymagini napełnił go nadzieją. Cofnął się więc, ruchem ręki nakazując dworkom i służebnym zrobić miejsce dla nowo przybyłej.

Królewska położna, kobieta—Odmieniec imieniem Immu, stała z czarą pełną wywaru z ziół, którego królowa nie chciała wypić mimo namawiania. Arcymagini Binah gestem nakazała małej, nieczłowieczej niewieście podejść bliżej i unieść wyżej czarę. Wszyscy, nawet konająca Kalanthe, krzyknęli ze zdumienia. Binah wyciągnęła nad czarą Czarne Trillium — korzenie, liście i potrójny kwiat — legendarną bagienną roślinę, tak rzadką, że nawet służący w pałacu Odmieńcy nie wiedzieli, gdzie rosła i czy jeszcze istniała. A przecież ta sama roślina była herbem królewskiego rodu, a najcenniejszymi klejnotami królewskimi — kawałki bursztynu z tkwiącymi w nich skamieniałymi kwiatkami Trillium, nie większymi niż główka szpilki. Ten kwiat był wszakże wielki jak dłoń Arcymagini i miał barwę głębszą od czarnego aksamitu. Binah zerwała kwiat trillium i wrzuciła go do czary, łodygę zaś schowała pod płaszczem. Odczekała dziesięć oddechów, aż kwiat się rozpuści, po czym wzięła czarę i dała znak królowi.

Krain podbiegł, uniósł w ramionach swoją drogą małżonkę i podtrzymał ją, aż wysączyła najpierw drobnymi łyczkami, a potem łykami zawartość czary.

Królowa spoczęła znów na poduszkach. Nagle wydała głośny okrzyk — nie bólu, lecz triumfu — i położna Immu powiedziała:

— Zaczęło się!

Na świat przysły trzy księżniczki, jedna po drugiej. Było to niezwykle wydarzenie, gdyż wielokrotne porody zdarzają się bardzo rzadko wśród człowieczych wysokich rodów.

Niemowlęta głośno krzyczały. Choć małe, miały doskonałe kształty i różniły się między sobą rysami twarzy oraz kolorem oczu i włosów. Kiedy każda z księżniczek znalazła się na specjalnie dla niej przygotowanym ręczniku, Arcymagini nadała jej imię i położyła na piersi dziwny złoty naszyjnik z bursztynowym wisiosem, w którym tkwił kwiat Czarnego Trillium.

— Haramis — powiedziała do pierwszej dziewczynki tak ciepło, jakby witała serdeczną przyjaciółkę lub ukochaną wychowankę. — Kadiya — powitała drugą — Anigel — zabrzmiało imię trzeciej.

Potem spojrzała ponad główkami dzieci na króla i królową, którzy wpatrywali się w nią ze zdumieniem. Przemówiła z wielką powagą, by jej słowa wryły się głęboko w pamięć obecnych.

— Lata przychodzą i szybko przemijają. Wyniosłe może runąć, można utracić to, co się kocha, a to, co zostało ukryte, może z czasem wyjść na jaw. Mimo to mówię wam, że wszystko będzie dobrze. Moje słońce zbliża się ku zachodowi, aczkolwiek zrobię wszystko, co muszę i mogę zrobić przed zapadnięciem nocy. Krainie i Kalanthe, te oto trzy Płatki Żywego Trillium, wasze córki, czeka zły los i niezwykle trudne zadanie, ale ten czas jeszcze nie nadszedł.

Zanim król i królowa zdążyli zapytać o znaczenie tej przepowiedni, Arcymagini szybko wyszła z komnaty. Dworki i położna Immu zajęły się rozwrzeszczanymi niemowlętami i niezbędnymi czynnościami przy królowej, król zaś poszedł, by obwieścić wszem wobec radosną nowinę i ogłosić święto. Czarodziejskie amulety zawieszono na pięknych złotych łańcuszkach i księżniczki nigdy ich nie zdejmowały.

Czas płynie, tak jak powiedziała Arcymagini, a wraz z nim przychodzi zapomnienie. Trzy księżniczki wyrosły na silne, piękne dziewczynki. Często słyszały od swych nianiek i rodziców opowieść o niezwykłych swych narodzinach. Uznały w końcu, iż jest to tylko wymyślona opowieść. Szczególnie niewiarygodna wydawała się im groźna przestroga, gdyż nic nie zakłócało pokoju ich ojczyzny podczas ich dorastania, i jak wszyscy młodzi ludzie bardziej interesowały się terażniejszością niż przeszłością.

Księżniczka Haramis była ulubienicą rozmówlanego w wiedzy ojca. Jeszcze jako dziecko szukała mądrości w książkach, zasypując nadwornych skrybów i mędrców pytaniami nie przystojącymi niewiastom z królewskiego rodu. Interesowała się też muzyką, zwłaszcza grą na flecie i harfie z drzewa łądu. Wiele czasu spędzała z Odmieńcem imieniem Uzun, słynnym śpiewakiem i bajarzem. Potrafił on wprawić w dobry nastrój nawet najbardziej przygnębionego słuchacza swoimi opowieściami i mądrymi radami.

Księżniczka Kadiya wcześniej pokochała zwierzęta i ptaki, zwłaszcza zaś dziwaczne stworzenia z krainy bagien. Uwielbiała życie pod gołym niebem i wędrówki do najdalszych krańców Ruwendy. Jej przewodnikiem i nauczycielem historii naturalnej stał się Odmieniec Jagun, królewski Mistrz Zwierząt i główny łowca Cytadeli.

Natomiast księżniczka Anigel, drobna i delikatna jak jeden z kwiatów, które tak bardzo kochała, była nieśmiałym dzieckiem. Często się śmiała i miała dobre serce, współczujące każdej chorej czy cierpiącej istocie. Była ulubienicą królowej Kalanthe, znajdując upodobanie w obowiązkach domowych i dworskich, którymi gardziły jej siostry. Jej najserdeczniejszą przyjaciółką była Immu, królewska położna i niańka, która teraz pełniła funkcję aptekarki, warząc nie tylko lecznicze napoje i ziołowe wywary, ale także słodko pachnące perfumy, kandyzowane owoce, olejki i bardzo dobre piwo.

Nadszedł wreszcie czas, kiedy trzy księżniczki osiągnęły wiek stosowny do zamążpójścia. Ruwenda od kilku lat prosperowała kosztem Labornoku. Za radą Orogastusa księżę Voltrik, labornocki następca tronu, poprosił o rękę Haramis, dziedziczki tronu Ruwendy. Ku jego wściekłości, król Krain odrzucił tę prośbę. Postanowił bowiem, że podczas najbliższego

Święta Trzech Księżyców zaręczy swoją najstarszą córkę z drugim synem króla Fiodelona z Var. Ów książę imieniem Fiomkai miał dzielić z Haramis tron Ruwendy. Varowie, których ziemie leżały na południe od Lasu Tassaleyo na żyznej równinie Wielkiego Mutaru, utrzymywali luźne kontakty handlowe i dyplomatyczne z Ruwenda. Var rywalizował jednak w handlu morskim z Labornokiem! Gdyby udało się podbić dzikich Odmieńców z ludu Glismak i w konsekwencji otworzyć statkom kupieckim dostęp na Wielki Mutar, Varowie przejęliby od Labornoków zyskowny handel z Ruwenda...

W tym krytycznym punkcie historii Półwyspu stary król Sporikar wreszcie zamknął na zawsze oczy i Voltrik został władcą Labornoku. Na nalegania Wielkiego Ministra Stanu Voltrik wezwał następcę tronu, księcia Antara, i naczelnego dowódcę swojej armii, generała Hamila. Poleciał im natychmiast rozpocząć przygotowania do inwazji na Ruwendę.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Jeszcze raz na zewnętrznym dziedzińcu oblężonej Cytadeli jaskrawe niebieskobiałe światło oślepiło oczy królewskiej rodziny, dworzan i Zaprzysiężonych Towarzyszy zgromadzonych na balkonie w połowie wysokości wielkiego stołbu. Sekundę później ogłuszył ich grzmot.

— Na Białą Damę, tym razem nie ma wątpliwości! — jęknął król Krain. — Czarownik Orogastus istotnie ściągnął na ziemię błyskawicę z jasnego nieba, a ta zrobiła wyłom w murze otaczającym wewnętrzny dziedziniec.

Setki labornockich piechurów wtargnęły w szeroką wyrwę. Tuż za nimi wpadli konni rycerze pod wodzą brutalnego generała Hamila. Atakujący pokonali obrońców Cytadeli tak łatwo jak huragan wyrwa trawę na moczarach. Chwilę później powietrze rozdarły następne magiczne błyskawice, wraz z każdym ich uderzeniem nieprzyjacielskie hordy wlewały się przez kolejne wyłomy w fortyfikacjach.

— To koniec — powiedział król. — Jeżeli czarodziejskie gromy Orogastusa uszkodziły starożytne mury obronne, sam wielki zamek długo się nie obroni. — Zwrócił się do jednego z Zaprzysiężonych Towarzyszy. — Panie Sotolainie, przynieś mi zbroję. A tobie, panie Monoparo, powierzam bezpieczeństwo naszej drogiej królowej i księżniczek. Zabierz je do sekretnej komnaty w zamku, gdzie ty i twoi rycerze będziecie ich bronić aż do ostatniej kropli krwi. A pozostali niech przygotowują się do walki u mego boku.

Królowa Kalanthe po prostu skinęła głową, ale księżniczka Anigel wybuchnęła płaczem, tak samo dworki. Księżniczka Haramis, chmurząc się, stała jak wykuta z kamienia. Tylko błękit jej wielkich oczu, czerń połyskliwych włosów oraz biała suknia i płaszcz wydobywały na jaw bladość twarzy. Księżniczka Kadiya, odziana w męski strój myśliwski z zielonej skóry, wyjęła sztylet z pochwy i potrzęsła nim zamasyście.

— Wasza Królewska Mość... drogi ojcze — pozwól mi walczyć! Wolę paść w boju u twego boku zamiast ukrywać się z biadolącymi kobietami, podczas gdy ci dranie podbijają Ruwendę!

Królowa i wielmoże jęknęły słysząc te słowa, a księżniczka Anigel i damy dworu ze zdumienia przestały zawodzić.

Księżniczka Haramis zaś tylko uśmiechnęła się zimno i powiedziała:

— Myślę, siostrze, że przeceniasz swoje umiejętności. To nie są poczwarki raffinów uciekające przed twoją małą włócznią, ale uzbrojeni po zęby żołnierze króla Voltrika, chronieni czarami złego Orogastusa.

— Odmieńcy mówią, że kobieta z królewskiego rodu Ruwendy spowoduje upadek Labornoku zabijając jego króla! — odparowała Kadiya.

— I ty mianowałaś się naszą wybawicielką? — Haramis roześmiała się gorzko, a potem łzy popłynęły z jej oczu, połyskując jak wezbrany potok omywający lodowiec. — Przestań, głuptasie! Oszczędź nam swoich póz. Czy nie widzisz, jak twoje słowa zmartwiły naszą matkę?

Królowa wyprostowała się dumnie. Tak jak Anigel miała na sobie tradycyjny dworski strój z atlasu z wyszywanymi rękawami i stanikiem. Szata księżniczki była różowa. Kalanthe zaś kazała odziać się w szkarłatną jak krew suknię i czepek.

— Moje serce wypełnia smutek i strach o nas wszystkich, znam jednak swoje obowiązki — powiedziała. — Kadiyo, nie wierz w przepowiednie Odmieńców. Nasi słudzy z ludu Nyssomu uciekli z Cytadeli, szukając schronienia w Błotnym Labiryncie, i pozostawili nas samych w obliczu wroga. A co do twoich wojowniczych zamiarów... — Zakrzuszyła się dymem, gdyż wystrzelone przez wrogów ogniste kule podpaliły drewniane zabudowania wewnętrznego dziedzińca. — Musisz pozostać z nami, jak przystało na księżniczkę.

— W takim razie będę bronić ciebie i moich sióstr! — zawołała Kadiya. — Jeśli bowiem król Voltrik zna przepowiednię Odmieńców, nie ośmieli się pozostawić przy życiu żadnej z nas! Zamierzam drogo sprzedać swoje życie. Przyłączę się więc do pana Monoparo i Zaprzysiężonych Towarzyszy, którzy będą was bronić. I zginę z nimi, jeśli tak chce los.

— Nie możesz tego zrobić, Kadiyo! — zaszlochała Anigel. — Musimy się ukryć i modlić, by ocaliła nas Biała Pani.

— Biała Pani to legenda! — odparła Kadiya. — Możemy ocalić się same.

— Ona nie jest legendą — szepnęła Anigel tak cicho, że zgiełk walki toczącej się dwadzieścia elli niżej prawie zagłuszył jej słowa.

— Możliwe, że nie, ale wydaje się, iż przestała strzec naszego nieszczęsnego kraju — przyznała Haramis. — Jakże inaczej labornockie zastępy zdołałyby przejść przez Przełęcz Vispir, przebyć Błota i bezkarnie napaść na Cytadelę?!

— Zamilczcie, córki! — zgromił je król. — Wrogowie w każdej chwili mogą zaatakować zamek i wkrótce będą musieli was opuścić.

Rozkazał wszystkim zejść z balkonu i schronić się w kobiecych pokojach. Obrońcy odrzucili kopniakami barwne jedwabne poduszki i złożone krzesła, przewrócili krosna z nie ukończonym kobiercem, które upadły obok wygasłego kominka, książek i ozdobionego malowidłami parawanu.

Władca Ruwendy przemówił z wielką surowością do swej drugiej córki:

— Kadiyo, źle postępujesz. Straszysz matkę i siostry swym nierozważnym postępowaniem i paplaniną o przepowiedniach Odmieńców. Czy król Voltrik poprosiłby o rękę Haramis, gdyby dawał wiarę bajkom o wojowniczkach? Moim obowiązkiem, jako władcy tego kraju, jest bronić go albo zginąć w jego obronie. Twoim zaś — przeżyć i pocieszać matkę i siostry. Bądź pewna, że twoje brzemię jest lżejsze niż biednej Haramis, która w końcu na pewno będzie musiała ulec Voltrikowi.

Słyszając to damy dworu znów zaczęły zawodzić, a rycerze krzyczeć tak głośno: — Nie, nigdy! — że w powstałym zgiełku ledwie usłyszano następne wybuchy na zewnątrz, szczęk broni oraz wrzaski rannych i umierających.

— Uspokójcie się! Uspokójcie wszyscy! — zawołał król Krain.

Nie posłuchali go, i nic w tym dziwnego, gdyż zawsze zachęcał swoich poddanych, by traktowali go jak ojca i doradcę.

Przez czterysta lat od nieudanej labornockiej inwazji pod wodzą króla Pribinika zwanego Lekkomysłnym, Ruwendianie żyli w pokoju. Zbrodnie i wojny domowe rzadkością były w ich kraju; ład i porządek czasem tylko zakłócali nieliczni złodzieje, maniakalni mordercy i napady Skriteków, które dawały rycerzom okazję do okazania swego męstwa. Podczas tak długiego pokoju sztuka wojenna podupadła i Zaprzysiężeni Towarzysze zapomnieli o wszystkim, co kiedykolwiek wiedzieli o strategii czy taktyce. Królowie Ruwendy pozwalali swoim poddanym robić to, co chcą, dbając jednakże, by w kraju panowały sprawiedliwość i ład, a zwyczajem przyjęte podatki regularnie wpływały do królewskiego skarbcza. Ruwenda nigdy nie utrzymywała stałej armii. Zaprzysiężeni Towarzysze byli jedynym zbrojnym ramieniem władcy, a górskie forty obsadzali na zasadzie rotacji wolni mieszkańcy Kraju Dyleks, dzięki temu zwolnieni z płacenia podatków. Ruwendiańska szlachta rządziła swoimi lennami łagodnie, idąc za przykładem władców. W państwie panował dobrobyt; pomyślność nie sprzyjała tylko leniom — i ci na nią nie zasługiwali.

Izolowana, mała Ruwenda sprawiała wrażenie najszcześliwszej krainy na Półwyspie, jeśli nie na całym świecie, dopóki czary Orogastusa nie otwały Przełęcz Vispir zaborczym Labornokom i nie ujawniły tajemnej drogi armii króla Voltrika, która poprzez Błotny Labirynt dotarła do ruwendiańskiej Cytadeli.

Labornokom zabrało to zaledwie dziesięć dni. Voltrikowi nie przeszkodziła żadna magiczna burza, mgliste widma ani inne klęski, które ongiś spadły na króla Pribinika. Szeptano nawet, że sprzymierzyli się z nim ohydni Skritekowie! Pod osłoną czarów Orogastusa labornockie wojska szybko zdobyły górskie forty, złupiły pobliskie miasta Krainy Dyleks (ich mieszkańcy ratowali się ucieczką do wschodnich prowincji Ruwendy) i prawie bez przeszkód dotarły do zewnętrznych fortyfikacji Cytadeli. Już wkrótce wpadnie ona w ręce Voltrika, a wraz z nią samo królestwo.

Kiedy w oblężonej twierdzy rodzina królewska i dworzanie kłócili się i lamentowali, nagle jeszcze jeden oślepiający błysk rozdarł powietrze, a zaraz po nim rozległ się potężny grzmot. Grube mury zamku zatrzęsły się jak drewniana chata pod uderzeniami wiosennego monsunu. Na moment w Cytadeli zaległa głęboka cisza. Po chwili z dziesięciu tysięcy piersi wydarł się ryk triumfu, zagrały rogi i trąbki. Stało się jasne, że wielka brama centralnej budowli została wysadzona i że najeźdźcy wdarli się do wnętrza.

Teraz pan Sotolain przyniósł królowi zbroję i pomógł mu ją przywdziać. Krain westchnął podnosząc ciężki miecz swojego praprapradziadka Karaborlo, wiedząc — tak jak wiedzieli jego Towarzysze — iż będzie używał go odważnie, lecz niezręcznie. Ani wspaniały pancerz z błyszczącej stali wysadzany szafirami, ani zwieńczony koroną hełm z wizerunkiem lammergeiera nie mogły uczynić z króla Kraina kogoś innego niż był. A ten mężczyzna w średnim wieku o łagodnym usposobieniu, wielkim sercu i bystrym umyśle, zupełnie nie nadawał się na wojownika.

Zapiawszy hełm władca Ruwendy po raz ostatni pożegnał się z rodziną.

— Byłem uczonym, a nie żołnierzem, i nie żałuję tego. Przez wiele pokoleń nasz ukochany kraj znał tylko pokój. Chroniła nas — albo kazano nam w to wierzyć — Arcymagini Binah, ta, którą nazywają Białą Damą, Panią Zakłętego Kwiatu, Wielką Strażniczką Ruwendy, Opiekunką Czarnego Trillium. Wielu spośród nas ją widziało i słyszało, kiedy czarowała przy narodzinach naszych księżniczek — trojaczek. Arcymagini oświadczyła wtedy, że wszystko będzie dobrze, ale wypowiedziała też tajemnicze słowa o niezwykłym losie i ciężkich zadaniach, jakie czekają na królewskie córki. Nie zrozumieliśmy jej słów i większość z nas — nawet ja sam — prawie o nich zapomniała. Zastanówmy się jednak teraz nad nimi, gdyż dają nam odrobinę nadziei. Szczerze mówiąc, nie wiem, gdzie jeszcze moglibyśmy jej szukać.

Wziął w ramiona królową i pocałował ją lekko. Później podeszła do niego Haramis, jedyna, której twarz nie była zalana Izami, Kadiya, która na koniec postanowiła być posłuszna, i złotowłosa Anigel, która nie przestała płakać.

Pożegnawszy się z przyjaciółmi, Krain jeszcze raz uroczyście powierzył swoją rodzinę panu Monoparo i jego czterem rycerzom, którzy uderzyli się w piersi, powtarzając przysięgę lenną, i wyciągnęli miecze. Potem król, w towarzystwie swojego szlachetnie urodzonego giermka imieniem Barnipo, wielkimi krokami wyszedł z komnaty, a za nim większość Towarzyszy. Nadszedł czas, kiedy miało się dopełnić przeznaczenie, i wszyscy obecni wiedzieli, co czeka króla.

Po zapadnięciu zmroku ogień Cytadeli przygasły i zmieszały swoje dymy z wyziewami unoszącymi się znad Błot. Pagórek, na którym znajdowała się stolica Ruwendy, wyglądał jak wyspa w morzu mgieł. Labornoccy rycerze pod wodzą generała Hamila, który wyszedł zwycięsko z ostatniej potyczki z Zaprzysiężonymi Towarzyszami, zaprowadzili pokonanego władcę Ruwendy i jego giermka Barnipo przed króla Voltrika, następcę tronu księcia Antara i czarownika Orogastusa. Kilkudziesięciu innych szlachetnie urodzonych jeńców, zakutych w ciężkie kajdany, znajdowało się pod strażą w sali tronowej. Mieli być świadkami kapitulacji swojego narodu. Szkarłatny sztandar Labornoku z trzema skrzyżowanymi złotymi mieczami zawisł za tronem, na którym zasiadał teraz Voltrik.

Krain był bliski śmierci, osłabiony wpływem krwi z odniesionych ran. Podtrzymało go dwóch rycerzy Hamila prowadząc przed oblicze Voltrika; potem zmusili rannego, by przed nim ukląkł. Jeden cisnął na posadzkę poszczerbioną lazurową tarczę Kraina z ledwie widocznym wizerunkiem Czarnego Trillium, drugi zaś rzucił na tarczę złamany miecz pokonanego władcy. Hamil osobiście zerwał z hełmu Kraina platynową koronę wysadzaną szafirami i bursztynem i podniósł ją do góry, by wszyscy mogli ją zobaczyć. Giermek Barnipo, który nie był ranny i nie nosił więzów, drżał stojąc za swoim panem w twardym uścisku pana Osorkona, zastępcy Hamila, olbrzymiego rycerza w okrwawionej czarnej zbroi.

— Witaj, królewski bracie — powiedział Voltrik. Podniósł zakończoną kłami przyłbicę. Wyglądał, jakby się uśmiechał do pokonanego władcy Ruwendy z głębi paszczy fantastycznego jaszczura. Ozdobna zbroja Voltrika z połączanej, pokrytej ornamentami stali lśniła w blasku pochodni. Król Labornoku siedział na ruwendiańskim tronie wzięwszy się pod boki, beztrąsco założywszy nogę na nogę. — Czy i teraz mi się nie poddasz?

— Nie mam wyboru — odszepnął ochryple Krain.

— Czy poddasz się bezwarunkowo? — zapytał Voltrik podsuwając ruwendiańską koronę pod nos pokonanemu monarsze. — Świadom, że tylko w ten sposób ocalisz od śmierci zarówno szlachetnie urodzonych, jak i prostych mieszkańców Cytadeli?

— Poddam się... jeśli oszczędzisz również moją królową i moje trzy córki.

— To niemożliwe — wtrącił Orogastus tonem tak ponurym i nieubłaganym jak dźwięki gongu pogrzebowego. — One muszą umrzeć, tak jak ty. Powiesz nam, gdzie się ukryły w tym ogromnym labiryncie na poły zrujnowanej budowli.

— Nigdy! — odrzekł Krain.

Książę Antar postąpił krok do przodu i zwrócił się do swojego ojca:

— Panie, przecież nie prowadzimy wojny z bezbronnymi kobietami!

— One muszą umrzeć! — powtórzył z naciskiem Orogastus, a król Voltrik skinął potwierdzająco głową.

— Twój czarownik obawia się ich z powodu rozgłaszanej przez Odmieńców śmiesznej przepowiedni! — wykrzyknął Krain. — Voltriku, przecież to całkowity nonsens, bajka dla dzieci! Jeszcze kilka miesięcy temu chciałeś pojąć za żonę moją najstarszą córkę Haramis...

— Ty jednak wzgardziłeś przymierzem z Labornokiem — odrzekł ze zjadliwą słodyczą Voltrik, niedbale obracając na palcu ruwendiańską koronę. — I odpowiedziałeś pogardliwie i wyniośle na moją uprzejmą prośbę.

— Wy, zasmarkani Ruwendianie, nigdy nie grzeszyliście nadmiarem taktu — wtrącił ze śmiechem generał Hamil. — A teraz możecie zadławić się zuchwałością, która tak długo uchodziła wam na sucho.

Zgromadzeni w sali tronowej labornoccy rycerze i wielmoże ryknęli śmiechem. Voltrik podniósł rękę.

— Ufam potężnemu Orogastusowi, który jest moim Wielkim Ministrem Stanu i Nadwornym Czarownikiem. To on przepowiedział, że nieszczęście spadnie na mój dom z rąk kobiety z królewskiego rodu Ruwendy, a nie jakiś błotny bajarz. Dlatego, bracie Krainie, twoja żona i córki muszą zginąć razem z tobą. Ale jeśli się ukorzysz i wydasz mi je, wtedy zarówno ty, jak i twoje kobiety umrzecie lekką śmiercią od miecza, a ci z twoich poddanych, którzy złożą przysięgę na wierność Labornokowi, zostaną oszczędzeni.

— Nie ukorzę się i nie wydam ci kobiet z mojego rodu. — Krain dumnie uniósł głowę.

Voltrik podniósł wysoko zdjętą z hełmu Kraina koronę, zmiażdżył ją w okrytych metalowymi rękawicami dłoniach i rzucił przed klęczącego władcę Ruwendy.

— Czy wiesz, jaki los czeka twoją rodzinę, jeśli się przede mną nie ukorzysz? I twoich zakutych w kajdany rycerzy?

Pokonany nie odpowiedział.

Twarz Voltrika pociemniała z gniewu. Zabębnił niecierpliwie palcami w okute złotym pancerzem biodro. A kiedy król Ruwendy nadal milczał, Voltrik rozkazał:

— Przeprowadzić cztery rumaki!

Jeden z labornockich kapitanów pośpieszył wykonać rozkaz. Szmer przeszedł wśród wstrząśniętych jeńców. Giermek Barnipo zbladł ze strachu i szarpnął się w uścisku Labornoka.

— Oho! — roześmiał się generał Hamil. — Ten tchórzliwy młodzik dobrze wie, jaka śmierć czeka tych, którzy drwią sobie z Labornoku. Spójrzcie na tę jego czystą, nie zakurzoną zbroję — to tchórz! Dobrze by było, gdyby jego pierwszego dotknęła przykładowa kara, jaką jego Wysokość chce wymierzyć buntownikom.

— Nie, nie! — wrzasnął Barnipo. — Boże i wy, Władcy Powietrza, zlitujcie się nade mną! — Szamotał się rozpaczliwie, aż odziany w czarną zbroję pan Osorkon uderzył go pięścią w twarz. Chłopiec znieruchomiał, płacząc i jęcząc.

W tej chwili do przestronnej sali tronowej wrócił wysłany przez Voltrika labornocki kapitan, za nim szło czterech stajennych prowadzących cztery wielkie froniałe bojowe, z których jeszcze nie zdjęto siodła. Zwierzęta przewracały czerwonymi jak krew oczami, podrzucały złoczone rogi i tańczyły w miejscu. Ich podkute racice dzwoniły na kamiennej posadzce.

— Nie! — wrzasnął Barnipo.

— Tak — powiedział spokojnie król Voltrik. Spojrzał Krainowi w oczy. — Pokażę ci, królewski bracie, jaki los czeka ciebie i twoich ludzi, jeśli nadal będziesz się upierał. — Zwrócił się do kapitana: — Weź tego tchórze i przywiąż jego kończyny do siodła, a potem bij wierzchowce dopóty, dopóki go nie rozerwą.

Barnipo zawył z rozpacz, wijąc się w ramionach Osorkona. Ruwendiańscy rycerze jęli obsypywać przekleństwami Voltrika, aż uciszono ich przykładając im sztylety do gardeł.

— Uwolnij tego biednego chłopca i mnie skaz na tę śmierć — powiedział król Krain.

— Pozwolimy chłopcu odejść i zapewnimy ci honorową śmierć, jeżeli wyjawisz kryjówkę twoich kobiet — wtrącił Orogastus.

— Nie — oświadczył kategorycznie Krain.

— Co rozkażesz, Wasza Królewska Mość? — zapytał Voltrika generał Hamil.

Labornocki władca wstał z tronu. Jego czerwony płaszcz zafalował i rzucił krwawe błyski na złotą zbroję. — Krainie z Ruwendy, wybrałeś dla siebie rodzaj śmierci. Przywiążcie go mocno do froniała.

— Wasza Królewska Mość, Wasza Królewska Mość! — szlochał giermek. — Niech to będę ja! Wybacz mi moje tchórzostwo!

— Wybaczam ci z całego serca, Barni — powiedział Krain. Zdjęto z niego zbroję i położono go na środku sali tronowej.

Kiedy zaczęto go przywiązywać rzemieniami do wierzchowców, rany króla otwały się; niebawem leżał w kałuży krwi. I przez cały ten czas, pomimo gniewnych krzyków ruwendiańskich jeńców i żałostnego lamentu Barnipa, oblicze Kraina pozostało niewzruszone. Gdy wszystko było gotowe, a cztery wielkie antylopy stawały dęba i kwiczały ze strachu, labornocki kapitan stanął na baczność, czekając na rozkaz Voltrika.

Orogastus szepnął coś swojemu władcy, który skinął głową i gestem polecił panu Osorkonowi doprowadzić giermka bliżej tronu.

— Chłopcze, możesz oszczędzić swojemu królowi okropnej śmierci — rzekł czarownik wbijając przenikliwe spojrzenie w przerażonego Barnipa. — Możesz też uratować skórę swoją i pozostałych jeńców.

— Ja, panie? — wykrztusił giermek.

— Tak, ty — powiedział z naciskiem Orogastus. Czarownik jako jedyny z najeźdźców nie miał na sobie zbroi. Ubrany był w proste białe szaty i czarną opończę z kapturem. Na

platynowym łańcuszku nosił wielki medalion z wyrytą na nim wieloramienną gwiazdą. Zsunął teraz kaptur, odsłaniając oblicze o regularnych rysach, nie zryte zmarszczkami, choć jego włosy były białe jak śnieg. Z życzliwym wyrazem twarzy zwrócił się do Barnipa:

— Posłuchaj mnie uważnie, chłopcze. Zrób, co mówię, a może jeszcze ocalisz życie królowej i trzech księżniczek. Wyznaję, że zdumiała mnie odwaga króla Kraina i uważam, że mój łaskawy władca powinien jednak posłubić księżniczkę Haramis, gdyż musiała ona odziedziczyć cnoty swego ojca i przekaże je synom.

— Naprawdę, panie? — Nadzieja rozjaśniła twarz giermka.

— Naprawdę. I żeby księżniczka Haramis dobrowolnie przyjęła oświadczyzny, doradziłem Jego Wysokości, by darował życie wszystkim kobietom z rodu Kraina. Jedyne, czego trzeba, żeby wprowadzić w życie to fortunate rozwiązanie, to wiedzy, gdzie się ukryły.

Chłopiec przeniósł spojrzenie na Voltrika.

— Czy i mnie darujecie życie? — zapytał z wahaniem.

— Przysięgam na moją koronę — oświadczył król Labornoku dotykając korony zdobiącej jego hełm. — Ale nie zwlekaj, gdyż froniale się niecierpliwia.

— A nasz król?

— Musi umrzeć, gdyż takie są nasze prawa — wyjaśnił Orogastus. — Możesz jednak zapewnić mu szybką, bezbolesną śmierć. Jeśli tylko wyjawisz to, co chcemy wiedzieć.

— Ręczysz za to słowem honoru? — Łzy popłynęły po policzkach chłopca.

— Przysięgam na Władców Powietrza.

Barnipo odetchnął głęboko i rzekł:

— Więc... są w tajemnym miejscu pod podłogą kaplicy w wielkim zamku. Można tam dojść ukrytym przejściem znajdującym się na poddaszu prezbiterium. Otwiera się je naciskając centralny guz wielkiego trillium wyrzeźbionego na ścianie. Strzeże ich pan Monoparo i czterech Zaprzysiężonych rycerzy.

— Ach! — wykrzyknął Orogastus, a jego głęboko osadzone oczy zabłyśły.

— Ach! — zawtórowali mu król Voltrik i generał Hamil.

— Przysięgłeś, że ich nie skrzywdzisz! — Zalana łzami twarz chłopca zaczerwieniła się, a jego usta zadrżały. — Na Władców Powietrza...

— To uroczysta przysięga — odrzekł nonszalancko Orogastus — dla tych, którzy wierzą w takie wymysły.

— Ale ty także przysięgłeś! — Zrozpaczony giermek zwrócił się do króla Labornoku.

— Że daruję ci twój nędzny żywot — odparł Voltrik — i zrobię to, abys mógł czyścić kloaki do końca swoich dni. — Po czym spoliczkował chłopca zbrojną rękawicą tak mocno, że ten spadł z podwyższenia i leżał jak martwy.

— Królu i panie — odezwał się generał Hamil. — Wezmę ludzi i poszukam tej królewskiej suki i jej trzech szczeniaków.

— Nie — odrzekł Voltrik. — Mój syn i ja staniemy na czele poszukujących. Ty zajmiesz się zgromadzonymi tutaj ruwendiańskimi szumowinami... i ich prowodyrem.

Przywoławszy skinieniem księcia Antara, Voltrik wielkimi krokami zszedł z podwyższenia. W otoczeniu około dwudziestu rycerzy ruszył w stronę wielkich, spiralnych schodów prowadzących do kaplicy.

Hamil podparł się na biodrach pięściami w łuskowych rękawicach i omiół spojrzeniem salę tronową ze zgromadzonym w niej tłumem Labornoków i ich nieszczęsnych jeńców.

Na środku sali król Krain leżał przywiązany do spłoszonych froniali.

— Wykańczanie zakutych w kajdany jeńców to nudna robota — powiedział Hamil do Osorkona — a to był ciężki dzień. Zabawmy się najpierw. — Potem krzyknął: — Stajenni! Do batów!

Korzystając z zamieszania Barnipo szybko ocknął się z udanego omdlenia, wymknął się chyłkiem z sali i pobiegł tylnymi schodami, by ostrzec królową i księżniczki o grożącym im niebezpieczeństwie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Barni biegł szybko, aż zabrakło mu tchu. Czuł w boku ostry ból, jakby przebito go nożem, a uderzona przez Voltrika głowa bolała go tak bardzo, że widział wszystko podwójnie. Kiedy chwiejnym krokiem pisał się po wąskich schodach na prezbiterium, słyszał z oddali rytmiczny szczepek zakutych w żelazo stóp i głos jednego z wrogów, który krzyknął:

— Tędy!

W kaplicy rozjaśnionej tylko kilkoma wotywnymi lampami panował półmrok, a na schodach było całkiem ciemno. Zmieniło się to w jednej chwili, kiedy król Voltrik i jego niosący pochodnie rycerze wpadli do kruchty.

Ogarnięty paniką giermek potknął się i upadł prawie u szczytu schodów, uderzając się w już obolałą głowę. Osłabł tak bardzo, że wydawało się, iż i tym razem nie spełni swego obowiązku.

— Biała Pani! — zaszlochał głośno. — Pomóż mi! Pomóż naszej biednej królowej i księżniczkom.

Pachnące słodko powietrze wypełniło jego płuca i mgła przesłaniająca mu oczy zniknęła. Nadal bolała go głowa, ale znów mógł się poruszać. Wypełził na szczyt schodów i po splekanej ze starości podłodze dotarł do ściany poza rzędami zydli. W kamieniu wryto i pomalowano Ruwendyjską Królewską Pieczęć: na lazurowym polu widniało wielkie Czarne Trillium ze złotym guzem w środku.

Barni podczołgał się i nacisnął oburącz złocisty guz. Natychmiast kamienny blok otworzył się do wewnątrz, odsłaniając niewielkie wejście, przez które z trudem można było się precisnąć. Giermek ledwie zdążył wejść i zamknąć za sobą tajemne drzwi, kiedy przyskoczył do niego siwobrody pan Monoparo i dwaj inni ruwendiańscy rycerze z obnażonymi mieczami.

— Stójcie, stójcie, to tylko ja! — wychrypiał chłopiec, podnosząc się na kolana.

— Na Czarny Kwiat! To młody Barni! — Monoparo schował miecz i pomógł mu wstać. — A teraz, młodzieńcze...

— Szybko! Jeśli chcecie ocalić królową i jej córki, szybko zamknijcie to wejście i zniszczcie otwierający je mechanizm, żeby nikt tu nie mógł się dostać!

Korban i Wederal klnąc zasunęli pośpiesznie cztery wielkie stalowe rygle i rozrąbali mieczami drewniany mechanizm drzwiowy. Ledwie zdążyli, gdy z drugiej strony rozległy się silne uderzenia, którym towarzyszyły wojownicze okrzyki. A wkrótce potem, co było jeszcze groźniejsze, walenie ustało.

— Poszli po taran — zauważył Wederal.

— Raczej po czarownika! — warknął Monoparo. — Wracajmy do wewnętrznej twierdzy.

Zaciągnęli wyczerpanego giermka do kwadratowej komnaty o powierzchni około siedmiu elli, bez okien, przygotowanej do oblężenia, gdyż zamykały ją masywne drzwi z drzewa gonda, umocnione żelaznymi sztabami i trzema grubymi belkami. Na ścianach wisiały stare gobeliny, podłogę pokrywały grube kobierce i maty do spania. Wysoko, prawie pod sufitem, znajdowały się dwa otwory tak wąskie, że z trudem można by wsunąć w nie palec. Stał też mały stół i jeden taboret, na którym siedziała królowa Kalanthe. Pilnował jej czwarty rycerz, pan Jalindo. Małeńki kominek, niewiele większy od przenośnego piecyka, otaczały skrzynie z prowiantem i beczułki z winem i wodą. Komnatę oświetlało słabe światło wysokiego srebrnego świecznika oraz ustawionych we wnękach lichtarzy.

Pan Monoparo skłonił się królowej, która siedziała nieruchomo, blada i spokojna. Córki tuliły się do jej szat. Włożyła wielką platynową koronę, błyszczącą od szmaragdów i rubinów, zwieńczoną diamentowym słońcem z wielkim jak jajko bursztynem w środku. W sercu bursztynu tkwiło kopalne Czarne Trillium wielkości paznokcia.

— Pani, wrogowie nas znaleźli! — Monoparo wskazał na Barnipa ledwie trzymającego się na nogach. — Ten giermek nas ostrzegł. Zablokowaliśmy wejście tak, jak tylko się dało. Ale tamci na pewno sprowadzą czarownika, który wyłamie sekretne drzwi za pomocą czarnej magii, i nas zabija.

Księżniczka Anigel wrzasnęła z przerażenia i dostałaby ataku hysterii, gdyby Kadiya jej nie spoliczkowała i nie kazała być cicho. Haramis objęła płaczącą dziewczynę.

— Co z moim małżonkiem? — spytała królowa patrząc na Barnipa.

Giermek padł na kolana. Łzy spłynęły mu po umorusanej twarzy.

— Och, pani, on nie żyje i nasza biedna Ruwenda jest zgubiona.

Czterej rycerze jęknęli, a królewskie córki krzyknęły z przerażenia. Królowa Kalanthe zaś tylko pochyliła głowę i pytała dalej:

— Jak zginął mój małżonek?

— Niestety! — krzyknął chłopiec. — Biorę na świadków Boga i Władców Powietrza, że to wszystko moja wina. — I dalej jęczał, pomstując na siebie, aż pan Jalindo położył mu rękę na ramieniu.

— Uspokój się. Nie masz jeszcze piętnastu lat i nikt z nas nie uwierzy, że ktoś tak młody mógł spowodować śmierć naszego króla. Powiedz nam, co się stało.

I Barni opowiedział. A gdy opisał haniebną śmierć króla Kraina, księżniczka Anigel zemdląła w ramionach swej siostry Haramis, Kadiya zaś wykrzyknęła łamiącym się głosem:

— Drogo za to zapłacą!

Królowa wszakże siedziała nieruchomo, wpatrując się w zamknięte drzwi, a na jej kolanach spoczywała spocona i pokrwawiona głowa królewskiego giermka, który tulił się do władczyni i płakał tak żałośnie, że serce się krajało.

— To nie twoja wina, biedaku — uspokajała go. — Ten łotr Orogastus cię oszukał. Zawinili czarownik, król Voltrik i ten potwór Hamil, który kazał rozszarpać mojego ukochanego.

— Zapłacą za to — szepnęła Kadiya, lecz nie usłyszał jej nikt oprócz Haramis.

Nagle usłyszeli głośny wybuch. Rycerze wyciągnęli miecze i ustawili się odgradzając kobiety od drzwi. Królowa zerwała się na równe nogi i giermek osunął się na podłogę.

— Kobieta z naszego domu wyzwoli Ruwendę — powiedziała Kalanthe stanowczym tonem. — To tego boi się ten przeklęty Voltrik! Ta przepowiednia to nie wymysł Odmieńców, gdyż potwierdza ją sam labornocki czarownik! — Zwróciła się ku córkom. Anigel przysła już do siebie i teraz trzy pary oczu wpatrywały się w królową. — Kobieta z naszego domu zada klęskę Labornokom — ciągnęła Kalanthe. — Przeżyjecie upadek Cytadeli, moje córki, i udowodnicie, że przepowiednia jest prawdziwa.

Tymczasem nieprzyjacieli już rozbijał maczugami i toporami drzwi tajemnej komnaty. Orogastus nie mógł posłużyć się swoimi magicznymi błyskawicami w tak niewielkiej przestrzeni — groziło to zawaleniem się ścian. Królowa Kalanthe odgarnęła na bok jeden ze starożytnych gobelinów, które jeszcze można było znaleźć tu i ówdzie w Cytadeli. Przetrwały one budowniczych tej ogromnej twierdzy i nie przestawały zdumiewać ludzi od ośmiuset lat nazywających Cytadelę domem. Gobelin był szary, a kiedy królowa go odsunęła, stał się niebieski. Jakieś cienie poruszały się na nim, a może wewnątrz niego, lecz nikt nigdy nie dostrzegł wyraźnie, czym były w istocie.

Za tą niezwykłą zasłoną znajdowały się drzwi do niewielkiego pomieszczenia, w którym mogła się zmieścić tylko jedna osoba. Kalanthe otworzyła drzwi i rozkazała:

— Córki, do środka!

Haramis szybko pociągnęła za sobą szlochającą Anigel. Wewnątrz było mało miejsca dla dwóch osób. Kadiya wyciągnęła sztylet i oświadczyła:

— Zostanę z tobą, matko...

— Do środka! — rozkazała królowa tak groźnym głosem, jakim nigdy dotąd nie zwracała się do córek. Kadiya wpatrzyła się w matkę ze zdumieniem, a potem pchnęła siostry robiąc dla siebie miejsce; zmieściła się z trudem i drzwi nie dały się zatrzaskać.

— Jeszcze jedno — powiedziała Kalanthe. Zdjęła z głowy koronę i podała ją Haramis. — A teraz módlcie się, moje kochane, i obyśmy mogły znów się spotkać w szczęśliwszym świecie.

Opuściła zakurzony gobelin. Pozostała jednak niewielka szpara, przez którą wszystko księżniczki widziały, co się potem działo.

Labornockie siekiery porąbały masywne drzwi z drzewa gonda. Napastnicy walili we framugę, aż zawiasy podtrzymujące metalowe sztaby pękły, a poprzeczne belki runęły na podłogę.

Rozgorzała walka. Księżę Antar w pokrytej błękitną emalią zbroi i skrzydlatym hełmie jako jeden z pierwszych wpadł do środka. Na drodze stanął mu pan Monoparo. Obaj zadawali dwuręcznymi mieczami tak mocne ciosy, że brzeszczoty dźwięczały jak dzwony. Reszta labornockich rycerzy wbiegła do środka i uderzyła na pozostałych czterech Zaprzysiężonych Towarzyszy. Król Voltrik i Orogastus stali z boku. Królowa Kalanthe wybrała miejsce przed kominkiem, możliwie jak najdalej od schronienia córek. Dziewczęta widziały ją równie dobrze jak potyczkę w ukrytej komnacie.

Pan Monoparo z wielką mocą uderzył w skrzydlaty hełm księcia Antara. Wiązania pękły i szłom spadł na ziemię.

O dziwo, na twarzy następcy Voltrika nie malował się bitewny zapal, lecz jakaś udręka. Mimo to Antar walczył z wielką zręcznością i kunsztem, a odznaczał się ogromną siłą. Odczekał, aż pan Monoparo się odsłoni, uniósł miecz i opuścił go z całej mocy na głowę przeciwnika — rozrąbał ją na dwoje wraz z hełmem.

W chwilę potem Korban i Wederal odnieśli śmiertelne rany. Tylko pan Jalindo utrzymał się na nogach, ale i on uległ przeważającej sile. Kiedy padł ostatni Zaprzysiężony Towarzysz, zwycięzcy posiekali na kawałki ciała pokonanych.

Jakież to było potworne! Kadiyę piekły od powstrzymywanych łez oczy i aż dusiła się z bezsilnej wściekłości jak szczeniak lothoka oderwany od zabitej matki. Ci barbarzyńcy zabawiają się, tak okrutnie dobijając powalonych Ruwendian!

I naigrawają się z ich przedśmiertnych okrzyków! Kadiya, płonąć żądzą zemsty, chciała wybiec z kryjówki. Wcisnięta między siostry, ścisnęła sztylet...

— Zostań! — syknęła Haramis. — Na Czarny Kwiat, zostań tam, gdzie jesteś! Chcesz nas zgubić?!

— Módlmy się do Białej Damy, Strażniczki naszej ojczyzny! — Anigel przycisnęła do ust amulet z kwiatkiem trillium.

— Módlmy się, żeby ci złoczyńcy nas nie znaleźli — mruknęła Haramis, ściskając swój własny amulet.

— Módlmy się, by ktoś nas uratował — ponagliła Anigel. Dygocząca ze strachu i gniewu Kadiya rozluźniła jednak uścisk na rękojeści sztyletu. Prawie bezwiednie sięgnęła za pazuchę. Ciepły amulet spoczywał na jej sercu.

— Modlę się, żebym to ja była tą, która sprawi, że Voltrik, generał Hamil i Orogastus zapłacą za to, co dziś uczynili! — szepnęła.

— Módl się też o zachowanie zimnej krwi — wtrąciła Haramis — gdyż twoja lekkomyślność i brawura mogą jeszcze ściągnąć na nas nieszczęście. I przestań się wreszcie wiercić, bo wypadniemy prosto pod stopy Voltrika!

— Cicho, cicho! Usłysz nas! — szepnęła błagalnie Anigel. Straszne odgłosy uderzeń mieczy i śmiech nieprzyjacielskich rycerzy ustały wreszcie. Król Voltrik coś mówił. Kadiya modliła się w duchu o zimną krew. Nadal wrzał w niej gniew, ale powoli przygasał jak

przygasa obozowe ognisko, do którego dokłada się drew, by w odpowiedniej chwili znów buchnęło płomieniem.

— Patrzcie! — szepnęła ledwie dosłyszalnie Anigel. — Nasza matka!

Król Voltrik zwracał się do królowej, najwidoczniej wypytując ją o kryjówkę księżniczek. Tajemna komnata była ciemna i zadymiona; tliło się kilka leżących na podłodze kobierców, zajęły się bowiem ogniem, gdy w walce przewrócono wielki kandelabr. Voltrik zdjął hełm i rękawice, a jego groźna mina świadczyła, iż Kalanthe rzuciła mu wyzwanie.

Małżonka Kraina wyprostowała się. Giermek Barnipo, oszołomiony, w pomiętym ubraniu, kulił się u jej stóp.

— Nigdy ci nie powiem, gdzie są moje córki — powiedziała stanowczo.

— Orogastusie, zmusz ją do tego! — ryknął Voltrik. — Albo odszukaj te królewskie bachory swoim dalekowidzącym okiem!

— Nie mogę złamać jej woli, królu i panie! — odrzekł czarodziej. — Ona się nie boi. Nie potrafię też odszukać ukrytych dziewcząt, tak jak nie mogłem tego uczynić w sali tronowej. Tę starożytną Cytadelę musi przenikać jakiś czar, który blokuje mój magiczny wzrok. Posiadam wprawdzie magiczne urządzenie, które pomogłoby w tym zadaniu bez względu na przeszkody, ale jest ono tak duże i ciężkie, że nie można go zabrać z mojego gniazda na górze Brom.

— W takim razie uciekniemy się do innych sposobów, by rozwiązać język tej damie. — Król Voltrik podszedł z wyciągniętym mieczem powoli ku Kalanthe i ujął jej prawy nadgarstek. — Dość tego, królewska suko! Powiesz mi szybko, gdzie są twoje córki, albo odetnę ci rękę. A jeśli i wtedy się nie odezwiesz, odrąbię ci drugą rękę, potem stopy i kolejno resztę członków. Odpowiedz na moje pytanie! Labornok w ten sposób karze zuchwalstwo wrogów.

— Królu i panie — wykrzyknął z przerażeniem książę Antar. — Ona jest królową, a taką karę wymierza się zbuntowanym niewolnikom...

— Milcz! — zagrmiał Voltrik. Wśród jego ludzi dał się słyszeć pomruk, ale ucichł, kiedy król podniósł prawą rękę. — Czy powiesz, kobieto?

To, co się później stało, zdarzyło się tak szybko, że labornoccy rycerze i książę Antar nie zauważyli, lecz ukryte księżniczki wszystko zobaczyły. Na pół omdlały giermek Barnipo nagle rzucił się na króla Voltrika jak wędrowny fedok atakujący drób. Zatopił zęby w lewej ręce króla, tej, którą władca Labornoku trzymał królową Kalanthe.

Voltrik ryknął z bólu i rzucił się do tyłu, pociągając za sobą chłopca. Machnął swym wielkim mieczem i przypadkiem ugodził królową w szyję. Padła na podłogę, a krew jej zbryzgała kominek. Labornoccy rycerze z wrzaskiem poczęli dźgać chłopca, wciąż uczeponego ręki Voltrika — ale czynili to ostrożnie, by szarpiący się monarcha nie ugodził ich przypadkiem. Tuzin ostrzy przeszył Barnipa, który w końcu runął, śmiejąc się pomimo bólu, aż król sam ściął mu głowę.

Voltrik wpadł we wściekłość, przeklinając tak okropnie, że nawet jego podwładni się wzdrygnęli. Królowa Kalanthe nie żyła i nic nie mogło jej wskrzesić, a trzech księżniczek nadal nie ujęto.

— Co możemy zrobić? — zapytał książę Antar.

— Nie mogły odejść daleko — oświadczył z przekonaniem Orogastus. — Musiały być z matką do chwili, gdy ten nikczemny bękart — kopnął ciało giermka — uciekł jakąś krótszą drogą z sali tronowej i je uprzedził. Musimy przeszukać cały zamek.

— Orogastus ma rację — rzekł spokojniejszym tonem Voltrik. — Milotisie, tobie to powierzam. Weź rycerzy i natychmiast zacznij przeszukiwać kaplicę i jej najbliższe otoczenie. Uważaj na ukryte przejścia i schody! Później idźcie do Wysokiej Wieży. Antarze i Orogastusie, wy pójdziecie ze mną. Przetrzęsniemy to gmaszysko od najwyższego parapetu do najniższej położonej lochu.

Król Labornoku poczuł wreszcie ból w zranionej dłoni i zaczął półgłosem przeklinać duszę Barnipa, który przed śmiercią zdążył odgryźć mu kawałek ciała. Orogastus opatrzył ranę, zalecając ostrożność, gdyż ludzkie ukąszenia mogą wywołać niebezpieczne zakażenie.

— Oby ta ręka mu zgniła, a zatruta krew dotarła do pełnego jadu serca! — szepnęła zawzięcie Kadiya.

— I oby Władcy Powietrza zanieśli biednego Barniego do najwyższego nieba — dodała równie cicho Haramis — gdyż swoim mężnym czynem zaoszczędził naszej matce tortur i dał nam zbawczy czas.

Król Labornoku, jego syn i czarownik wyszli z tajemnej komnaty. Po krótkich poszukiwaniach w ślepych tunelach pan Milotis i jego ludzie również odeszli, by przeszukać kaplice. Łomotali, wrzeszczeli, przewracając meble przez kilka minut a później tłumnie zeszli po schodach.

— Myślę, że możemy wyjść — powiedziała Kadiya.

Zesztywniałe od ciasnoty, drżące ze strachu, opuściły skrytkę. Komnata była teraz jatką. Dopiero wtedy w pełni zdali sobie sprawę z powagi sytuacji, a stało się to tak nagle, jakby oblane je lodowatą wodą. Anigel uczepiła się ręki Haramis i zagryzła usta, aż krew popłynęła strumykiem po brodzie. Kadiya przestąpiła ciała ruwendiańskich rycerzy i podeszła do zwłok matki.

— Wygląda jakby spała — zdziwiła się. — Ma zamknięte oczy i łagodny wyraz twarzy. — Podniosła czarny jedwabny płaszcz, który ktoś upuścił na podłogę, i chciała przykryć nim ciało królowej.

— Ty głupia, zostaw ją! A jeśli któryś z nich wróci i to zobaczy? — powstrzymała ją Haramis. — Jesteś mądrzejsza ode mnie, siostrze — przyznała ze smutkiem Kadiya.

— Daj mi ten płaszcz, owinę w niego koronę — oświadczyła Haramis. — Zabiorę ją, choć to mało prawdopodobne, że kiedykolwiek ją założę.

Wtem Anigel krzyknęła cicho ze strachu. Z szeroko otwartymi szafirowymi oczami bez słowa wskazała kąt komnaty naprzeciw drzwi.

Nie było tam ciał zabitych, a przecież stos poduszek poruszył się lekko.

— Cofnijcie się — rozkazała Kadiya. Wyciągnęła sztylet i zrobiła kilka kroków do przodu. Czubkiem ostrza podnosiła po kolei poduszki i odrzucała je na bok. Odslonił się wybrzuszony jak namiot kobierzec, który z każdą chwilą unosił się coraz wyżej.

— Na Czarny Kwiat, to drzwi zapadowe! — powiedziała Haramis. — Kadi, szybko odciągnij na bok dywan.

— Och, uważaj! — zawołała Anigel. — Może to jakiś wróg!

— Wróg, wróg, rzeczywiście wróg! — wychrypiął cicho znajomy głos. — Ruszaj się żywo, dziewczyno, bo odetną nam drogę ucieczki.

Księżniczki aż jęknęły z zaskoczenia, a kiedy Kadiya odsłoniła ukryty w podłodze otwór, zobaczyły w nim niską kobietę, odzianą schludnie w fustiańską szatę, zieloną chustę i skórzany fartuch. Miała szeroką, żółtawą twarz, wydatne usta i nieczłowiecze, wylupiane, lecz piękne złote oczy oraz maleńkie, wąskie jak szparki nozdrza. Długie, ostro zakończone uszy zdobiły srebrne kolczyki zwisające spomiędzy fałd batystowego nakrycia głowy. Dwupalce dłoni z przeciwstawnymi kciukami były pokryte ciemnymi plamami i bliznami od wieloletniego przyrządzania różnych dziwnych mikstur i naparów.

Immu! — zawołała z ulgą i radością Anigel. — Najdroższa Immu, jednak przybyłaś, by nas ocalić. Myślałyśmy, że uciekłaś z resztą Odmieńców...

— Uciekłaś, uciekłaś, uciekłaś! Co za głupoty! — Immu wspięła się po schodach do komnaty, później zaś dramatycznym gestem wskazała na ziejący otwór w podłodze. — Schodźcie szybko, a ja muszę znaleźć sposób, by zasłonić za wejście.

Haramis i Anigel podkasały długie suknie i zeszyły niezgrabnie po wąskich stopniach, podczas gdy Kadiya zbiegła zręcznie jak drzewny wart. Na dole, w tunelu o nierównym sklepie czekała na nie następna niespodzianka.

— Uzun! — wykrzyknęła Haramis. — I Jagun!

Dwie małe postacie czekały ze świecącymi zielonym blaskiem lampami, w których zamknięte były bagienne świetliki. Byli i mężczyźni z tej samej rasy co Immu, zwanej Nyssomu. Jagus miał na głowie myśliwską czapkę i ubranie ze skóry fedoka podobnego kroju jak strój Kadiyi, muzyk Uzun nosił zaś zwykły atłasowy brązowy chałat. Jego beret ze złocistego brokatu był pokryty lepкими pozostałościami sieci lingitów z tajemnego przejścia.

— Nie opuściłeś nas, Jagunie! — Kadiya objęła nauczyciela.

— Opuścić, opuścić was?! — zapytał z oburzeniem Mistrz Zwierząt. — Po prostu przezornie się ukryliśmy. Tylko wy, ludzie, jesteście na tyle nierozsądni, żeby stać jak głupie togary oczarowane blaskiem księżyca, kiedy śmierć kroczy groblą do waszych drzwi frontowych!

— Honor kazał nam bronić Cytadeli! — odparła czywie Kadiya.

— No cóż, sama widzisz, co sprowadził na was ten honor — powiedział Uzun. — Gdybyście odeszli do Błotnego Labiryntu, do naszych ziomków w Treviście, moglibyśmy dać wam schronienie.

— A co potem? — spytała Kadiya. j]

— Potem... — Mistrz Zwierząt wzruszył wąskimi ramie mi. — Moglibyście zamieszkać z nami.

— Ale tu jest nasza ojczyzna — zaprotestowała łagodnie Anigel.

— A teraz należy do nich — usłyszeli szorstki głos Immu. Naciągnęła dywan na półprzymkniętą klapę, opuściła ją i szybko zeszła na dół, po czym podniosła swoją latarnię. — Oni was szukają i chcą was zabić. Nas również zabiją, jeśli złapią.

— A mimo to przybyliście, by nas ocalić — powiedziała miękko Anigel. Ścisnęła w dłoniach amulet. — Biała Pani wysłuchiwała naszych modłów.

— To prawda — Uzun ze złością nakreślił nad głową mistyczny znak trójlistnego kwiatu. — Jak wiecie, drogie księżniczki, mało znam się na domowej magii. Znacznie lepiej radzę sobie z harfą i fletem z drzewa fipple! Ale wczoraj jasnowidziałem w wodzie, starając się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy nasze losy związane są z ludźmi, którym tak długo służyliśmy, czy z naszą rasą. I Arcymagini przemówiła do nas.

— Arcymagini! — wtrąciła Haramis. — To jedno z imion Białej Damy.

— Damy, damy, damy! — skarciła ją Immu. — Zamilcz, dziecko, i pozwól Uzunowi wszystko wyjaśnić, gdyż musimy szybko się stąd oddalić.

— Mów dalej, Uzunie — Haramis pochyliła głowę.

— Biała Dama w rzeczywistości nazywa się Binah. Arcymagini to jej tytuł, gdyż jest czarodziejką, najpotężniejszą na całym naszym Półwyspie.

— Albo była — dodał ponuro Jagun. — Umiera, bo jest bardzo stara, i jej słabnące moce nie mogły pokonać straszliwego Orogastusa.

— Kazała nam przyprowadzić was do siebie — uzupełnił Uzun.

— Dlaczego? — spytała cierpko Kadiya. — Jeżeli umiera, niewiele będzie mogła nam pomóc, a chyba nie jest to pora na odwiedzin u chorych.

— Powinnyśmy raczej udać się do Trevisty — dorzuciła Haramis. — Będziemy mogli przeczekać tam zimowe deszcze, które spadną za kilka tygodni. Może później uda nam się w przebraniu dołączyć do jakiejś karawany, dotrzeć na wybrzeże i popłynąć statkiem do Varu. Król Fidelon na pewno udzieli nam azylu.

Nic mi o tym nie wiadomo — przemówił z godnością Uzun. — Arcymagini poleciła nam przyprowadzić was do mej — tak jak przed laty rozkazała nam trojgu służyć w tym człowieczym zamczysku na wypadek wielkiej Potrzeby dla wszystkich mieszkańców

Błotnego Labiryntu. — A ten dzień nastał właśnie dzisiaj, albo jestem wolumnialem o pierścieniowatym ogonie! — dokończyła za Uzuną Immu. Zaciśnęła usta, przechyliła głowę i nastawiła długie uszy tak, że kolczyki zabłyśły w świetle lamp. — Opuszczają teraz kaplicę — powiedziała w końcu. — Ale wszyscy będą przeszukiwać zamek na rozkaz króla Voltrika. Nawet sługusi czarownika, którzy nazywani są jego Głosami i zadają się ze Skritekami! W drogę!

— Haramis, najstarsza córko króla Kraina, pójdziesz ze mną — rzekł Uzun. — Jagun i Immu poprowadzą twoje siostry inną drogą. Tak rozkazała nam Arcymagini.

Przez chwilę wydawało się, że Haramis odmówi. Porzucić siostry? Zaciśnęła rękę na amulecie, z którym nie rozstawała się od chwili narodzin.

— Ależ ja nie mogę ich opuścić! Jako najstarsza i następczyni tronu jestem za nie odpowiedzialna. Kiedy wymagały tego okoliczności, zawsze decydowałam za wszystkie.

— Haro, posłuchaj go — ponagliła ją Anigel. — Zaufaj Białej Pani.

— Nie podoba mi się to, siostry — oświadczyła Kadiya marszcząc opalone czoło. Włosy, brunatne jak u matki, miała zmierzwione i kosmyki wymykały się z warkoczy. — Jeżeli zostaniemy razem, mój sztylet zapewni nam jakąś ochronę. Z radością oddałabym życie...

— Życie, życie, życie — powtórzyła z irytacją Immu. — Dlaczego zawsze jesteś taka porywczą?! I dlaczego to Haramis ma podejmować decyzje? Anigel nie jest taka uparta jak wydwie, a przecież najmądrzejsza z całej trójki! Powiedz im, Uzunie! Powtórz im wszystko, co powiedziała Arcymagini!

— Powstrzymałem się od tego, nie chcąc was przestraszyć — wyznał z zakłopotaniem muzyk. — Arcymagini kazała wam przybyć do niej, ponieważ jeszcze nie jesteście przygotowane do spełnienia waszego przeznaczenia. W rzeczywistości nawet nie macie o tym pojęcia. — Haramis i Kadiya zachnęły się na te słowa, ale Uzun mówił dalej: — Wy, trzy królewskie córki, Płatki Żywego Trillium, musicie uratować waszą ojczyznę, wyzwolić spod jarzma króla Voltrika i Orogastusa, lecz powiedzcie się wam tylko wtedy, gdy wyzbędziecie się swoich wad i słabości. Arcymagini powie wam, jak to zrobić, gdy do niej przybędziecie.

— Hara... Kadi... proszę! — Anigel wzięła siostry za ręce. Kadiya opuściła powieki i skinęła twierdząco głową.

— Dobrze — rzekła chwilę później Haramis.

— Na Czarny Kwiat, najwyższy czas! — zawołała Immu. — Haramis, musisz pójść z Uzunem. Anigel i Kadiyo, pójdziecie ze mną i z Jagunem.

Mówiąc to kobieta Nyssomu pociągnęła Anigel w głąb wąskiego, pełnego kurzu tunelu. Myśliwy ruszył za nią, poganiając przed sobą Kadię jak łowca swoje ogary. W jednej chwili ich żywe lampy zniknęły w gęstym mroku.

— A my dwoje musimy wędrować razem — powiedziała Haramis do muzyka. — Stary przyjacielu, mam nadzieję, że Biała Pani wzmocniła twą słabą magię, gdyż nawet najpiękniejszą grą na flecie nie powstrzymasz wojowników z Labornoku ani ich przywołującego burze czarownika.

— Ja również się boję, księżniczko — przyznał Uzun. — Ufam jednak Arcymagini i ty też musisz jej zaufać. A rozkazała mi zaprowadzić cię na szczyt Wielkiej Wieży Cytadeli.

Dziewczyna zbladła ze strachu. Jej twarz, okolona czarnymi włosami, wyglądała w mroku jak oblicze widma.

— Wpadniemy w pułapkę! Labornokowie na pewno nas tam znajdą! Och, dlaczego nie posłuchałam Kadi?

— Chodź! — ponaglił ją Uzun. Oddalił się spieszenie z latarnią i Haramis, nie mając wyboru, musiała pójść za nim.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kadiya, Anigel i dwoje Odmieńców uciekali ciemnymi, wąskimi korytarzami biegnącymi wewnątrz kamiennych ścian wielkiego, centralnego zamku Cytadeli, co jakiś czas mijając różne tajemne drzwi z maszyną pokrytą grubą warstwą kurzu. W końcu, gdy zeszli po stromych schodach, dotarli do korytarza, w którym znajdował się otwór pozwalający zajrzeć do sali tronowej.

Jagun zerknął do pustej teraz i cichej wielkiej komnaty. Później zrobiła to Immu, a po niej księżniczka Kadiya, która wydała cichy okrzyk bólu. Uderzając pięściami w ścianę płakała bezgłośnie.

Cała trójka poprosiła księżniczkę Anigel, żeby tam nie zaglądała, z obawy, że zemdleje na straszny widok. Ta jednak nie chciała się ruszyć z miejsca, dopóki Jagun nie odszedł na bok. Przyłożyła oko do otworu w ścianie i przyjrzała się zbezczeszczonym zwłokom wziętych do niewoli Zaprzysiężonych Towarzyszy i samego króla Kraina. Ku zdumieniu pozostałych jednak ani nie skuliła się ze strachu, ani nie wybuchnęła płaczem, tylko zamknęła oczy i zacisnęła w dłoni swój amulet, dar Arcymagini. Po chwili westchnęła głęboko.

— Immu, jesteś stara i mądra. Powiedz mi — zapytała — dlaczego Labornokowie to zrobili, skoro nasz ojciec i jego rycerze poddali się i byli w ich mocy?

— Trudno jest to zrozumieć komuś takiemu jak ty, moje dziecko. Masz łagodne usposobienie i przez całe życie znałaś tylko miłość i dobroć. Są jednak tacy, którym okrucieństwo zapewnia rozkoszny dreszczyk i poczucie władzy. Sami będąc ludźmi małodusznymi i tchórzliwymi, otaczają się takimi, którzy lubią się pastwić nad innymi. Znajdując niewiele szczęścia w życiu, ulegają najgorszemu ze wszystkich pragnień — szukają zadowolenia w niszczeniu i zadawaniu bólu drugim. Okrutne czyny wprawiają ich w egzaltację. Śmierć dodaje niezwykłego posmaku ich życiu. Niszcząc życie rzucają wyzwanie Stwórcy. Gardzą miłością i zapamiętują się w nienawiści, gdyż tylko ona budzi ich zimne, obojętne dusze. Nie znają litości ani wyrzutów sumienia. Pożądamy tylko jeszcze bardziej wyrafinowanego okrucieństwa. Mając do czynienia z takimi istotami dobrzy ludzie nie mogą, a raczej nie powinni, odpowiadać dobrem na zło, gdyż złoczyńcy nie wiedzą, co to miłość, myśląc ją ze słabością. Dlatego ty, łagodna i kochająca księżniczko, musisz surowiej traktować złoczyńców.

— Och, nie mogłabym tego zrobić — odrzekła Anigel, drżąc na całym ciele — nawet obejrzawszy ten straszny widok!

— To nieważne, droga Ani. — Kadiya objęła siostrę. — Już ja się postaram, żeby zapłacili za to, co zrobili!

Ruszyli w dalszą drogę. Szli wciąż dalej i dalej, pogrążając się coraz głębiej we wnętrzu Cytadeli, aż wreszcie tajemny korytarz zakończył się ślepyim zaułkiem — ścianą z cegły.

Ogarnięta paniką Anigel zaczęła już szlochać, ale Immu uciszyła ją, Jagun zaś zbliżył lampę do przeszkody i jął wodzić po niej palcem. Nagle jakiś fragment muru poruszył się i przesunął: księżniczki dostrzegły blask pochodni, uchwyciły znajomą woń chłodu i zrozumiały, gdzie się znajdują. Przeszły pośpiesznie między rzędami beczulek i wielkich miedzianych kotłów, pod którymi dostrzegły kałuże piwa. Był to browar Cytadeli, nadzorowany dotychczas przez Immu. Teraz jednak robotnicy uciekli, a ogniska zgasły i nikt nie pilnował wielkiej kadzi z brzeczką.

Teraz prowadziła Immu. Weszli do spichlerza, gdzie musieli przesunąć stertę worków. Za workami znajdowały się butwiejące drewniane drzwi, które otworzyły się z głośnym trzaskiem, gdy Jagun podważył je pogrzebaczem. Drzwi prowadziły do wykutych w skałę stromych schodów, wilgotnych i śliskich od wody sączącej się przez szczeliny. Schodzili w

dół, a mokre ściany połyskiwały w bladej poświacie lamp i jej odbiciu w kałużach tłustego mułu.

— Ta droga prowadzi do najgłębszej i najstarszej części Cytadeli, do lochów, piwnic, cystern i ścieków zbudowanych przez Zaginionych. Nigdy dotąd nie widział ich żaden Ruwendianin.

W położonych wyżej korytarzach minęli kilka tkających sieci lingitów, maleńkich, nieszkodliwych stworzonek żywiących się domowymi owadami. Lecz u stóp schodów znajdowało się rozległe i niskie pomieszczenie, z którego sufitu zwieszały się stalaktyty. Między nimi dostrzegli duże, zębate lingity wielkości owocu ladu. Tkały one niezdarne, lepkie sieci wielkie jak prześcieradła. Jagun i Kadiya sztyletami wyrabali przejście przez zagradzające im drogę czarne płachty. Anigel kuliła się ze wstrętu, gdy Immu kopniakami odrzucała na bok oburzone stworzenia, które piszczały i skrzeczały, próbując przegryźć buty intruzów.

Potem szli następnymi, byle jak wykutymi w skale schodami. Zapach nieświeżej wody nasilał się coraz bardziej. Wreszcie dotarli do przymkniętej tylko, zardzewiałej bramy. Za nią ziało następne wejście. Na ścianach dostrzegli puste kabłaki na pochodnie i haki z wiszącymi na nich pękami kluczy. Wszystko było tak przeżarte grynszpanem, że pęk kluczy rozpadł się na kawałki, gdy Kadiya tylko dotknęła jednego z nich. Brnęli przez kałuże; z każdą chwilą byli coraz bardziej zachlapani błotem. W podziemnym przejściu zrobiło się jaśniej i ujrzeli przed sobą żółtawą poświatę.

Weszli do dużego pomieszczenia o łukowym sklepieniu. Był to korytarz więzienny, wiodący wzdłuż pełnych zgnilizny cel; podłogę, ściany i sufit pokrywała pasmami śliska świecąca substancja. Leniwie ślizgały się po nich jakieś bezkształtne istotki. To one pozostawiały za sobą owe błyszczące ślady.

— To są mulaki — powiedział Jagun. — Żyją też w odległych zakątkach Mglistych Błot.

— Brr! — wzdrygnęła się Anigel i wskazała z przerażeniem jedną z cel. Jej drzwi wypadły z przegniłej framugi i odsłoniły szkielet przykuty do ściany zardzewiałymi łańcuchami. Z oczodołów bił blask, gdyż zagnieździły się w nich mulaki.

— Cóż za obrzydliwe miejsce! Patrzcie! W tym kącie są zardzewiałe narzędzia tortur. I te ohydne śliskie stwory! Są w każdej szczelinie i w każdym zakątku. To stare wiadro roi się od nich. Och! Jeden gramoli się po moim trzewiku! — Daremnie Anigel próbowała zeskrobać mulaka odłamkiem kamienia wzdragając się z obrzydzenia, a potem wybuchnęła płaczem.

Immu ruszyła na pomoc ukochanej wychowance. Zręcznie przebiła ślimaka sztyletem, który nosiła pod fartuchem, i odrzuciła go na bok. Wyciągnęła suchą chusteczkę, wytarła zapłakaną i umorusaną twarz Anigel, pocieszając ją półgłosem.

— Daleko jeszcze? — zapytała Kadiya. — Pantofelki mojej siostry nie chronią przed wilgocią, a jej suknia i lekki płaszcz zupełnie przemokły. Zaziębi się na śmierć!

— Czeka na nas ciepła, sucha odzież, ale musicie wiedzieć, że zanim opuścimy to miejsce, wszyscy zdążymy przemoknąć do suchej nitki. Słuchajcie!

Uciekinierzy znieruchomieli. Jagun zerwał z głowy czapkę, która przeszkadzała mu nasłuchiwać. Jego twarz stężała jak maska, skóra ciasno obciągnęła kości policzkowe. Wielkie oczy świeciły jak bursztynowe kule, szerokie usta rozchyliły się, ukazując długie kły, których ludzie zwykle nie zauważają. Kły te przypominały, iż nawet ci pokojowo usposobieni Nyssomu byli niegdyś myśliwymi i używali wtedy nie tylko dmuchawek czy włóczni.

Księżniczki usłyszały tylko plusk spadających kropel, ale Jagun rzekł:

— Poszli naszym tropem! Na pewno odkryli nasze ślady w browarze! Szybko!

Popędził do niewielkiego otworu po przeciwnej stronie korytarza, który wyprowadził ich na inne strome schody. Na wysokości rąk Odmieńca biegła poręcz. Okazała się bardzo pomocna, gdyż stopnie były mokre i śliskie. Kadiya i Anigel trzymały się jej kurczowo, gdy

mknęli w dół co sił w nogach, nie zauważając, iż pozostawiają świecące słabo ślady, które ciemniały, w miarę jak schodzili coraz głębiej.

Światło gwałtownie kołyszących się lamp nie na wiele im się przydało, dopóki nie dotarli na samo dno. Znaleźli się w ogromnej jaskini, po kostki w błocie. Podziemną komnatę wypełniały dziwne, zardzewiałe urządzenia i połamane rury grubsze niż pień drzewa. Mieszkały w nich świecące mulaki i jakieś większe od nich skrzydlate stworzenia, które, przerażone, wleciały z gwizdem w mrok. Jagun poprowadził swoich towarzyszy do pokrytej brukiem płaszczyzny na środku pieczary. W samym centrum znajdował się ciemny otwór o średnicy dwóch elli, otoczony niskim murkiem.

Właśnie wtedy z góry dobiegł ich cichy szczeł zbroi i ludzkie głosy. Anigel krzyknęła z przerażenia. Jagun zajrzał do studni i wrzucił do niej leżący w pobliżu kamień. Po dłuższej chwili usłyszeli słaby plusk.

— Dobrze! — zawołał myśliwy. — Obawiałem się już, że wielka cysterna będzie pusta, gdyż mamy porę suszy. Ale wszystko w porządku. Tędy uciekniemy. — Przywołał Kadię ruchem ręki i dodał: — Chodź, moja dzielna dziewczynko. Ta cysterna to starożytny magazyn wody, zbudowany dawno temu, zanim Cytadela osiągnęła obecne rozmiary. Zasila ją kanał prowadzący do rzeki Mutar na pomoc ód Pagórka Cytadeli. Arcymagini Binah rozkazała mojemu bratu Rapahunowi przypłynąć łodzią do tajemnego wejścia do kanału. Wystarczy, że tu wskoczmy.

— Wskoczmy?! — powtórzyła Kadiya z niedowierzaniem. Jagun schował latarnię do mieszka przy pasie.

— Pójdę pierwszy i będę wam pomagał.

— Ależ ja nie umiem pływać! — jęknęła Anigel.

— Za to my umiemy, moja słodka — pocieszyła ją Immu. — Podtrzymamy cię.

Kroki zbliżających się Labornoków były coraz głośniejsze.

— Nie ma chwili do stracenia — rzekł Jagun. — Skaczę. Machnął wesoło ręką, stanął na krawędzi studni i zniknął.

Usłyszeli cichy plusk, a potem głucho wołanie:

— Skaczcie! Wszystko w porządku!

— Oby Władcy Powietrza dodali mi odwagi! — Kadiya głęboko odetchnęła.

Ścisnęła w dłoni amulet, zbliżyła się do studni i skoczyła, zanim sparaliżowała ją panika.

Spadała. Pomóż mi, Biała Damo! Pozwól mi lekko wylądować... błagała w myśli. Unosiła się w powietrzu. Co to takiego? Strach ustąpił miejsca zaskoczeniu. Nadal ścisnęła amulet. Dmący w górę lekki wiatr uświadomił jej, że dziwnie powoli spada w głębinę. W dół, w dół, w dół — a potem wślizgnęła się w zimną wodę tak łatwo jak nóż do naoliwionej pochwy. Unosiła się na powierzchni. Silna ręka Jaguna podtrzymywała ją do chwili, gdy Kadiya uderzyła o kamienne bloki.

— Jest tu wąskie przejście — powiedział Odmieniec. — Wdrap się na nie, podam ci latarnię.

Ale Kadiya nie ruszała się z miejsca. Oszołomiona, uczepona kamiennego obrzeża, z załzawionymi oczami szepnęła:

— Jagunie... stary przyjacielu... ja wcale nie spadałam! Unosiłam się w powietrzu jak skrzydlate nasienie salithu!

— Co ty pleciesz, dziewczyno?! — zapytał ostro Odmieniec, który zawsze zwracał się do niej miękko, z szacunkiem.

— Ścisnęłam mój amulet i modliłam się, żeby wylądowałam miękko. I tak się stało! Sami Władcy Powietrza mnie nieśli.

— Na Potrójnego Boga! To niemożliwe!

— Mówię ci, że unosiłam się w powietrzu! I wylądowałam lekko na wodzie!

Nagle oślepiło ją światło, gdyż Jagun wyciągnął swoją latarnię i postawił ją na brzegu cysterny. Stał obok Kadiyi z wybaluszonymi oczami, targany niepokojem i przerażeniem.

— Przepowiednia mówi... Ale nie mamy na to czasu! — jęknął. — Ta tajemnica musi poczekać, aż będziemy bezpieczni. — Podniósł głowę i zawołał Anigel, by skakała. Jego słowa odbijały się echem w mroku.

Anigel usłyszała go i podeszła do studni. Immu dodawała jej odwagi.

— Skacz! — ponaglił ją myśliwy. — Skacz, królewska córko! Nic się nie bój!

A potem usłyszała dziwnie radosny głos Kadiyi.

— Skacz, Ani! Trzymaj mocno amulet, módl się, byś spadła powoli i tak się stanie! Amulet jest zaczarowany i możemy mu rozkazywać!

— Co takiego? — Immu nachyliła się nad cembrowiną. — Księżniczko Kadiyo! Czy to prawda?

— Tak, tak się stało, droga Immu! I pomyśleć, że nigdy nic nie podejrzewałyśmy! Skacz, Ani, i zaufaj podarkowi Białej Damy!

Anigel zacisnęła zęby, ścisnęła wisior i zatrzęsała się tak gwałtownie, że Immu złękła się, iż dziewczyna dostała jakiegoś ataku.

— Nie mogę skoczyć! Boję się! A jeśli czar dla mnie nie podziała?

Blade, pomarańczowe światło zamrugało na schodach. Szczęk zbroi i broni zmieszał się z męskimi głosami przeklinającymi mulaki.

— Książę Antarze! Tędy! Idź po świecących śladach!

— Musisz skoczyć! — błagała Immu. — Najdroższa Ani, oni wkrótce nas dogonią. No, daj mi rękę, a drugą trzymaj amulet i obie razem zeskoczymy.

— Nie! Nie! — Anigel odskoczyła od studni, otwierając szeroko oczy z przerażenia.

— Księżniczka boi się, a ja nie mogę jej opuścić! — zawołała Immu.

— Więc ją popchnij, głupia! — wrzasnął skrzekliwie Jagun. Immu odwróciła się do przerażonej dziewczyny, unosząc wysoko latarnię, ale ta, ogarnięta paniką, cofnęła się, przewracając oczami kręciła gwałtownie głową. Mała kobieta Nyssomu chwyciła księżniczkę za rękę i pociągnęła w stronę studni. Dziewczyna opierała się ze wszystkich sił. Obie poślizgnęły się i spadły z platformy w płynne błoto. Szamotały się i wrzeszczały jak Skritekowie topiący swoje ofiary.

Na tę właśnie chwilę trafił książę Antar i jego ludzie. Zmusili do wstania przemoczoną, płaczącą Anigel i jej piastunkę. Stały ze zwieszonymi głowami w otoczeniu dwunastu uzbrojonych mężczyzn, którzy trzymali wysoko dymiące pochodnie, żartując nieprzyzwoicie z branek. Książę Antar, na którego twarzy malowało się napięcie, zapytał:

— Gdzie są pozostałe?!

Immu wysunęła długi chwytny język. Jeden z labornockich rycerzy wyciągnął miecz i byłby ją zabił na miejscu, gdy Arftar zawołał:

— Nie rób tego, Rinutarze! Labornok cofnął się, sarkając pod nosem.

Antar łagodnie wziął za rękę ubłoconą Anigel i spojrzał jej w twarz. Była bez wyrazu, oczy mętne i szkliste, jak martwe.

— Pani, czy one wskoczyły do tej studni? — zapytał.

— Tak — odrzekła cicho Anigel. — Uciekły. Zabij nas, ale pamiętaj, że moja siostra Kadiya włada teraz wielką Mocą i któregoś dnia zemści się na was za haniebnny czyn, którego dzisiaj dokonaliście.

Słyszając to labornoccy rycerze zakrzyknęli i zasypali dziewczynę pytaniami, ale Anigel nie chciała nic więcej powiedzieć.

— Książę panie, czy mam je zabić? — zapytał Rinutar.

— Nie. Trzeba je przesłuchać. Musimy się dowiedzieć, jaki rodzaj czarów — jeśli takowe istnieją — przeciwstawia się naszej władzy nad Ruwendą.

— Pozwól mi tylko zająć się tą szkaradną wiedźmą—Odmieńcem — wtrącił żywo Rinutar, chowając miecz i wyciągając błyszczący sztylet. — Jeżeli tylko trochę z nią poigram na oczach księżniczki, ta niebawem wyzna wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Och, nie! Proszę, nie... — słowa Anigel zakończył jęk i księżniczka upadła bez zmysłów w zamuloną wodę.

Książę Antar wziął ją za rękę. Patrząc w migotliwym blasku pochodni na wątłe ciało, które trzymał w ramionach, i na bladą twarz Anigel, pomyślał, że nigdy w życiu nie widział tak pięknej kobiety, choć teraz była brudna, w przemoczonej odzieży. Poczul ulgę na myśl, że nie musi już teraz, zaraz, wyrażać zgody na torturowanie jej towarzyszkii—Odmieńca, a tym bardziej zabijać tej ślicznej, bezbronnej istoty, której głowa spoczywała na jego piersi.

— Nie mamy tu nic więcej do roboty — powiedział. — To oczywiste, że pozostałe siostry nam się wymknęły i że nie możemy ich ścigać. Porzućmy więc pościg i zabierzmy te branki do mojego królewskiego ojca. Niech on zadecyduje o ich losie.

Rycerze myśl o zaniechaniu pościgu przyjęli z entuzjazmem, gdyż niesamowite wnętrze Cytadeli budziło niepokój i odbierało odwagę. Antar rozkazał marszałkowi Owanonowi związać Immu i ponieść ją przerzuconą przez ramię. Sam też tak postąpił z księżniczką Anigel. Później zaczęli piąć się w górę, a miała to być długa droga.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Haramis biegła za mknącym nierównymi krokami muzykiem i ucieczka na oślep pozwoliła jej lepiej poznać samą siebie — swoją odwagę czy też jej brak — a tego nigdy dotąd nie robiła.

Wędrowali w górę tajemnymi schodami i korytarzami, które stawały się coraz węższe, bardziej zakurzone i obrosnięte pajęczynami. Dotarli do miejsc, w których, wedle zapewnień Uzuna, nie stanęła ludzka stopa, odkąd pierwsi Ruwendianie objęli we władanie starożytną Cytadelę. Wreszcie ukryty korytarz się skończył i musieli wyjść na otwartą przestrzeń. Stanęli naprzeciw zbudowanych przez Ruwendian ogromnych spiralnych schodów we wnętrzu Wielkiej Wieży. Knoty tkwiące w butlach z olejeni, umocowanych na ścianach w żelaznych kabłąkach, paliły się — jasne było, że szukający zbiegów Labornokowie już przetrząsnęli wieżę.

Haramis i Uzun wspinali się z piętra na piętro. Teraz mijali olbrzymią królewską bibliotekę. Najstarsza księżniczka spędziła tam nad księgami wiele szczęśliwych dni. Biblioteka była teraz pusta, ale Haramis aż jęknęła z oburzenia widząc zwalone półki i cenne woluminy rozrzucone w nieładzie na podłodze. Jednak nic nie zostało umyślnie zniszczone. Na pewno Orogastus rozkazał oszczędzić bibliotekę, pomyślała. Zrobiłaby tak na jego miejscu.

Mimo woli poczuła podziw dla nieprzyjacielskiego czarownika, który nauczył się rozkazywać błyskawicom, który jasnowidzącym wzrokiem zbadał zawile drogi prowadzące przez Błotny Labirynt. Ruwenda padła tylko z powodu mocy Orogastusa, a Haramis doceniała fachowość, nawet jeśli zwrócona była przeciw niej samej i jej bliskim. Potężny czarownik ciekawił ją. Idąc za Uzunem rozmyślała o nim. Jakim jest człowiekiem?

Haramis i Uzun ostrożnie przemknęli się obok otwartych żelaznych wrót przedpokoju na piętnastym piętrze wieży, gdzie przechowywano klejnoty koronne. Księżniczka zawahała się, usłyszawszy odgłosy poszukiwań za zamkniętymi drzwiami skarbcza, ale nikt stamtąd nawet nie wyrzwał. Wspinali się po schodach mimo następnego zamkniętego, okratowanego piętra, gdzie zgromadzone były szlifowane i nieszlifowane kamienie szlachetne oraz świeżo wybite monety, aż dotarli na siedemnaste piętro, będące rodzajem ufortyfikowanej pracowni — naprawiano tam lub przetapiano cenne przedmioty. Haramis wiedziała, że do szczytu pozostały jeszcze dwie kondygnacje: najpierw mała zbrojownia, a potem sypialnia gwardzistów i innych pracowników zatrudnionych w wieży.

Uzun zatrzymał się, by odpocząć. Zdjął beret, otarł chustką spocone, pomarszczone czoło, kurczowo łapiąc oddech. Haramis patrzyła na niego z troską. Ten Odmieniec był jej przyjacielem od wczesnego dzieciństwa, darzyła go przywiązaniem i ufała mu, chociaż nie był człowiekiem. Ze wszystkich tubylców Nyssomu najbardziej przypominali ludzi, ale w ich żyłach płynęła krew dziwnie ciemnoczerwona, mieli odmiennie ukształtowane kości i ich serce biło po prawej stronie. Wszyscy twierdzili, że mają dar jasnowidzenia i czasami rzeczywiście mogli bez słów porozumiewać się na odległość. Jednak większość Ruwendian uważała ich za niższe od siebie istoty, niecywilizowane i pozbawione kultury, i nie zmieniał tej oceny fakt, że szybko uczyli się ludzkich obyczajów i czasami przewyższali ludzi znajomością ich własnych sztuk i umiejętności. Jako małe dziecko Haramis przez jakiś czas myślała, że Odmieńcy z rasy Nyssomu są własnością jej ojca tak samo jak jego zwierzęta. Król Krain wytłumaczył jej wtedy, że mali tubylcy są wolni, mają dusze i że należy ich traktować jak prawdziwych ludzi...

Kiedy Uzun odpoczął, ruszyli w dalszą drogę. A gdy podeszli do ostatniej sekcji schodów, Uzun zatrzymał Haramis, sam zaś poszedł zbadać, czy droga jest wolna. W miarę jak zbliżali się do blanków wieży, księżniczka niepokoila się coraz bardziej, nie wiedząc, czego się

spodziewać. Kiedy Odmieniec wyjrzał ponad podestem ostatniego piętra, Haramis ciaśniej okręciła się opończyą. Zimny wiatr wpadał przez otwarte strzelnice i spłaszczal płomienie kaganków palących się na ścianach.

Księżniczkę ogarnęło przerażenie, gdy Uzun nie dał jej przywołującego znaku ręką, tylko przyczołgał się z powrotem, nakazując przyciskając do ust szeroki, przycięty pazur. Dostrzegła trwogę w jego wielkich złotych oczach.

— Jeden rycerz stoi na straży, księżniczko — szepnął. — Pozostali na pewno przeszukują to piętro.

— Wiedziałam o tym! — odparła równie cicho Haramis. — Znaleźliśmy się w pułapce! Nieprzyjacielscy żołnierze są nad nami i pod nami! Plan Białej Damy się nie powiodł.

— Cicho, cicho — szepnął błagalnie Odmieniec. — Myślę, że można ich wyminąć, ale musisz okazać odwagę i poruszać się szybko. Czy możesz podwiązać swoją suknię?

Haramis ponuro skinęła głową, na rozpostartej opończy ostrożnie położyła koronę i całość zwinęła w tobołek. Potem podkasała suknię paskiem ozdobionym drogimi kamieniami. Przerzuciła tobołek przez ramię. Spojrzała na Uzuna.

— Co teraz? — spytała.

— Na blanki wchodzi się po drabinie, która stoi w pobliżu schodów, jakieś cztery elli dalej jest tamten Labornok. Raniono go w lewe ramię, bo ma tam opatrunek, ale prawe jest w porządku. Może być już zmęczony i mieć dość tych daremnych poszukiwań, pozbawiły go przecież przyjemności łupienia, ucztowania i picia.

— I gwałcenia mieszkanek Cytadeli — dodała Haramis. — Mnie też czeka taki los, zanim poderżną mi gardło i ciało, wrzucą do kloaki.

Uzun popatrzył na nią z wyrzutem.

— Księżniczko, wyrządzą ci krzywdę tylko po moim trupie. Błagam cię, zaufaj Białej Pani i wysłuchaj mojego planu.

Haramis nerwowo bawiła się amuletem, gładząc kciukiem gładki bursztynowy wisior z tkwiącym w nim czarnym pączkiem trillium. Nie wątpię w twoje oddanie, pomyślała, ale „po moim trupie” nie będzie trudnym zadaniem dla uzbrojonych po zęby żołnierzy.

— Słucham cię, Uzunie — powiedziała nie chcąc ranić uczuć małego Odmieńca.

— Zeskoczę zniecka ze schodów i pobiegnę ku rycerzowi udając, że oszalałem ze strachu.

— To nie powinno być trudne, jeżeli jesteś tak samo wystraszony jak ja.

— Będę skakał, mamrotał i wywraçał oczami. — Haramis wiedziała, że byłoby to prawdziwe poświęcenie z jego strony. Ostatni raz widziała, jak to robił dla rozbawienia jej i jej sióstr, kiedy była bardzo mała. Zanim skończyła sześć lat, dowiedziała się, iż żaden dorosły Nyssomu nie okazałby takiego braku opanowania, chyba że wymagałyby tego niezwykle doprawdy okoliczności.

— Odwróć uwagę tego łajdaka — ciągnął Uzun. — Ty zaś tymczasem musisz wejść po drabinie i otworzyć klapę prowadzącą na dach. Pójdę za tobą, potem razem zrzucimy drabinę, zatrzaśniemy klapę i zamkniemy ją. Nie będzie mógł nas ścigać.

— A co potem? Nawet jeśli zdołamy powstrzymać labornockich żołnierzy — zakładając, że czarownik nie porazi nas jedną z tych swoich przeklętych błyskawic — nie wytrzymamy długo oblężenia na dachu wieży. Oczywiście możemy zginąć bohaterską śmiercią albo umrzeć z głodu, ale to w niczym nie pomoże Ruwendzie!

— Ja nie wiem, co się wtedy stanie! — warknął zniecierpliwiony Uzun. — Wypełniam tylko rozkazy Białej Pani! Och, księżniczko, czy mogłabyś przestać zasypywać mnie pytaniami, choć na jakiś czas? W każdej chwili może pojawić się więcej rycerzy! Daj mi tylko chwilę na odwrócenie uwagi tego Labornoka, a potem idź szybko.

Wbiegł po schodach do przedsiönka wartowni.

Haramis usłyszała przekleństwa żołnierza, a potem świst wyciąganego miecza. Uzun jednak chichotał jak szaleniec, podskakując w miejscu, a przekleństwa Labornoka ustąpiły miejsca rubasznemu śmiechowi. Haramis w napięciu spojrzała do góry i zobaczyła opanowanego zwykle muzykanta brykającego, kłapiącego komicznie długimi uszami jak skrzydłami niczym nocny ptak, który upił się sfermentowanym sokiem owocowym. Wysuwał oczy na szypułkach, zwijał i rozwijał długi język, gwizdząc dziwacznie.

Labornocki rycerz opuścił miecz i wybuchnął śmiechem. W tej samej chwili Haramis wspięła się po drabinie i otworzyła drzwi prowadzące na dach.

— Uzunie! Chodź! Pośpiesz się! — Uklękła na dachu i uchwyciła się ciężkiej drabiny, na którą wskoczył Odmieniec i jął się szybko wspinać. Oszukany rycerz krzyknął głośno. Potykając się ruszył w stronę Uzuna, grożąc mu mieczem. Haramis chwyciła przegub Odmieńca i wciągnęła go do góry. Wymierzony w stopy muzyka miecz ugrzązł w szczelbu. Haramis i Uzun szarpnęli ze wszystkich sił i odepchnęli drabinę. Labornok tymczasem niezdarnie usiłował wyciągnąć brzeszczot.

Stracił równowagę, zaplątał się i runął na podłogę. Z sypialni gwardzystów rozległy się krzyki. Kiedy Uzun zatrzasnął już i zaryglował drzwi zapadowe, kilku labornockich rycerzy wybiegło sprawdzić, co się dzieje.

Na dachu Wielkiej Wieży wiał silny wiatr, niosący zapach bagien. Szarpał na strzępy mgłę, która ukrywała Błotny Labirynt i niższe partie Cytadeli. Czerwony jak krew labornocki sztandar łopotał na wysokim maszcie z boku wieży wznoszącej się naprzeciw rzeki. Tuż pod nim w dole dopalały się budynki na wewnętrznym dziedzińcu Cytadeli. Płomienie migotały niesamowicie poprzez płaszcz mgły. Na ciemnoniebieskim niebie jasno świeciły gwiazdy. Na zachodzie Trzy Księżycy zbliżały się do koniunkcji, która miała nastąpić podczas pełni, za cztery tygodnie.

Gniew i oburzenie targały Haramis. Byli w pułapce. Nieprzyjacielscy rycerze rąbali drzwi mieczami i toporami bojowymi i wkrótce je rozbijają. Nie pozwoli, by Labornokowie wzięli ją żywcem! Raczej skoczy z blanków wieży...

Kłapa trzasnęła pod silnym ciosem i na dach z okrzykiem triumfu wydostał się rycerz w hełmie będącym groteskową maską.

Haramis stała z Uzunem na samym skraju blanki, z całej siły ściskając amulet, jak wtedy, gdy w dzieciństwie dręczyły ją senne koszmary. Ale ten tutaj koszmar działał się na jawie.

— Brońcie nas, Władcy Powietrza!

— Biała Damo! Pomóż jej! — zawołał Uzun.

Trzech żołnierzy skoczyło ku nim z podniesioną bronią. Lecz w tej samej chwili silny podmuch smagnął wieżę i dwa wielkie ciemne kształty zanurkowały w powietrzu, przesłaniając gwiazdy. Rozległy się okrzyki, podobne do grania monstrualnych spiżowych trąb. Jeden rzucił się na osłupiałych labornockich wojowników.

— To lammergeiery! — wrzasnął któryś. — Strzeżcie się! — Chwilę później olbrzymie skrzydło przewróciło trzech Labornoków i strąciło z blanków. Okrzyki przerażenia zwały się w jeden przeciągły wrzask, który trwał chwilę, zanim urwał się nagle. Reszta żołnierzy, właśnie wychodząca na dach, cofnęła się szybko. Słysząc było szcęk metalu, odgłosy uderzeń oraz krzyki bólu i wściekłości, kiedy żołnierze spadali z drabiny. Niektórzy zdołali się jednak utrzymać i patrzyli, żaden jednak nie odważył się wyjść na dach.

Później mieli opowiedzieć królowi Voltrikowi i czarownikowi Orogastusowi o tym, co wtedy zobaczyli: dwie olbrzymie istoty o białych ciałach i skrzydłach w czarno-białe pasy lądujące na dachu Wyskiej Wieży. Ich szpony krzeszały iskry z kamieni, a oczy i dzioby pełne zębów błyszcząły w księżycowej poświacie. Księżniczka Haramis dosiadła jednego, a Uzun, muzyk z rasy Odmieńców, wgramolił się na drugiego. Następnie wielkie lammergeiery wzbily się w powietrze i niosąc na grzbietach zbiegów skierowały się na pomocny wschód, ku dalekim szczytom Gór Ohogan.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Haniebna ucieczka doprowadzała Kadiyę do wściekłości. Wróg mógł trafić na ślad uciekinierów czołgających się długim, śliskim skrajem kanału. Nie używano go od niezliczonych stuleci, gdyż Ruwendianie zbudowali inny system wodociągów, ten więc nie tylko się rozpadał, ale ponadto był zapchany ohydnyymi, gnijącymi szczątkami. Jagun zawiesił sobie latarnię na szyi, ale od czasu do czasu zmuszony był zatrzymać się i oddawać ją Kadiyi, by odsunąć stos gnijących gałęzi albo kupę mokrej bagiennej trawy. W kilku miejscach sklepienie się zawaliło, brodząc więc lub płynąc musieli omijać stosy kamieni. Skórzane spodnie Kadiyi niebawem zniszczyły się na kolanach i otarła je sobie do krwi. Mruczała pod nosem zasłyszane w stajniach słowa, których nigdy dotąd nie wymówiła na głos.

— Czy jeszcze daleko do rzeki? — zapytała w końcu, dmuchając na ręce poklute przez cierniste paprocie, które usuwała z drogi.

— Nie. Za dnia moglibyśmy zobaczyć światło przed nami, gdyż te przekłete paprocie nie mogą rosnąć w zupełnej ciemności. Uważaj teraz, bo to doskonała kryjówka dla gradiloków i wodnych robaków.

Kadiya wypluła bryłkę błota o ohydny smaku i poczuła, jak znów rozpała się w niej płomieniem gniew zrodzony na wieść o napaści na Cytadelę.

— Oby wieczny muł pochłonął ich wszystkich! Oby zmije z Vibornu okręciły się wokół ich szyi i przegubów...

— Oszczędzaj siły, królewska córko. Na pewno z czasem duchy zgotują twoim wrogom taki los, jaki nawet ty uznałabyś za karę odpowiednią do popełnionych przez nich zbrodni.

— Nie los, lecz ja ich ukarzę! — odparowała.

Chwycił ją za nadgarstek w znany od dawna sposób oznaczający ostrzeżenie. Przełknęła ślinę i umilkła.

Brodzili teraz, ślizgali się i potykali w drżącym galaretowatym mule, pokrytym siecią strumyczków, aż w końcu znaleźli nadgryzioną zębem czasu kratę i przeszli przez dziurę po odpadłym kamieniu, który miał ją przytrzymać. Wreszcie ujrzeli nad sobą niebo. Jagun wyciągnięciem ręki powstrzymał Kadiyę i z podniesioną wysoko głową oddalił się nieco. Nasłuchiwał uważnie i węszył by sprawdzić, czy są bezpieczni na tym zapomnianym przez wszystkich skrawku ładu.

— Labornokowie musieli gdzieś w pobliżu umieścić strażę — powiedział.

Kadiya spojrzała przez ramię, wyciągając szyję, żeby lepiej widzieć. Zobaczyła języki ognia strzelające wysoko w górę. W Cytadeli było niewiele rzeczy, które mogłyby palić się tak wielkim płomieniem, chyba że najeźdźcy zerwali starożytne draperie ze ścian i roztrzaskali wszystkie meble. Dochodziły stamtąd dzikie okrzyki i przeraźliwe wrzaski — Kadiya próbowała się uodpornić na nie, nie myśleć o tym, co musiało się tam dziać.

— Chciałabym dożyć dnia, kiedy poderżnę wam gardła, abyście mogli chichotać do woli! — Sięgnęła po zawieszony u pasa nóż, dotykając w przelocie amuletu, który wyslizgnął się przez rozdartą koszulę. Jeżeli jego moc pozwoliła jej osiąść łagodnie na wodzie w cysternie... Może miał jeszcze więcej do zaoferowania? Ścisnęła go w dłoni tak mocno, jakby chciała go wcisnąć w pokaleczone cierniami ciało. Posłuży się wolą — wolą i siłą — i słowami, które sobie przypominała:

— Władcy Powietrza, wy wszyscy, którzy wspieracie Potrójnego Boga, użyźcie mi waszej mocy i siły woli, abym mogła ukarać śmiercią tych, którzy zabili waszych wyznawców. O, wy, mieszkańcy powietrznych wyżyn, spełnijcie moją prośbę, pozwólcie mi się zemścić!

Ściskając amulet jak miecz Kadiya skierowała go w stronę płomieni buchających z Cytadeli. W odpowiedzi dobiegł ją z mroku ochryply wrzask, wołanie o jeszcze jedną beczułkę wina.

— Nie działa! — syknęła przez zęby. Omal go nie odrzuciła na bok, ale palce schwylił mocny skurcz i nie mogła ich rozewrzeć.

— Nie — odpowiedział Jagun tak cicho, jakby uspokajał rozkapryszone dziecko.

— Ale ja użyłam woli! Wytężyłam ją bardziej niż wtedy, gdy skoczyłam do studni! — Rozwarła po kolei palce, by obejrzeć amulet. — A jeśli on działa wyłącznie dla mnie? Czy zanieś mnie do Białej Damy? A może nas oboje...

Jagun patrzył na nią spokojnie.

— Możesz tylko próbować, królewska córko — tłumaczył cierpliwie.

Palce Kadiyi znów zacisnęły się wokół amulet.

— Przez moc, która w tobie trwa — zanieś nas teraz do tej, która cię stworzyła — do Arcymagini!

Otaczały ich wciąż gęste ciemności.

— Zanieś więc mnie, jeśli masz jakieś niezwykle właściwości, darze czarodziejki!

Amulet nie reagował.

— Więc to tak... Czyżby tamto mi się tylko śniło? — zapytała Kadiya patrząc w mrok. — Czy wtedy straciłam zmysły, Jagunie?

— Nie mogę na to odpowiedzieć z pełnym przekonaniem, maleńka, gdyż w studni było zbyt ciemno. Może źle obliczyłem czas twego skoku. Nie znam się na starożytnej wiedzy.

— Jagunie, zdaje się że magia nas opuściła, jeśli kiedykolwiek w ogóle nam pomagała. No cóż, przynajmniej ci przeklętnicy nie mają co liczyć, że znajdą nasze ślady w Błotnym Labiryncie. — Kadiya opuściła amulet.

Wiele razy podróżowała po krainie bagien — ale tylko dobrze oznaczonymi przez Odmieńców drogami. Wiedziała o istnieniu jeszcze innych szlaków, których tajemnic zazdrośnie strzegły klany Nyssomu. Było punktem honoru zapominać o wszystkich wytyczających je wskazówkach, jeśli nie należało się do plemienia. Zbliżywszy teraz głowę do pochylonego Jaguna, zapytała ponuro:

— Te nizinne dranie nie ośmieli się pójść naszym tropem, prawda?

Na poły zasłonięty przez krzaki Odmieniec szukał czegoś po omacku w wodzie.

— Ich czarownik wezwał Skriteków. Oprócz tego Pellan przyłączył się do nich.

— Pellan! — Był to jeden z kupieckich przewodników, który poznawał sekrety ukrytych szlaków prawie od dzieciństwa. Jego zdrada wydawała się prawie niemożliwa. Ale przecież jeszcze przedwczoraj przysięgłaby, że Kadiya z Domu Kraina nigdy nie będzie pełznąć po błocie jak wąż.

— Voltrik ma coś, czemu niektórzy nie mogą się oprzeć — ciągnął zimno Jagun. Wyprostował się, a w rękach trzymał grubą linę, która kończyła się w głębokiej wodzie. Szarpnął nią ostrożnie. — Labornocki król ma władzę opartą na bogactwie, a bogactwo jest rezultatem ludzkich działań. Jaki król grzebie w górach w poszukiwaniu cennych złóż, karczuje lasy, kupuje dziwne i niezwykle znaleziska od mieszkańców bagien? Voltrik ma w tym spore udziały, musi jednak podzielić się resztkami ze swymi sługami, a nawet na tych resztkach można się wzbogacić. Chodź, Jasnowidząca Pani — nazwał ją imieniem, które z taką dumą pół roku wcześniej przyjęła od bagiennych plemion. — Czeka nas długa droga.

Prawie go nie słuchała, wstrząśnięta zdradą Pellana. Znała go przecież, był miły, uśmiechnięty, nawet zaprowadził ją do ruin jednego ze starożytnych miast.

— Czy Pellan istotnie zrobił to dla zysku, Jagunie? A może ze strachu? Ma krewnych na nizinie. Widzieliśmy, co ten koronowany morderca może zrobić tym, którzy mu się sprzeciwiają. Strach jest potężniejszy niż magia. Czyż Anigel mu nie uległa?

— Nie osądzaj jej tak pochopnie, królewska córko. Twoja siostra nie poddała się dobrowolnie. Strach może stać się tak wielki, że zamienia się w szaleństwo. Nie ma w tym niczyjej winy.

— Tylko słabość — mruknęła Kadiya.

— Ty również możesz poznać słabość i nawet wielki strach. Nie mów źle o nikim, czyjego brzemienia sama nie poznałaś.

Jagun pociągnął za linę i z mgły wysunęła się mocna łódź zaopatrzona w bosaki i wiosło sterowe. Leżał w niej spory toból, dobrze opatulony dla ochrony przed wilgocią.

— Błogosławiony niech będzie mój brat! — powiedział z wdzięcznością Jagun. — Bardzo dobrze wypełnił instrukcje Arcymagini. Teraz mamy środek lokomocji, żywność i odzież.

Łódź była tak duża, iż mogłoby się w niej zmieścić czterech pasażerów. Kadiya ze smutkiem przypominała sobie, że Anigel i Immu miały podróżować z nimi. Teraz na pewno znajdowały się w rękach wroga. A co z Haramis? Kadiya nie знаła sposobu, by się tego dowiedzieć. Tej nocy była zupełnie sama i czuła ciężar walki z wrogiem na swych barkach.

Wsiedli do łodzi. Jagun ujął wiosło sterowe. Leniwy prąd strumienia opływającego północno-wschodnią część Cytadeli uniósł łódź. Mgła rozstąpiła się na mgnienie i Kadiya dostrzegła przelotnie tę potężną twierdzę na szczycie skały i wiszące nad nią gwiazdy.

Jej dom — w rękach nieprzyjaciół! A gdzie były jej siostry? Może już nie żyją — albo spotkał je jeszcze gorszy los.

Nie! — podniosła ręce do głowy, jakby chciała wyrwać i zniszczyć kształtujące się w niej obrazy. Nie wolno jej o tym myśleć. Nie wolno!

— Dokąd płyniemy? — Istniało wiele rodzajów oporu. Zemści się niewątpliwie, ale sama nie pokona króla Voltrika. Czy Haramis i Anigel — jeśli żyją — przyłączą się do niej? Nie wypowiedziała na głos tego pytania, lecz odpowiedział na nie Jagun i nie po raz pierwszy ją to zaskoczyło. Rzekł bowiem:

— Twoje siostry również pójdą tam, gdzie muszą pójść. Teraz musimy myśleć tylko o sobie i o tym, co czeka nas.

— Dokąd płyniemy? — powtórzyła.

— To ty powinnaś dać odpowiedź na to pytanie, Jasnowidząca Pani.

— Jakże mam to zrobić? — Spojrzała znów na Cytadelę. Ogień na dziedzińcu przygasał. Opuściła wzrok. Pod zabłoconym, rozdartym stanikiem dostrzegła blade światło. Przycisnęła je ręką. Zapomniała o amulecie!

Wyciągnęła go zza pazuchy. Zdawał się poruszać na jej brudnej dłoni. Świetlna iskra wskazywała na niebo jak jakaś dziwaczna świeca. Kadiya odetchnęła głębiej. Może jednak mimo wszystko kryje się w nim magiczna moc! Jednak moc ta nie słuchała jej woli, o tym już się przekonała. Stalowy brzeszczot w dłoni był pewniejszy od czarów. Orogastus, wróż Voltrika, władał mocą, która była mu posłuszna. Mógł nawet rozkazywać swemu królowi, traktując go jak narzędzie i zabawkę. Narzędzie i zabawka! To mogło odnosić się także do niej samej i do podarunku Arcymagini! A jeśli magia, tak jak wszystko na świecie, starzeje się, rdzewieje, staje się krucha i łamie, gdy odwołać się do niej za późno?

Sterowana przez Jaguna łódź nagle ostro skręciła i zmieniła kierunek. Iskierka w amulecie poruszyła się jak igła kompasu.

— Jagunie, to jest przewodnik!

— Co jest przewodnikiem? — zapytał zmęczonym głosem Odmieniec. Podprowadził łódź bliżej brzegu i zatrzymał w nurcie omotanym liną kamieniem. Teraz rozwiązywał tobolek.

Kadiya wyciągnęła rękę z amuletem i z podnieceniem opowiedziała mu o zmianie, jaka się w nim dokonała.

— W takim razie — w takim razie wskazuje on drogę do siedziby Arcymagini w Noth. To dobrze, gdyż słabo znam ten teren. Nikt z Nyssomu tam nie poluje. To są Złote Błota, terytorium Uisgu — rzekł Jagun.

Wyjął z tobołka tuniki i spodnie utkane przez jego plemię z aromatycznej trawy. Były tam też kaptury ze skóry fedoka, chroniące przed ulewami, oraz sandały o drewnianej podeszwie. Na końcu wydobyl dwa zamknięte słoje. Gdy je otworzył, rozszedł się zapach zmiądzonych, zmieszanych z maścią ziół, tłumiący bagienne odory.

— Możesz się umyć i wysuszyć swoje ubranie później, jeśli w ogóle da się je naprawić i zacerować. Teraz musisz włożyć strój mieszkańców bagien — powiedział.

Kadiya ściągnęła z siebie podartą odzież i ubrała się w podany przez Jaguna strój, po czym posmarowała maścią ze słoika skórę i nawet zmierzwione włosy. Bez takiej osłony bagienne owady mogły zamienić życie wędrowca w piekło.

Jagun wyciągnął z pętli u pasa wyciętą z trzciny myśliwską piszczałkę. Wydobyl z niej bardzo cienki, niemelodyjny dźwięk i otrzymał odpowiedź.

Pojawienie się wędrowców na drogach wodnych Bagiennego Labiryntu zawsze wywoływało nagłą ciszę, mogącą zaalarmować każdego myśliwego. Kadiya nie zdawała sobie sprawy z otaczającego ich spokoju, dopóki piszczałka Jaguna nie przywróciła normalnych odgłosów życia. Słyszała teraz brzęczenie owadów, ciche mlaskanie, piski i gardłowy zew gulbarda polującego tak blisko, iż dostrzegła jego szarozielone ciało tuż pod powierzchnią wody. Przed sobą widziała tylko mrok.

Płynęli powoli w górę Mutaru, trzymając się z dala od zamieszkanego południowego brzegu. Jagun zachowywał szczególne środki ostrożności, gdy mijali stocznie Ruwendyjskiego Jarmarku na zachodnim skraju Pagórka Cytadeli, gdzie szeroka rzeka wreszcie oddalała się od wyżyny i pogrążała w Czarnych Błotach. Ten gęsto zalesiony rejon rozciągał się na przestrzeni wielu mil kwadratowych pomiędzy Cytadelą a ruinami Trevisty. Otrzymał zaś swoją nazwę od pozbawionych słonecznego światła mokradeł, gdzie wysokie, splecione gałęziami drzewa, obrośnięte w dodatku pędami winorośli i innymi liściastymi pnączami, tworzyły coś w rodzaju baldachimu, tak że ziemia prawie zawsze pogrążona była w cieniu.

Po jakimś czasie rzeka rozdzieliła się na liczne, połączone ze sobą kanały, bez wyraźnie dającego się określić głównego nurtu. W tej części Czarnych Błot były tysiące wysp, — wysepek i niezliczona ilość błotnistych łąk. Nieobeznany wędrowiec bardzo łatwo zabłądziłby usiłując znaleźć tam drogę za dnia, a co dopiero w nocy, kiedy tumanami podnosiła się mgła. Jagun jednak nie miał najmniejszych wątpliwości, dokąd skierować łódź.

Kadiya kuliła się na dziobie, pogryzając od czasu do czasu kawałki bulw adopu, z których głównie składały się ich zapasy przygotowane przez Odmieńców. Korzenie te zdawały się wysysać z ust całą wilgoć i pozostawiały lekką goryczkę. Gryząc je przypomniawszy sobie pierwszą daleką podróż na bagna w towarzystwie Jaguna.

Przywożone przez niego na dwór niezwykle zwierzęta i rośliny tak ją cieszyły, że nie dawała mu spokoju prosząc, by pozwolił jej zobaczyć Błotny Labirynt. Ojciec bardzo niechętnie jej na to pozwolił. Podróżowała więc przez cały dzień w zielonym mroku pełnym tajemniczych stworzeń i roślin. Ta wyprawa zmieniła całe jej życie. Kadiya przysięgła sobie wtedy, że pozna bagna i ich plemiona.

Nigdy wszakże nie zapuściła się tam, gdzie wskazywał teraz amulet — do najbardziej oddalonych i tajemniczych zakątków moczarów. Przed nimi tereny przyjaźnie nastawionych Nyssomu i mniej od nich śmiałych Uisgu łączyły się z ziemiami Skriteków.

Skritekowie! Sam ich wygląd przywoływał na myśl senne koszmary. Wprawdzie chodzili na dwóch nogach, ale ich płaskie głowy w niczym nie przypominały ludzi ani Odmieńców: wydłużały się w pysk pełen zielonkawych, ostrych jak sztylety zębów. Z natury zdawały się stworzone do zabijania i rozszarpywania. Wyłupiaste ślepie, jak u wszystkich mieszkańców bagien, znajdowały się nieco po bokach i zapewniały Skritekom szerokie pole widzenia. Nie były złote jak u Odmieńców, lecz jaskrawo pomarańczowe, ze szkarłatnymi pasmami.

Zielononiebieskie, plamiste ciała Skriteków łatwo zlewały się z roślinnością — tylko nie ich oczy. Dlatego zazwyczaj na swoje ofiary czyhali osłonięci wodnymi paprociami i wciągali je w głębinę. Stąd też mieszkańcy bagien nazywali ich Topielcami.

Większość ludzi знаła ich tylko z opowiadań, które i tak były dostatecznie przerażające. Na swoim własnym terytorium, graniczącym z najdalszymi ziemiami Odmieńców, mieli kroczyć śmiało, niosąc włócznie i od czasu do czasu noże, choć ich najgroźniejszą bronią były długie kły i pazury na trójpalczastych rękach. Poruszali się bezszelestnie, lecz ich obecność zdradzał duszący, zbutwiał zapach ciała. Wiedziano, że tarzali się w błocie, do którego przedtem wrzucali cuchnące zioła, by zamaskować ten smród. Na swoim terenie atakowali bez uprzedzenia, ogarnięci żądzą krwi, albo rozdzierając swe ofiary i pożerając je — czasami jeszcze żywe — albo zanosząc je w odległe zakątki, by torturować do śmierci.

— Wspomniałeś o Skritekach. — Zziębnięta Kadiya objęła się ramionami. — Kto zmusił te potwory, by słuchały Voltrika? Przecież nigdy nikomu nie były posłuszne!

— Ten, kto ma władzę większą nawet od władzy króla Voltrika, chociaż udaje, że królowi służy, czarownik Orogastus — odrzekł Odmieniec. — Nie ponizaj Orogastusa nazywając go wróżem czy magikiem zajmującym się marnymi sztuczkami. On nie wędruje z jarmarku na jarmark odczytując przyszłość z kolorowego piasku. Są tacy, którzy mają wrodzone zdolności, królewska córka, i zwykle nie wykorzystują ich niewłaściwie. Zdarzają się jednak adepci kroczący drogą Ciemności w poszukiwaniu dziwnej wiedzy. Mogą oni spędzić całe życie na poszukiwaniu tego, co daje im władzę nad innymi — władzę, której nie zdobywa się mieczem, lecz myślą i wolą. O Orogastusie opowiadają różne historie, które dotarły nawet do nas, mieszkańców bagien. Można odrzucić połowę czy nawet dwie trzecie tych opowieści — to, co pozostanie, jest też dostatecznie przerażające! Podobne przyciąga podobne — możliwe więc, iż Skritekowie rozpoznają w czarowniku króla Voltrika siłę podobną do tej, która kieruje ich postępowaniem. Niewykluczone jednak, że ów sojusz opiera się na pradawnym prawie: jeśli twój wróg jest także moim wrogiem, będziemy kroczyli tą samą drogą. Przynajmniej, póki nie zginie.

— Jagunie, od tak dawna jesteś moim nauczycielem, a wciąż wiesz znacznie więcej niż kiedykolwiek zdołam się nauczyć — westchnęła Kadiya. — Czasami czuję się niewiele starsza od tamtego dziecka, które, pobłażając mu, po raz pierwszy zaprowadziłeś do tej krainy. Twój lud nazwał mnie Jasnowidzącą, ale to tylko zwykłe pochlebstwo. Tak, pewne rzeczy widzę dobrze, lecz pod innymi względami jestem ślepa!

— Tylko świadomi własnej ślepoty mają bystry wzrok — odrzekł spokojnie Jagun. Sterował ku jednej z błotnych wysepek. Widoczne nad ich głowami skrawki nieba szarzały. Zbliżał się świt. — Niebezpieczeństwo zagraża nie tylko ciału, ale i duszy.

— Nie rozumiem.

— Pewne osoby, nawet te, które niegdyś kochałaś i którym ufałaś, mogą chcieć posłużyć się tobą jak narzędziem, podobnie jak ja tym wiosłem.

— Posłużyć się mną?! — zapytała z niedowierzaniem Kadiya. — Niech tylko spróbują, a poznają mój oręż!

— Walka, zawsze walka — zakpił łagodnym tonem Odmieniec. — Moja mała dziewczynko, dostrzegasz drzewnego varta z odległości stu elli, ale czy kiedykolwiek usiłowałaś zobaczyć to, co jest w środku, a nie na zewnątrz? Najtrudniej jest poznać czyjąś osobowość. Wstaje dzień, więc rozbijemy obóz. Rozsuń te gałęzie, o tak.

Jagun wprowadził łódkę w obrośnięte krzewami zagłębienie błotnej łąchy. Lecz nawet będąc już na brzegu, pomimo zmęczenia, Kadiya nie przestała domagać się wyjaśnień.

— Naucz mnie mądrości! — oświadczyła rozkazującym tonem.

— Nie ja — odrzekł ponuro.

— Więc pozostawisz to Arcymagini? — zapytała wyzywająco.

— Nie. Zrozum: tylko doświadczenie uczy mądrości. Każdy z nas zdobywa ją na swój własny sposób i we właściwym czasie. — Zanim Kadiya zdołała odpowiedzieć, Jagun rozejrzył się dookoła. — To dobry, twardy grunt — powiedział uderzając nogą w ziemię. — Możemy bezpiecznie tu obozować aż do zmroku. Nawet będziemy mogli rozpalić ognisko. Pieczony pelrik czy karuwok... Czyż nie jest lepszy od bulw adopu?

— Będziemy podróżowali nocą? — Kadiya pragnęła teraz tylko jednego: wymościć sobie gniazdo, w którym będzie mogła skulić się i zasnąć — a właśnie dotrzegła mozgę w polu widzenia.

— Tak będzie najbezpieczniej, aż minimy Górny Mutar. Możliwe, że Voltrik — jeśli jest dostatecznie przebiegły — zwróci się do Nyssomu, udając przyjaciela. Większość moich współplemieńców niewiele wie o ludziach. Niektórym wydaje się, że wszyscy jesteście jednym plemieniem. Od dawna darzymy zaufaniem was, Ruwendian, możliwe więc, iż gładkie słowa tego Labornoka wprowadzą nas w błąd, a potem będzie za późno.

— Powinniśmy zatem ostrzec twoich ziomków! — Kadiya na chwilę przestała energicznie rwać trawę. — Może inni Ruwendianie z Cytadeli uciekną rzeką. Nyssomu z Trevisty na pewno pomogliby uciekinierom.

Jagun wyjął z kieszeni ostre jak igły strzałki do dmuchawki i oglądał każdą uważnie.

— Jasnowidząca Pani, nie odważymy się pokazać na brzegach Mutaru. Mamy niewiele czasu, gdyż niebawem nadejdą Zimowe Deszcze, kiedy nikt nie może podróżować.

Podniósł na nią złote oczy, ze zmęczenia pokryte ciemnymi żyłkami. Krople potu przesiąkły przez warstwę chroniącej przed ukąszeniami owadów maści na jego twarzy i rękach.

— Musisz dotrzeć do Noth, które znajduje się u podnóża Gór Ohogan, a to ponad sto mil na pomoc. Po przejściu skriteckiego terytorium dotrzemy do Złotych Błot. Będziemy potrzebowali wtedy pomocy Uisgu. — Wygładził dłonią skrawek ziemi i zaczął na niej rysować. — Jesteśmy tutaj — zrobił małe zagłębienie paznokciem. — Tam zaś — nakreślił linię — leży Noth, do którego musimy się dostać za wszelką cenę.

Kadiya słyszała opowieści o Noth. W krainie bagien znajdowały się ruiny licznych miast pobudowanych na wyspach. Nie ze wszystkimi pozostałościami dawnych dni czas obszedł się równie okrutnie jak z Trevistą. Niektóre były w tak dobrym stanie jak ruwendiańska Cytadela. Mówiono, że w ruinach można znaleźć skarby. Co jakiś czas na jarmarku w Treviście pojawiały się niezwykle błyskotki i tajemnicze przedmioty, które kupcy chętnie kupowali. Wiele ich dostarczyli nieśmiały Uisgu, którzy godzili się na pośrednictwo swoich kuzynów Nyssomu. Dotarły do niej opowieści o człowieczych podróżnikach zapuszczających się daleko na północ i na zachód w poszukiwaniu skarbów na zapomnianych przez wszystkich wyspach. Wyczerpani i bliscy szaleństwa wrócili do Cytadeli, a jeden z nich bełkotał coś o mieście większym od zrujnowanej Trevisty, zamkniętym i pustym, do którego nie było dostępu. I to właśnie miało być Noth.

Możliwe, że tylko zjawy strzegły tego zaginionego miasta, ale cała Ruwenda wiedziała, iż Noth jest siedzibą Arcymagini Binah. Niektórzy utrzymywali, że pochodziła ona ze starszej od ludzi rasy, z dalekiej przeszłości, kiedy to ukoronowane miastami wyspy zdobyły wielkie jezioro. Zgodnie z wiedzą ziomków Kadiyi, Arcymagini mieszkała tam zawsze. Jeśli nawet nie była tą samą kobietą, to może jej sobowtórem, i znów sobowtórem, i tak dalej...

Jagun gdzieś zniknął i wrócił, zanim Kadiya skończyła szykować dla niego gniazdo z trawy. Trzymał pelrika za szeroki, płaski ogon. Księżniczka udowodniła swoją wartość jako podróżniczka ustawiawszy suche gałązki w stos, który należało tylko podpalić iskierką z ognistej muszli Jaguna. Myśliwy oprawił zdobycz, poćwiartował długim nożem, nabił kawałki mięsa na patyki i przystąpił do pieczenia.

Kadiya uświadomiła sobie, że zapadła w krótką drzemkę, choć ślina jej napłynęła do ust od zapachu piekącego się mięsa. Nie pamiętała, kiedy była taka zmęczona. Nie zdawała sobie bowiem sprawy, że wyczerpały ją niedawne przeżycia.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Księżniczka Anigel odzyskała przytomność dopiero w browarze. Labornoccy rycerze odpoczywali tutaj, zmęczeni długą drogą na niższe poziomy Cytadeli i całodziennym bojem. Pan Rinutar zaproponował księciu Antarowi, by złapali oddech i skosztowali ruwendiańskich trunków, które stały w beczkach w zasięgu ręki.

— Dobrze pomyślane, Ran—pochwalił go pan Owanon — gdyż ta wiedźma Odmieniec jest cięższa, niż się wydaje, i omal nie złamała mi kręgosłupa. — Rzucił Immu na stos worków z ziarnem. Jęknęła, lecz nie otworzyła oczu.

— Ale tylko krótki odpoczynek — przestrzegł ich książę. — Król Voltrik i czarownik wpadną w gniew, jeśli będziemy zwlekali z dostarczeniem branek na przesłuchanie. Jeżeli któryś z was wypije za dużo, dopilnuję, by został surowo ukarany.

Bardzo ostrożnie położył księżniczkę Anigel i pogłaskał ją po włosach, zanim przyłączył się do swoich towarzyszy przy świeżo odszpuntowanej beczce. Piwo popłynęło do podstawionych baniek, a potem przelało się na podłogę.

— Ci ruwendiańscy tchórze warzyli świetne piwo — powiedział pan Rinutar ocierając z piany wąsy. — W istocie jest znacznie lepsze od naszego. — Wypił do dna i podszedł do beczki po następną porcję.

— Nic dziwnego, gdyż to tutaj jest stare i mocne, podczas gdy wasz labornocki trunek to dziecinne siuśki — szepnęła Immu.

— To rzeczywiście wyśmienite piwo — dodał inny rycerz, pan Penapat. — Dlaczego nie możemy warzyć takiego u nas, w Derorguili?

— Piwowarzy w Derorguili zawsze narzekają na psoty czarownic — odrzekł pan Owanon — oskarżając te występne panie o psucie piwa, gorzkniej bo wiem i bardzo często ma dziwny smak. Słyszałem, że tuż przed wymarszem spalili na stosie taką czarownicę. Schwytano ją w pobliżu szopy z kotłami, gdzie najwyraźniej zamierzała wyrządzić szkodę. Kobiety nie mają pojęcia o warzeniu piwa.

— Łajno lotoka! — warknęła Immu przygłuszonym głosem, gdyż rzucono ją na brzuch, ale tym razem Labornokowie ją usłyszeli.

— A niech obedną mnie żywcem ze skóry i przybiją ją do ściany! — roześmiał się pan Owanon. — Moje niedawne brzemie przemówiło i to impertynencko!

— Daj jej porządnego kopniaka! — podsunął Rinutar. Księżniczka Anigel, która miała ręce związane za plecami tak jak Immu, usiadła z trudem i zawołała:

— Trzymaj się od niej z daleka, ty zbójcu, i wstydź się! Jeśli uważasz nasze piwo za dobre, to winieneś wdzięczność Immu, gdyż to ona jest królewską piwowarką.

— Kłamie! — warknął pan Rinutar. — Czyż wiedźma–Odmieniec mogłaby poznać tak wielkie tajemnice? — Wskazał na wielkie miedziane piece, labirynt rur, skomplikowany system rynien dostarczających słód do kadzi fermentacyjnej, a potem oczyszczoną już brzeczkę do wielkiego kotła, w którym warzyło się piwo. Wzdłuż krawędzi tych wszystkich naczyń znajdowały się ułatwiające do nich dostęp wąskie chodniki — żeby robotnicy mogli mieszać, cedzić i na każdy sposób badać trunki.

— Bardzo dobrze znam się na warzeniu piwa — Immu przekręciła się na plecy. Mówiła zimno, z pewnością siebie. — Tylko skończony dureń oskarżałby wyimaginowane czarownice o psucie piwa! Piwo gorzkniej głównie dlatego, że nie myjecie odpowiednio kotłów fermentacyjnych i rynien. Pojawiają się śmierdzące pleśnie i piwo się psuje.

— Czy to prawda? — zainteresował się książę Antar. — Może pozwolimy ci żyć, żebyś mogła nauczyć naszych labornockich piwowarów warzenia lepszego trunku.

— To dobry pomysł — oświadczył pan Owanon, ale pozostali rycerze zakrzyczeli go, wybijając szpundy z następnych beczek i napełniając kubki.

Znieruchomieli nagle, gdy po schodach ze szczękiem zbroi zszedł generał Hamil na czele swojego oddziału. Tamci także byli wyczerpani i z wielkim entuzjazmem powitali odkrycie swoich towarzyszy.

Hamil podszedł do Antara, który tylko sączył piwo, i pogratulował mu schwytania księżniczki Anigel. Następnie wziął go na stronę, ale Anigel i Immu i tak doskonale go słyszały.

— Zdarzyło się coś strasznego i złowróżbego, książę. Milotis i jego ludzie przeszukiwali górne piętra Wielkiej Wieży, kiedy przypadkiem natknęli się na księżniczkę Haramis oraz towarzyszącego jej Odmieńca. Ścigali oboje aż na dach. Potem Haramis stanęła na samym brzegu parapetu, ścisnęła amulet, który nosiła na szyi, i wezwała na pomoc Władców Powietrza.

— Na jej miejscu zrobiłbym to samo — rzekł z przekąsem książę.

— Ale wtedy przyleciały dwa potwornie wielkie lammergeiery i oboje na nich odlecieli! — odparował Hamil.

Antar zaklął.

— I Milotis widział ten cud na własne oczy?

— Widział. Przekazałem tę wieść potężnemu Orogastusowi, który wpadł we wściekłość. Król skazał na śmierć Milotisa i wszystkich jego ludzi.

— To szaleństwo — mruknął książę. — Milotis był dobrym dowódcą, ale jak można od niego żądać, by przeciwstawił się czarom? Takie rzeczy to sprawa Orogastusa. Zastanawiam się, czy czarownik zażąda i mojej śmierci, gdyż druga księżniczka uciekła. — Opisał ucieczkę Kadiyi przez cysternę i powtórzył słowa Anigel, że jej siostra włada teraz wielką mocą.

Generał Hamil stanął nad brankami, straszną postać w zdobnej złotej, czerwonej jak krew zbroi. Na emaliowanym hełmie nosił złote rogi, a przyłbica wyglądała jak czaszka volumniala.

— Księżniczko Anigel, czy to prawda, że twoje siostry znają się na magii? — zapytał.

Jednakże przerażona dziewczyna nie odpowiedziała, tylko wybuchnęła płaczem, szamocząc się w więzach. Za nią odrzekła Immu:

— Spójrz tylko, coś ty zrobił, ty wielki drabie! Na Czarny Kwiat, nie wiem, dlaczego lammergeiery przybyły, ale możesz być pewien, że nie miało to nic wspólnego z czarami. Czyż księżniczki nie są trojaczkami? Czyż wszystkie nie władałyby mocą, gdyby jedna to potrafiła? A przecież biedną Anigel zdołaliście pojmać bez kłopotów. — Zaczęła coś mówić do dziewczyny, cicho, lecz nagłoco.

— Jej niańka ma rację — powiedział Antar, marszcząc brwi. — Pozostawmy to lepiej Orogastusowi. — Podniósł głos. — Towarzysze, musimy teraz opuścić to miejsce i wrócić z brankami do sali tronowej.

Immu przestała szeptać do przerażonej księżniczki i zwróciła się przymilnie do księcia Antara:

— Panie, zlituj się nad tą skazaną na śmierć panną. Zanim poniesiesz ją dalej, rozwiąż ją i pozwól, by sobie ulżyła za tym stosem worków, gdyż inaczej poniży się sama i ciebie pobrudzi.

Anigel zwiesiła głowę ze wstydu. Generał Hamil zarechotał i rzucił ordynarną uwagę. Antar jednak ukląkł i rozwiązał dziewczynę. Podziękowała mu z żalospną miną, prosząc, by uwolnił również jej służebną, która przytrzyma jej suknie.

— Dobrze, ale pośpieszcie się — rzekł Antar. Upewnił się tylko, że z kąta za workami nie ma wyjścia i pozwolił brankom odejść.

— Powinienem wspomnieć o czymś — zwrócił się do niego Hamil. — Królowi bardzo spuchła ręka ukąszona przez ruwendiańskiego giermka. Z powodu bólu jest w złym humorze. Zarówno królewski lekarz, jak i Zielony Głos czarownika twierdzą, iż powinien położyć się

do łóżka z ciepłym ziołowym opatrunkiem, pić gorące napary i odpoczywać, by rana nie zaropiała i nie przyplątało się zakażenie krwi.

— Czy czarownik nie może sam nic zrobić?

— Najwidoczniej nie, aczkolwiek wypowiedział zaklęcie nad garnkiem z ziołami. Zgadza się z diagnozą swojego sługi i królewskiego cyrulika, że król powinien odpocząć. W takim razie my będziemy musieli zająć się poszukiwaniem obu zbiegłych księżniczek.

— Żołnierze są wyczerpani. Potrzebują kilku dni wypoczynku, zanim będą w stanie kontynuować poszukiwania. Możemy wykorzystać ten czas na zdobycie potrzebnych informacji — zwłaszcza od Odmieńców. Tubylcy z bagien na pewno będą wiedzieli, dokąd udały się panny.

— Wszyscy Odmieńcy uciekli z Cytadeli, ale możemy udać się do Trevisty, zrujnowanego starożytnego miasta, w którym odbywają się jarmarki. Ruwendiański przewodnik Pellan, dowodzący flotyllą łodzi wożących kupców do Trevisty, będzie z nami ściśle współpracował. Wśród Kupców–Mistrzów z Labornoku są tacy, którzy doradzą nam, jakie naciski wywrzeć na te bagienne szczury, by zyskać ich pomoc.

— Porozmawiam z moim królewskim ojcem i dopilnuję, żeby wszystko było w porządku. Może, ty, ja i ten Pellan wyruszylibyśmy za dnia do Trevisty z niewielkim oddziałem, podczas gdy reszta armii niech sobie zażywa krótkiego odpoczynku. Sami prześpimy się na rzece.

— Doskonały pomysł, mój książę.

Nagle Antar zmarszczył brwi i rozejrzał się dookoła.

— Gdzie są te kobiety? — spytał zaniepokojony.

Hamil od razu podszedł wielkimi krokami do worków i zajrzał za nie.

— Uciekły! Na Święte Wnętrznosci Zota, uciekły! Ale które?

Krzykiem wydawał rozkazy i labornoccy rycerze rozbiegli się, zaglądając w każdą szparkę wielkiego browaru, choć w sposób oczywisty Immu i Anigel w żaden sposób nie mogłyby wyminąć księcia Antara i generała Hamila. A kiedy narobili już takiego hałasu, że nawet jeden drugiego nie słyszał, gburowaty rycerz Rinutar wszedł na jeden z wąskich chodników okrążających wielką kadź fermentacyjną. Nagle zachwiał się, zaczął rękami jakby popychać powietrze i wrzeszczeć, nikt jednak go nie rozumiał. Potem stracił równowagę i z wielkim pluskiem wpadł do pokrytego pianą trunku o silnym zapachu.

Rycerze zamilkli ze zdziwienia, a potem gromadnie ryknęli śmiechem. Kilku ruszyło, by wyłowić Rinutara z kadzi. Jego twarz pociemniała z gniewu, zbroję pokryła biała piana. Kiedy go wyciągnęli, wrzasnął na całe gardło:

— Kto mnie popchnął?

— Pijany tępak — powiedział ze wstrętem książę. — Nikt cię nie popchnął. Po prostu się potknąłeś.

— Nie — zaprzeczył stanowczo Rinutar. — Popchnięto mnie! I w dodatku usłyszałem czyjś głos mówiący: „Golnij sobie!”, kiedy padałem.

Wielu rycerzy powitało to stwierdzenie kpiącym chichotem, ale generał Hamil spochmurniał.

— Zamilczcie wszyscy! — ryknął.

Wszyscy posłusznie zamknęli usta. W zapadłej nagle ciszy słychać było kapanie piwa, ciężkie oddechy zmęczonych wojowników... i odgłos szybkich kroków na chodniku, a potem na schodach prowadzących do pomieszczenia, w którym napełniano beczki.

— To czary! — zawył Hamil. — To czary! Te baby stały się niewidzialne! Dalej, na niższe piętro! Tylko cicho, do cholery, i nasłuchiwać!

— Znajdą nas. Zostawiamy wilgotne ślady! — szepnęła z niepokojem Anigel, ściskając amulet.

— Tedy! — syknęła jej niewidzialna towarzyszka. — Do windy ręcznej, którą przewozi się beczki do kuchni. — Anigel weszła do windy, gdy Immu dodała: — Zaczekaj chwilę, księżniczko. — Jej mokre ślady zawróciły i zbliżyły się do wielkiej sterty pustych beczulek czekających na napełnienie.

Kiedy prowadzeni przez generała Hamila rycerze zbiegli ze schodów, beczki stojące najbliżej wyciągu zaczęły się chwiać. Jedna trąciła drugą i zanim Labornokowie się zorientowali, runęły na nich z hukiem i trzaskiem. Duże i małe beczki turlały się wokół, podcinały nogi ścigającym i roztrzaskiwały się pod kopniakami obutych w żelazo nóg. Przejście do windy zostało zablokowane.

Księżniczka Anigel pękając ze śmiechu wypuściła na chwilę z dłoni amulet i Labornokowie wyraźnie zobaczyli uciekinierki, zanim zniknęły im z oczu.

— Modliłam się, żeby się udało, ale i tak bardzo się bałam — powiedziała Anigel.

Immu uśmiechnęła się w półmroku. Zatrzymały się na wypoczynek i ukryty za opustoszałą budką wartownika.

— Nie miałaś jednak wątpliwości i to było najważniejsze. Słyszac, że twoja siostra Haramis uciekła z pomocą swojego amuletu, ufałaś, że i twój cię posłucha i zrobi nas niewidzialnymi. I tak się stało. Teraz wystarczy, że po prostu stąd odejdziemy! Anigel oparła się o wątlą drewnianą ścianę.

— Dobra przyjaciółko, zlituj się nade mną i pozwól mi tu pozostać jeszcze jakiś czas, bo jeśli zaraz ruszymy dalej, na pewno padnę ze zmęczenia.

— Leż spokojnie, kochanie. — Immu zdjęła szal i zarzuciła go na ramiona wychowanki. — Na razie jesteśmy bezpieczne. Nikt nas tutaj nie szuka.

Labornokowie byli przekonani, że księżniczka i jej niańka nadal przebywają w centralnym zamczysku, dlatego też generał Hamil kazał pozamykać wszystkie drzwi. Immu знаła jednak tajemne wyjście z kuchni, którym leniwi podkuchenni uciekali od swoich obowiązków. Prowadziło ono na dziedziniec poza zamkiem i obie kobiety szybko je przebyły. Pozostawały wciąż niewidzialne i swobodnie omijały grupki labornockich żołnierzy drzemających przy ogniskach.

Anigel była wyczerpana, nie odważyła się jednak zamknąć oczu w obawie, że sen zniszczy dobroczynny czar amuletu.

— Wciąż nie mogę uwierzyć, że naprawdę jesteśmy niewidzialne — szepnęła. — Mój talizman nie chciał mnie ocalić na brzegu tamtej cysterny. Dlaczego zrobił to później?

— Nad cysterną nie miałaś nadziei i byłaś pół oszalała ze strachu — wyjaśniła Immu. — W browarze doszedł do władzy twój rozum i kazał ci posłuchać mojej rady.

— Ale byłam tam rozgniewana — odrzekła powoli księżniczka. — Gardziłam sobą za tchórzostwo, gdyż przez to nas schwytano. I czułam się upokorzona z powodu niegodnego podstępu, którego użyłaś, by tamci łajdacy nas rozwiązali...

— Gniew rozjaśnił ci umysł — zachichotała Immu. — Przegonił strach, który paraliżował ci wolę. W końcu mi uwierzyłaś, kiedy poleciłam ci odwołać się do magii twojego amuletu. Gniew to pożyteczniejsze uczucie niż strach. Musisz nauczyć się lepiej nim posługiwać, kochanie. W twoim obecnym położeniu łagodność i dworne maniery na nic ci się nie zdadzą.

— A czary się przydadzą? — zapytała zmęczonym głosem Anigel.

— To się okaże.

Księżniczka pograżyła się w myślach na kilka minut, po czym spytała:

— Czy więc... Czy twoi współplemieńcy często posługują się magią?

— Och, nie. Magia to coś niezwykłego, nie można odwoływać się do niej lekkomyślnie. Czasami jest, a czasami jej nie ma, bez względu na to, jak rozpaczliwie pragnie się jej pomocy. Żadne czary nie mogły pomóc twoim nieszczęśliwym rodzicom...

— I to było okrutne! To bezsensowne: król i królowa Ruwendy zginęli, podczas gdy magia osłania mnie i moje siostry!

— Uspokój się, dziecko, uspokój. Magia jest tajemnicą, tak jak wiele spraw w życiu. Można się nią posługiwać w dobrym lub złym celu, a my nie zawsze wiemy, co jest czym, tak jak niezupełnie rozumiemy, czym jest sama magia.

— Może Arcymagini nam powie — westchnęła Anigel. Przytuliła się do swej niańki i wreszcie zamknęła oczy.

Ścisnęła jednak mocno amulet nawet w najgłębszym śnie.

Odoczywały niewiele dłużej niż dwie godziny, gdy usłyszały granie trąbek. Żołnierze śpiący wokół wartowni zaczęli się budzić, klnąc pod nosem. Zbliżał się świt. Labornokowie byli w złych humorach, ponieważ zabroniono im łupić Cytadelę. Rozpalili ogniska, by się ogrzać, przygotowali skąpe śniadania z zapasów prowiantu i załatwiali się wszędzie tam, gdzie to było możliwe.

— Nie patrz na zewnątrz, księżniczko — powiedziała Immu. — To niekulturalni prostacy!

— Och, Immu, nie obchodzi mnie to. Martwi mnie to, co mamy dalej robić. W jaki sposób dotrzemy do siedziby Arcymagini?

— Jagun zaplanował ucieczkę, a jego brat ukrył łódź. Jestem jednak pewna, że Jagun i Kadiya już dawno nią odpłynęli, uznając nas za zgubione. — W zamyśleniu zmarszczyła czoło. — Będziemy musiały znaleźć inny sposób na dotarcie w górę Mutaru. Jeśli dostaniemy się do Trevisty, moi ziomkowie pomogą nam dotrzeć do Uisgu, na których ziemiach leży Noth.

— Ale Trevista jest tak daleko! Między nią a Cytadelą rozciągają się Czarne Błota!

Na zewnątrz zabrzmiały fanfary. Immu zerknęła przez szparę. Jakiś dowódca ze swoim oddziałem wjechał cwałem na wewnętrzny dziedziniec i zatrzymali się w odległości mniejszej niż dwanaście elli od budki wartownika. Kwatermistrz nadzorował wydawanie prowiantu z przykrytych plandekami furgonów. Dowódca powiedział:

— Ta kompania wyruszy za godzinę. Pomaszerujemy przez Pagórek Cytadeli na Ruwendiański Plac Targowy i tam wsiądziemy na łodzie, by płynąć do Trevisty. Dopilnuj, żeby zabrano odpowiednią ilość żywności i ekwipunku oraz furaz dla zwierząt.

Kwatermistrz zaszalutował. Rycerz zatoczył fronialem i odjechał na zewnętrzny dziedziniec.

— Nasz problem sam się rozwiązał — Immu roześmiała się cicho. — Najeźdźcy zawiozą nas do Trevisty, nie zdając sobie z tego sprawy! Czy jesteś głodna, moje dziecko?

— Tak, Immu. I bardzo zmęczona.

— Nie możesz uczynić nas niewidzialnymi podczas snu, myślę jednak, że po śniadaniu znajdziemy odpowiednią kryjówkę. — Wyjaśniła swój plan. W oczach księżniczki zatańczyły wesołe ogniki i objęła swoją piastunkę.

Potem Anigel, zacisnąwszy w palcach amulet, sprawiła, że zniknęły. Następnie ruszyły na poszukiwanie odpowiedniego furgonu.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Lammergeiery leciały wysoko ponad przesłoniętym mgłą Błotnym Labiryntem niosąc Haramis i Uzuna w stronę ruin Noth.

Kiedy serce Haramis przestało kołatać, a zmysły udowodniły, że to, co przeżywa, jest jawą, nie zaś fantastycznym snem, oceniła na trzeźwo swoje położenie. Nie poniosła żadnego uszczerbku, a pojawienie się lammergeierów najprawdopodobniej ocaliło jej życie. Czy to były czary Arcymagini? Czy Biała Dama zachowała jakąś moc, chociaż jej czary nie mogły przeciwstawić się magii Orogastusa i nie dopuścić do najazdu na Ruwendę?

Lammergeier machał szerokimi skrzydłami mocno i regularnie; uderzając powietrze, pobrzękiwały metalicznie. Biały grzbiet ptaka był szeroki i miękki jak pokryte puchową kołdrą łożo. Haramis zapadła się tak głęboko w zagłębienie tuż za przeciętą czarnymi pasami szyją ptaka, że prawie nie musiała trzymać się jego piór. Mniej więcej po godzinie lotu lammergeier odwrócił czubatą głowę, by spojrzeć na swoje niezwykle brzemię. Miał łagodny wyraz oczu, a zębaty dziób nie wydawał się groźny.

— Dziękuję za ocalenie życia mnie i mojemu towarzyszowi — powiedziała księżniczka bez żadnej pewności, że zostanie zrozumiana.

Ptak ledwie dostrzegalnie skinął głową, a może to jej się tylko przywidziało? Po chwili przestał zwracać na nią uwagę. Lecieli wciąż naprzód. Haramis pomachała do Uzuna, nie mogli bowiem ze sobą rozmawiać, gdyż lammergeiery dzieliła za duża odległość.

Nie widziała ziemi; lecieli wciąż ponad nieprzerwaną warstwą chmur i tylko na czystym nocnym niebie w górze błyszcząły znajome konstelacje: Napięty Łuk, Kocioł, Drzewo Łądu, Wielki Wąż, Północna Korona...

Korona...

Nadal ją miała, zawiniętą w opończę i przewieszoną przez ramię, czarną opończę z zaschlą krwią swojej matki. Zdjęła tobolek, rozwiązała go i zapatrzyła się na ceremonialną koronę z kwietonem z bursztynu, w którym tkwił kwiatek trillium, aż łzy napłynęły jej do oczu. Przynajmniej Voltrik nie dostanie jej ani teraz, ani nigdy! — pomyślała. — Po moim trupie! Zabił moich rodziców, lecz ja żyję i Ruwenda jest moja!

Wstrzymała szloch w obawie, że nie będzie mogła przestać płakać. Jestem teraz królową Ruwendy, myślała. Moim zadaniem jest strzec kraju i jego mieszkańców, wyjść za mąż i wychować dzieci, by rządziły krajem po mojej śmierci. Łzy ją dusiły i trudno jej było oddychać, ale postanowiła, że się nie rozplacze. Ogarnął ją strach. Zawsze wiedziała, że któregoś dnia zostanie królową, nigdy jednak nie spodziewała się, iż stanie się to tak szybko... ani w takich okolicznościach! Miała nadzieję, że Biała Pani jej pomoże; na pewno będzie potrzebowała czyjejś pomocy!

Czy w dziwacznych skamieniałych kwiatkach trillium tkwiących w ruwendiańskiej koronie i w amulecie kryła się magia? A może to tylko szczęśliwy przypadek sprowadził na ratunek lammergeiery Arcymagini w odpowiedniej chwili?

Przeprowadzę doświadczenie, pomyślała. Ścisnęła amulet w rękę, zamknęła oczy i powiedziała:

— Przenieś mnie natychmiast do siedziby Białej Damy! Nic się wszakże nie wydarzyło, a lammergeier leciał spokojnie jak przedtem. Spróbowała więc wydać prostszy rozkaz:

— Przynieś mi smaczny pasztecik, gdyż umieram z głodu. Znów nic się nie działo, a jej żołądek skurczył się boleśnie.

I tyle magii. No, cóż. Jakie to miało znaczenie?

Popadła w straszne przygnębienie. Nie miała królestwa, którym mogłaby rządzić, ani królewskiego małżonka, by dzielił z nią tron. Haramis szukała jakiegoś pocieszenia w swym obecnym kłopotliwym położeniu. Obce jej były przepych i dworskie ceremonie, nie kończące

się spotkania z ministrami, które jej ojciec znosił cierpliwie, nie lubiła nudnych uczt i przyjęć wydawanych przez matkę, zawsze otoczoną rozszczebiotanymi dworkami. Królowa Kalanthe nie była pustogłową trzpiotką, pisała wiersze, interesowała się sprawami mniej szczerze obdarzonych przez los Ruwendian, zawsze starała się polepszyć ich położenie, nie krępując przy tym ich inicjatywy. Królowanie było jednak zajęciem, którego Haramis zawsze się obawiała. Jako posłuszna córka pogodziła się z myślą o nim, ale teraz jej obowiązki bardzo się zmieniły...

Wsunęła się w zagłębienie na grzbiecie swojego skrzydlatego wierzchowca, słuchała świstu wiatru i czekała na sen, który powinien przynieść ulgę. Mocno przywiązała tobolek z koroną do paska, by na pewno się nie zgubił. Arcymagini będzie wiedziała, co zrobić z klejnotem...

I z samą Haramis.

Kim naprawdę była Arcymagini? Na pewno żywą istotą, a nie postacią z legendy. Księżniczka wiedziała, iż musi uznać za prawdziwe niezwykle wydarzenia towarzyszące jej i siostr narodzinom, podobnie jak groźną przepowiednię Arcymagini. Jeżeli Biała Dama rzeczywiście stała już nad grobem, czy będzie mogła udzielić jej pomocy i rady? I dlaczego powiedziała tak dawno temu, że „wszystko będzie dobrze”?

Haramis wciąż wracała do tego myśłą i zastanawiała się, jak ocalić Ruwendę. Wymyśliła ponad tuzin sposobów. Oczami wyobraźni widziała swój triumfalny wjazd na czele ruwendiańskich zastępów po wiekopomnym zwycięstwie, które było jej dziełem. Zdawała sobie wszakże sprawę, że to tylko głupie marzenia. Miała siedemnaście lat, była bystra i na pewno odczytana, ale nie nadawała się na wodza. Jeżeli Arcymagini wybrała ją na narzędzie przeznaczenia, rzeczywiście musi być zgrzybiała...

Będę musiała uważać, pomyślała Haramis. Kto wie, do realizacji jakich szaleńczych pomysłów zechce mnie zmusić? Ja jednak będę się miała na baczności i sama podejmę decyzję. Jestem teraz królową i odpowiedzialność za Ruwendę spada na mnie, bez względu na to, jakich mam doradców. Nie poddam się ulegle obcej woli. Bez względu na trillium.

Obudziła się o świcie na grzbiecie niestrudzenie lecącego lammergeiera. Przed nią Góry Ohogan wbijały się w niebo groźnymi kłami z granitu i bazaltu, całkowicie zaśnieżonymi powyżej linii lasów. Różowe promienie słońca nadawały lodowcom i polom lodowym pozorną miękkość. Haramis poczuła, że robi się jej ciężko na sercu. A jeśli Arcymagini powie, że jej los ma się dopełnić tu, w górach?

W miarę jak słońce wznosiło się coraz wyżej, mgła rzedła nad moczarami i dżungla w dole ustępowała miejsca falującemu oceanowi płowych traw, który w niczym nie przypominał żadnego znanego Haramis zakątka Błotnego Labiryntu. Monotonię bagien przerywały z rzadka spłachetki suchego łądu. Porośnięte drzewami hebanowymi, krzakami i gęstymi zaroślami skrywały domostwa Uisgu, niskorosłych kuzynów Nyssomu zamieszkujących północne obszary krainy błot.

Wiedziała, że w górach żyły też tubylcze plemiona zwane Vispi i że ludzie nie kontaktowali się z nimi. Jeszcze dalej na wschód, gdzie Przełęcz Vispir dzieliła Góry Ohogan na dwie części, załogi pilnujących jej fortów twierdziły, iż nieuchwytni Vispi w księżycowe noce tańczą na świeżym śniegu. Haramis słyszała też okropne opowieści o tych górskich Odmieńcach. Nazywano ich demonami z mroźnych mgieł, ich oczy miały spoglądać ze złością z lodowatych trąb powietrznych, a ci, którzy w nie spojrzeli, ginęli na miejscu. Mimo to nikt nie wątpił, że Vispi istnieją naprawdę i nie mają w sobie nic nadnaturalnego, sprzedawali bowiem Uisgu drogie kamienie i metale szlachetne, które z czasem docierały do ludzi za pośrednictwem Nyssomu. Vispi żądali w zamian pewnych artykułów żywnościowych, wytrzymałych zwierząt domowych, takich jak froniale, i jeszcze kilku innych towarów. Żaden jednak człowiek nie umiałby powiedzieć, jak naprawdę wyglądali ci

mieszkańcy gór — może poza nieszczęsnymi żołnierzami z Labornoku, którzy przed wiekami odważyli się wtargnąć na Przełęcz Vispir i (jeśli można wierzyć dawnym opowieściom) wyginęli do ostatniego z rąk tych sług Białej Damy.

Słońce zaczęło się odbijać, niczym w zwierciadle, w jeziorkach i rzeczulkach Złotych Błot. Od czasu do czasu Haramis dostrzegała kręte szlaki wodne i uznała je za arterie komunikacyjne Uisgu. Po kilku godzinach lotu, kiedy skierowali się na północ za dość szeroką rzeką, teren się podniósł i Złote Błota ustąpiły miejsca podgórzu, z rzadka porośniętemu dziwnymi drzewami, usianemu kwiecistymi górskimi trzęsawiskami. Lammergeiery zaczęły krążyć w koło, zniżając lot.

Nad brzegiem rzeki rozciągały się ruiny, całkowicie porośnięte pnączami i drzewami sterczącymi śmiało na wałących się murach i wystającymi z przedziurawionych kopuł. W przeciwieństwie do swojej siostry Kadiyi, Haramis nie pragnęła badać takich miejsc. Interesowały ją tylko niezwykle przedmioty, które w nich znajdowano. Miała kilka takich starożytnych wyrobów: małą, niczym się nie wyróżniającą skrzyneczkę, która grała inną niezemską melodię za każdym razem, gdy się ją położyło na boku, przybór do pisania, w którym nigdy nie brakowało atramentu, i dziwaczną bransoletę z nieznannej twardej i białej substancji, nie będącej ani kością, ani żadnym drewnem czy minerałem znanym ruwendiańskim uczonemu. Zaginieni na pewno władali jakąś mocą, ale ich tajemnice zaginęły dawno temu. Jeśli jednak Arcymagini naprawdę znała ich starożytną wiedzę, Haramis miała nikłą szansę spełnienia proroctwa wypowiedzianego przy jej narodzinach. Odruchowo ścisnęła amulet, modląc się: — Drogi Boże i wy, Władcy Powietrza, nie pozwólcie, by wprowadzono mnie w błąd! A przede wszystkim nie pozwólcie, bym zachęcona do nieroztropnego postępowania poniosła w rezultacie klęskę. Nie mogłabym tego znieść!

Szybowali teraz powoli, zbliżając się do niewielkiej kamiennej wieży, niemal całkowicie niewidocznej pod obrastającymi ją pnączami. Lammergeiery osiadły lekko na naturalnym trawniku usianym barwnymi dzikimi kwiatami, który rozciągał się przed opuszczonym w dół mostem zwodzonym. Jaskrawo-niebieskie wodne kwiaty pływały w fosie, napełniając powietrze słodkim zapachem.

Haramis zsunęła się z grzbietu swojego lammergeiera i złożyła mu niski ukłon.

— Władco nieba, przyjmij moje gorące podziękowania za to, że przywiozłeś mnie i mojego sługę do tej bezpiecznej przystani.

Kiedy podniosła głowę, oba ptaki już uniosły się w powietrze. Zanim zniknęły za drzewami, wydały dwa okrzyki podobne do dźwięków trąbki.

Uzun stanął obok niej. Wyglądał komicznie: zgubił beret, wiatr zmierzwiał i nastroszył jego długie, jedwabiste włosy, a atłasowy brązowy chałat był poplamiony i pognieciony. Mimo to uśmiechał się triumfująco.

— Jednak tu trafiliśmy! — zaświergotał. — Wejdzmy, lammergeiery zapowiedziały już nasze przybycie.

Powoli przeszli przez łąkę do mostu zwodzonego. Wieżę porastały mchy i niewielkie pierzaste paprocie, a kontury każdego kamienia zmiękczały kwiaty zakorzenione w rozpadającej się zaprawie. Rośliny pokrywały również belki mostu. Haramis stąpała ostrożnie, w obawie, że trafi na zbutwiałe drewno, choć most sprawiał wrażenie mocnego. Żaden sługa nie wyszedł im na powitanie i nic nie wskazywało, że wieża jest zamieszka. Uzun wszakże kroczył pewnie naprzód, a Haramis szła za nim, podziwiając dziwnie rzeźbione kolumny i ściany oraz ozdobne mozaikowe posadzki ledwie widoczne spod mchów i porostów. Minęli pluszczącą cicho fontannę i podążyli obrosniętymi winoroślą sklepieniami przejściami do zarośniętych ogrodów pełnych różnokolorowych kwiatów.

Wreszcie zatrzymali się przed drzwiami z wypolerowanego czarnego drewna. Zawiasy, okucia i wielka okrągła klamka były wykonane z czystego złota. Na środku wyrzeźbiono wizerunek Czarnego Trillium, obramowany błyszczącą platyną.

— To jest komnata samej Arcymagini Binah — powiedział Uzun. — Lecz tylko ty możesz tam wejść. — Ukłonił się Haramis i cofnął o krok.

Zawahała się.

— Ale ty... musisz mi towarzyszyć!

— Nie, księżniczko. Zaczekam na ciebie.

— Dobrze — powiedziała Haramis i wyprostowała się. Powstrzymując drżenie ręki, ujęła złoty pierścień i pociągnęła. Wysokie drzwi otworzyły się lekko i dziewczyna weszła do środka.

Pokój nie miał okien, był ciepły i pogrążony w półmroku. Majaczyły w nim liczne meble — szafki, szafy, półki z książkami, stoły zastawione dziwnymi urządzeniami, wyściełane stołki i ławy ze schowkami oraz ogromne łóża z ciemnymi zasłonami. Z jednej strony znajdował się kominek, na którym płonął stałym ogniem torf, a przed nimi stał piękny stół z pojedynczym kryształowym nakryciem, złotym nożem i łyżką. Przykryte złote talerze dymiły, rozsiewając smakowity zapach. Obok stał kielich słodkiego wina, a wszystko oświetlała płonąca lampa z abażurem z ołowiowego, opalizującego szkła. Do stołu przysunięto dwa krzesła, jedno przed nakryciem, drugie zaś naprzeciwko. Przed tym drugim na stole stała niepozorna platynowa szkatułka, bardzo pocięta, obtłuczona i pociemniała od długotrwałego użycia.

— Witam cię, moje dziecko — powiedział cichy, lecz dźwięczny głos. — Czekałam na ciebie.

Haramis drgnęła, rozejrzała się wokoło i zobaczyła, że na wielkim łóżu poruszyła się jakaś ledwie widoczna postać.

— Słucham cię, pani — powiedziała, dygając prawie odruchowo.

— Podejdź bliżej i pomóż mi wstać, chcę posiedzieć z tobą, kiedy będziesz jeść kolację.

— Czy jesteś Arcymaginią Binah, pani? — zapytała z wahaniem Haramis.

— Tak. Jestem nią. Nie bój się. To ja byłam przy twoich narodzinach i wezwałam cię tutaj. Długo czekałam na ciebie i na twoje siostry. Dziękuję losowi, że przybyłyście bezpiecznie.

— Kadiya i Anigel... czy one żyją? — Haramis znieruchomiała z wrażenia.

— Tak. Możesz się o nie już nie martwić. Każda z nich musi pójść własną drogą, a ty swoją. Pomóż mi się ubrać.

Haramis nie mogła ruszyć się z miejsca. Ogarnął ją wielki strach. Zrozumiała bowiem, że bez względu na to, czy jej się to podoba, czy nie, będzie musiała wyruszyć w jakąś niebezpieczną podróż.

W wielkim łóżu leżała kobieta o pięknych, długich białych włosach, która podniosła się powoli i przywołała ją skinieniem. Miała gładką, nie zrytą zmarszczkami twarz i tylko jej oczy, ciemne i osadzone tak głęboko, że nie sposób było odgadnąć ich koloru, zdradzały starość. Utkwiła wzrok w oczach Haramis. Jej spojrzenie zawładnęło młodą Ruwendianką i pociągnęło ją naprzód z nieodpartą siłą. Księżniczka położyła na podłodze zawiniątko z koroną i ze strachem podeszła do łóża Binah. Tutaj nagle przestała się bać, panika opuściła ją i wydało się jej, że ma przed sobą tylko biedną chorą staruszkę, która potrzebuje pomocy.

Haramis pomogła Arcymagini włożyć długą białą szatę połyskującą błękitem na fałdach i futrzane kapcie na smukłe stopy. Kiedy Bihan wstała, okazało się, że jest bardzo wysoka. Starość jej nie przygarbiła, trzymała się prosto. Podeszła powoli do stołu przed kominkiem i zajęła krzesło.

— Proszę, usiądź, moje dziecko, i posil się. Musisz być bardzo głodna po ciężkich przejściach w Cytadeli i podróży.

— Mój towarzysz, muzyk Uzun... — zaczęła księżniczka.

— Mój rządca Damatole zajmuje się nim w tej chwili. Uzun będzie mógł zaspokoić głód i odpocząć.

— Dziękuję ci, pani, gdyż zawdzięczam mu życie i nie chcę, by cierpiał z powodu swojego oddania.

Potem z wielkim apetytem zabrała się do jedzenia, gdyż nie miała nic w ustach od poprzedniego ranka. Czekwała na nią pieczeń z jakiegoś ptaka, pachnąca ziołami zupa śmietankowa, danie z pieczonych bulw dorunu posypanych brunatnym serem z alg oraz placek z jakimiś pulchnymi, nieznanymi owocami o charakterystycznym, ostrym smaku. Haramis zjadła wszystko, do ostatniej okruszyny.

Później westchnęła z zadowoleniem i odprężona popijała wyborne wino. Widząc to Arcymagini uśmiechnęła się. Haramis też się roześmiała, ale kwaśno, i rzekła:

— Nawet nie pomyślałam o umyciu rąk przed jedzeniem i zmiotłam z talerzy twój poczęstunek, pani, jak źle wychowana chłopka. Proszę, byś wybaczyła mi ten brak dobrych manier, pani Binah. Chciałabym zebrać zastawę ze stołu i umyć ją na znak przeprosin, nie wiem jednak, jak się do tego zabrać.

— Na szczęście tutaj, w Noth, nie trzeba zawracać sobie głowy takimi błahostkami — odrzekła Arcymagini. Zrobiła jakiś gest i na stole pozostała tylko karafka z winem, kielich Haramis oraz tajemnicza platynowa szkatułka.

— Więc ty rzeczywiście jesteś czarodziejką, pani — mruknęła księżniczka.

— Takie sztuczki wymagają niewielkich umiejętności — przyznała Binah. — To większe czary przekraczają teraz moje możliwości.

— Ponieważ to twoje lammergeiery, pani, przyniosły mnie tutaj, przypuszczam, że wiesz, co się stało.

— Te wielkie ptaki nie są moje — poprawiła ją czarodziejka. — Są wolnymi istotami należącymi tylko do siebie samych. To prawda, że poleciłam im przynieść tu ciebie, gdyż od czasu do czasu godzę się wysłuchać swoich przyjaciół. A co do twego pytania — tak, wiem, co się stało. Widziałam wszystko i płakałam bezradnie, gdyż nie mogłam temu zapobiec.

Haramis zachowała obojętny wyraz twarzy.

— A więc twoje magiczne umiejętności nie wystarczą, by uwolnić Ruwendę od tego mordercy Voltrika i jego magika Orogastusa?

— Niestety tak. Ostrzegam cię jednak, moje dziecko: nie lekceważ Orogastusa. Nie jest on zwykłym kuglarzem jak owi nieliczni magicy, których znasz. To potężny czarodziej, który nie tylko rozkazuje błyskawicom, ale ma też klucze do wielu innych, przerażających czarów. Szuka mocy wszędzie tam, gdzie może ją znaleźć, i wykorzystuje do swoich celów. Przewyższa mnie teraz pod każdym względem z wyjątkiem dalekowidzenia, gdyż potrzeba mu do tego lodowego zwierciadła, które ukrył w swoim górskim legowisku.

— Więc nie możesz mi pomóc w pokonaniu nieprzyjaciół Ruwendy?

— Tego nie powiedziałam, ale uwolnienie Ruwendy to potrójne zadanie wymagające współpracy wszystkich trzech Płatków Czarnego Trillium...

— Czy masz na myśli moje siostry? — zapytała z niedowierzaniem i przerażeniem Haramis. — Nie wydaje mi się, żeby można było oczekiwać od nich mądrego współdziałania i pomocy. Musiałam powstrzymać Kadię przed atakiem na morderców naszej matki, miała tylko nóż w ręku! A jedyne, co umie Anigel, to wejść do kąta i płakać.

— A mimo to mój dar jasnowidzenia zapewnia mnie, że wszystkie trzy musicie wykonać przeznaczone dla was zadanie, a przede wszystkim zapanować nad sobą, jeśli Ruwenda ma rzucić jarzmo Labornoku. I jeśli jedna z was poniesie klęskę, wszystkie ją poniesiecie.

— To niesprawiedliwe! — zaprotestowała Haramis.

— Nie — odrzekła łagodnie Arcymagini — lecz tak już jest. Haramis, rozczarowana słowami Binah, dotknęła swojego amuletu.

— Myślałam, że twoje dary są zaczarowane. Ale kiedy poddałam go próbie, zawiódł.

— Mogą one pomagać wam tylko w wypadku śmiertelnego niebezpieczeństwa i ich moce są ograniczone.

— Sama się o tym przekonałam — westchnęła księżniczka. — No cóż, wysłuchał mojej pierwszej prośby, a druga i trzecia widać nie były tak naglące, jak wtedy myślałam. Czy ten amulet ma do odegrania jakąś rolę w zadaniu, które mi wyznaczysz?

— Tego nie wiem. To ty musisz poznać jego tajemnice, tak samo jak ukryte w sobie moce, pokonać własne słabości i wady, które uniemożliwiłyby spełnienie twojego przeznaczenia. Wiem jedno: kiedy zakończysz wstępną pracę, otrzymasz jakiś znak. Zdobędziesz nowy talizman. Trójskrzydły Krąg. Dowiesz się wtedy, że zbliża się ostateczny, rozstrzygający bój o Ruwendę i twoją duszę.

— A moje siostry?

— Otrzymają inne zadania. A jeśli je wykonają, posiadą własne talizmany. Wówczas trzy Płatki Czarnego Trillium przywołają się i zjednoczą, i z tego połączenia wyniknie rozwiązanie, odbudowa zniszczonej równowagi świata.

Haramis zgarbiła się w swoim krześle.

— Więc to jest to zadanie. Czy muszę od razu przystąpić do jego wykonania? Jestem taka zmęczona. I nie chciałabym okazać braku szacunku, trudno mi wszakże uwierzyć w to, co mówisz. Ja nawet nie wierzyłam, że istniejesz...

— Nie ma znaczenia to, w co wierzysz w tej chwili, gdyż jesteś wyczerpana strasznymi przeżyciami. Musisz modlić się o siłę i odwagę, przede wszystkim jednak powinnaś zaufać samej sobie i Potrójnej Mocy, która nas kocha i prowadzi przez życie.

— Bardziej mi potrzeba jakiejś konkretniejszej pomocy. — Haramis roześmiała się ironicznie.

— W twoich poszukiwaniach pomogą ci tubylcy zamieszkujący bagna, lasy i góry. Czczą oni Czarne Trillium tak samo jak ludzie zamieszkujący Ruwendę.

— Czy mam zabrać ze sobą Uzuna? Jest niemłody...

— Będzie ci towarzyszył przez pewien czas w tej długiej podróży, która cię teraz czeka. Jego zadaniem jest dopomóc ci w spełnieniu twojego przeznaczenia. Musisz jednak sama stawić czoło najtrudniejszym i największym wyzwaniom.

Haramis zamyśliła się, patrząc na pelgające małe płomyki w kominku i dotykając amuletu.

— Czy możesz mi powiedzieć, na czym będzie polegało to doskonałe zadanie?

— Nie, ale dowiesz się tego.

— Czy możesz zrobić cokolwiek, by mi pomóc, poza daniem mi kolacji, dobrych rad i życzeń powodzenia?! — zawołała zniecierpliwiona dziewczyna.

— Mogę.

Arcymagini otworzyła szkatułkę i sięgnęła oburącz do środka. Następnie wstała i w jakiś cudowny sposób wyciągnęła ze szkatułki zieloną roślinę, która w normalny sposób nie mogłaby się w niej pomieścić. Było to trillium prawie tak wysokie jak Haramis, z obnażonymi korzeniami, rozchylonymi połyskliwymi liśćmi, strączkami i mnóstwem czarnych jak noc kwiatów, z których każdy był wielkości dłoni. Arcymagini postawiła trillium na stole.

— Jakie piękne! I ono żyje, to nie jest maleńka skamielina ukryta w bursztynie! — zawołała ze zdziwieniem księżniczka.

— To jest ostatnie żywe Czarne Trillium na świecie.

— I z jego pomocą ja i moje siostry pokonamy króla Voltrika i Orogastusa! Wiem, że to prawda, Binah! Wiem! — Haramis zerwała się na równe nogi, opuściło ją zmęczenie. Chłonęła wzrokiem cudowną roślinę, której kwiaty miały barwę jej włosów.

Czarodziejka wyciągnęła rękę i sięgnęła pod jeden z wielkich liści, po czym wcisnęła coś w rękę dziewczyny, zaciskając wokół jej palce. Następnie podniosła roślinę, w jakiś sposób znów włożyła ją do szkatułki i opuściła wieko.

Haramis zamrugnęła, jakby nagle zgasł oślepiający blask, a wraz z nim jej pewność siebie.

— Czy... czy to wszystko?

Arcymagini wzięła ją za ramię i zaprowadziła do drzwi.

— To, co ci dałam, skieruje cię na właściwą drogę. Zatrzymam tutaj dla ciebie ruwendiańską koronę. Nie tknie jej nigdy żaden nieprzyjaciel. Pamiętaj tylko, że to Orogastus, a nie król Voltrik, jest twoim prawdziwym wrogiem. Jednak żyje on w zgodzie z prawami magii, które mówią, że każdej sile musi odpowiadać jakiś słaby punkt. Zwyciężysz go, jeżeli zdołasz odkryć jego słaby punkt i jednocześnie pokonasz własną słabość. Nic więcej nie mogę ci powiedzieć. Musisz teraz odejść. Kiedy osiągniesz swój cel, zdobywając Trójskrzydły Krąg, wróc do mnie.

— Ale czym jest Trójskrzydły Krąg? — zapytała z niepokojem Haramis.

— Dowiesz się, kiedy go znajdziesz — zapewniła ją Binah. — Żegnaj.

Nagle Haramis znalazła się na usianej kwiatami łące przed omszałą wieżą. Uzun stał obok niej, odziany w czyste, nowe szaty. Opuściła oczy i zobaczyła, że jej własna brudna, pomięta suknia zniknęła wraz z opończą i że ma na sobie strój z białej wełny obszyty futrem fedoka-albinosa, takąż opończę i mocne buty z białej skóry. Amulet spoczywał na jej piersi. Na ziemi zaś leżały dwa plecaki i mocne kije podróżne okute żelazem.

— Jestem gotów, księżniczko — powiedział Uzun. Jego okrągłe policzki były jak dojrzałe maliny moroszki. — Biała Dama dała mi nawet nowy flet i będę mógł umilać nam podróż muzyką!

— Ale którędy mamy iść? — Haramis z irytacją machnęła rękami. Wtedy jednak przypomniała sobie, iż Arcymagini włożyła jej coś do ręki. Rozwarła palce i zobaczyła strączek Czarnego Trillium, suchy i błyszczący. Rozłamała go bezwiednie. Wewnątrz dostrzegła rzędy skrzydlatych nasion. Znów bezwiednie wydobyła jedno nasienie i rzuciła je w powietrze.

Ku jej zdumieniu, zamiast podryfować z wiatrem, poleciało na pomoc, w stronę gór.

Wyglądało na to, że będą musieli przedzierać się przez bezdroża górskich trzęsawisk. Kiedy jednak Haramis, odprowadzając wzrokiem nasienie trillium, przyjrzała się uważniej okolicy, dostrzegła ledwie widoczną ścieżkę, jakby wydeptaną przez jakieś zwierzątko wędrujące między kępami trawy i turzycy.

— Więc to tak — powiedziała. — Myślę, że ten przewodnik jest równie dobry jak każdy inny. Ruszamy?

Nie odrywając oczu od unoszącej się w powietrzu białej kropki, zarzuciła plecak na ramiona, podniosła kij i skierowała się ku trzęsawiskom. Uzun szedł tuż za nią.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Było wczesne popołudnie, kiedy obserwator na płynącej na przedzie łodzi zawołał:
— Widać Trevistę!

Kupiecki przewodnik Pellan, dowodzący zaimprovizowaną labornocką flotyllą, zagrał trzy nuty na małym złotym rogu. Natychmiast wiosłarze na wszystkich czternastu łodziach podnieśli wiosła, a pozostali marynarze stojący na dziobie i rufie każdej z nich rzucili kotwice w płytką, mętą wodę. Pellan zagrał znowu, tym razem bardziej skomplikowany zew, i rozkazał odpocząć spoconym marynarzom.

Ryk wściekłości rozległ się na pokładzie dziobowym i ktoś ochryplym głosem wykrzyknął imię Pellana, ubarwione sprośnościami. Mimo że podróż z Cytadeli w górę Mutaru dobiegła końca w rekordowym czasie, generał Hamil znalazł jednak coś, na co mógł się uskarżać.

Pellan z westchnieniem przeszedł z budki sternika przez cuchnący pokład rufowy. W przeciwieństwie do pozostałych łodzi, na tej nie wieziono wozów z zapasami ani zwierząt pociągowych. Były tu jednak przywiązane wierzchowce labornockich szlachciców (Bóg jeden wiedział, do czego mogą się przydać zwycięzcom na bezdrożach krainy bagien wokół Trevisty), wraz z ich furazem, zapasami żywności, skórzanymi workami wypełnionymi bronią i zbrojami oraz oddziałem dwudziestu lub trzydziestu stajennych, żołnierzy i lokajów, którzy wałęsali się dookoła, grając w kości, drzemiąc albo wymieniając złośliwe żarty z wiosłarzami.

Pellan zatrzymał się przy niewielkiej budce w śródkręciu, w której znajdowała się kuchnia i jego własna niewielka kajuta — tę ostatnią zarekwirował czarownik Orogastus i jego dwaj złośliwi pomocnicy. Pchnął kuchcików z porządną racją wina do wyczerpanych wiosłarzy i kazał dać łyk labornockim prostakom, by nie szemrali. Następnie prześlizgnął się obok grupki sierżantów, którzy spojrzeli na niego ze złością, gdyż postój pozbawił ich chłodnego wietrzyku, i w końcu dotarł na dziób. Rozpięto tam tkaninę, która dawała cień uprzywilejowanym pasażerom — rycerzom towarzyszącym księciu Antarowi, generałowi Hamilowi, garstce wyższych oficerów, których zabrał na ten rekonesans, oraz Kupcowi–Mistrzowi imieniem Edzar, niedawno mianowanemu oficjalnym rzecznikiem sił okupacyjnych Labornoku mającym porozumiewać się z tubylcami.

Większość młodszych rycerzy uczepliła się balustrady, daremnie wypatrując z oddali słynnego miasta Odmieńców. Bez przeładowanych ozdobami emaliowanych zbroi wyglądali jak nieokrzesana banda odziana w przepocone zrudziałe kaftany i spodnie. Szlachcice i wyżsi oficerowie mieli na sobie też proste stroje, różniące się od odzienia żołnierzy tylko tym, że były czyste. Jednak otyły Kupiec–Mistrz był ubrany tak bogato jak dworzanin na uroczystej audiencji. Na przejrzystej żółtawopomarańczowej szacie nosił zielony, wyszywany złotem tabard swojej gildii. Całość wieńczył kapelusz o niezwykle szerokim rondzie z zielonej jak liść substancji, udekorowany przepaską z żywych kwiatów.

— Dlaczego się zatrzymaliśmy? — zapytał niegrzecznie generał Hamil. — Jeżeli przed nami jest Trevista, to rusz swój leniwy tyłek i każ płynąć dalej! Powiedziano ci, że chcemy dotrzeć tam jak najprędzej!

Labornocką flotylla zatrzymała się na środku Dolnego Mutaru, który jest w tym miejscu szeroki co najmniej na dwie mile. Pellan niedbale zasalutował rozzłoszczonemu oficerowi.

— Musimy postępować zgodnie z protokołem Kupców–Mistrzów, generale, i poczekać na eskortę Nyssomu, która zaprowadzi nas do Trevisty.

— Kupców?! — wykrzyknął naczelny dowódca Labornoku. — Nie jesteśmy bandą handlarzy, lecz zdobywcami — i przestrzegamy tylko własnego protokołu! Każ podnieść kotwice, ty ptasi mózdzku, i ruszajmy.

— Panie, to byłoby wysoce nieroztropne. Nie mógłbym wziąć na siebie odpowiedzialności za to, co może się wydarzyć. — Ruwendiański zdrajca miał wypisane zuchwalstwo na twarzy ogorzałej, brązowej jak jego skórzany strój, i trzydniowy siwy zarost. — Ci dzicy Odmieńcy są bardzo drażliwi. Nie wiadomo, co by zrobili, gdybyśmy sami wpakowali się do Trevisty...

— Ruwenda jest nasza i robimy, co się nam podoba! — ryknął Hamil wyciągając miecz. — A teraz każ ruszać dalej, albo przewietrzę ci gardło!

Nie przejmując się tymi groźbami, Pellan zwrócił się do labornockiego Kupca–Mistrza, który właśnie raczył generała i jego przyjaciół opowieściami o bajecznych miastach Zaginionego Ludu.

— Porozmawiaj z nim, Mistrzu Edzarze. Zdaje się, że nie rozumie sytuacji... — Głos przewodnika zamienił się w skrzek, gdy Hamil złapał go za włosy i podniósł miecz.

— Pohamuj się, generale!

Książę Antar, który przez większą część podróży opanowany przygnębieniem tkwił samotnie na dziobie, przepchnął się przez tłum rycerzy czekających z nadzieją na rozlew krwi i stanął przed barczystym oficerem. Hamil niechętnie puścił Pellana, który wycofał się ukradkiem, chcąc znaleźć się poza zasięgiem jego ręki, a Mistrz Edzar postąpił do przodu i uklonił się księciu.

— Pozwól mi to wytłumaczyć, Wasza Wysokość. Zapewniam cię, że nasz nowy sprzymierzeniec Pellan ma na względzie tylko interes Labornoku.

— Lepiej, by tak było, gdyż inaczej znajdzie się na dnie Mutaru w towarzystwie bagiennych robaków nadgryzających jego męskie klejnoty!

Większość rycerzy roześmiała się, ale książę powiedział:

— Mów dalej, Mistrzu Edzarze.

— Tam leży Trevista — Edzar wskazał na widoczne z oddali zielone pagórki pokryte ciemnopurpurowymi cieniami, migoczące w rozpalonym powietrzu, które jakby zamykały główne koryta Mutaru. — Na tym tam archipelagu, w miejscu, gdzie zlewają się Vispar i Dolny Mutar. Nie jest to jednak takie miasto, do jakiego my, Labornokowie — czy nawet Ruwendianie — przywykliśmy, a tak zwany Jarmark Trevistański nie zawsze rozkłada się w tym samym miejscu, lecz krąży wokół Trevisty, zależnie od nastroju miejscowych Nyssomu. Dlatego nawet tacy przewodnicy jak nasz zacny przyjaciel Pellan nie wiedzą, gdzie dzisiaj może on się odbywać.

Osorkon, olbrzymi zastępca Kamila, prychnął szyderczo.

— Miasto leży na wyspie, a wy nie możecie odnaleźć targowiska tych nędznych Odmieńców, nawet jeśli ślizga się dookoła jak skacząca ryba na gorącym błocie.

— Trevista nie leży na jednej wyspie, panie Osorkonie — Edzar machnięciem ręki wskazał na horyzont. — Na nich wszystkich.

Obecni jęknęli z wrażenia.

— To jest — a raczej było — najwyższe osiągnięcie Zaginionych. W porównaniu z Trevistą olbrzymia ruwendiańska Cytadela jest tylko niezgrabną forteczką, schronieniem przed klęską, która w końcu i tak zniszczyła tę starożytną rasę. Każda z setek tych wysp zwieńczona jest ruinami, a łączy je labirynt kanałów, których ściany są zagłębione w dnie rzeki. Są tam śluzy, wielkie mosty, zrujnowane stocznie — różnego rodzaju nabrzeżne konstrukcje, nie mówiąc już o rozpadających się budynkach publicznych, zniszczonych domostwach oraz wielkich placach i arkadach, zarośniętych krzakami i drzewami w miejscach, gdzie Nyssomu zabroniono dostępu.

— Jaka część miasta jest zamieszкана przez tubylców? — zapytał Antar.

— Nikt nie wie, Wasza Wysokość. Ci dzicy Nyssomu gardzą kontaktami z ludźmi. Prowadzą nas, kupców, na jarmark, gdzie poszczególni Odmieńcy oferują nam takie towary, które, ich zdaniem, nas zainteresują. — Unikając gniewnego spojrzenia Hamila dodał: — Gdyby nasza flotylla miała wpłynąć do Trevisty bez pozwolenia — zważ, że nie

powiedziałem „nie zapowiedziana”, gdyż oni zawsze wiedzą, kiedy nadpływamy — najprawdopodobniej żaden Nyssom nie raczyłby się nam pokazać. Znaleźlibyśmy wprawdzie to miejsce, ale byłoby całkowicie opuszczone. A co do najazdu na Trevistę z zamiarem podboju... To daremne. Jedyna wartość tych ruin tkwi w oferowanych tam towarach i dlatego musimy utrzymywać dobre stosunki z Odmieńcami.

— Dobrze to ująłeś, Mistrzu Edzarze. — Książę spojrział znacząco na generała Hamila. — A jeśli zyskamy ich zaufanie — zapewniając, że pod labornockimi rządami w Ruwendzie handel zostanie utrzymany — czy sądzisz, że będą z nami współpracowali?

— Możemy tylko mieć taką nadzieję, Wasza Wysokość.

— Czy im się to spodoba, czy nie, umieścimy garnizon w Treviście! — oświadczył Hamil. — Taki jest rozkaz króla Voltrika. I lepiej, żeby te błotne szczury nie knuły zdrady pomagając zbiegłym księżniczkom, gdyż drogo za to zapłacą!

— Nie ulega wątpliwości, że lojalność Nyssomu jest silniejsza wobec księżniczek niż wobec nas. Będziemy musieli odkryć ich kryjówkę raczej używając przebiegłości niż siły. — Antar omiótł spokojnym spojrzeniem zgromadzonych rycerzy i w końcu zatrzymał wzrok na twarzy generała Hamila. — Jasne?

— Całkiem jasne — burknął Hamil dodając spóźnione: — książę.

— Łódź z Trevisty w polu widzenia! — zawołał obserwator.

Większość obecnych rzuciła się ku balustradzie, żeby przyjrzeć się zbliżającej się dziwacznej łódce. Nie była napędzana wiosłami ani żaglami, a jednak szybko płynęła w stronę labornockiej łodzi, pozostawiając za sobą błyszczący ślad w formie litery V na leniwych nurtach Mutaru. Dostrzegli w niej tylko jedną postać. Łódka była przyozdobiona kwiatami od dziobu do rufy.

— Skąd, u licha, bierze się jej napęd? — zapytał ze zdumieniem pan Owanon.

Pellana, cały czas trzymający się z dala od generała Hamila, odzyskawszy pewność siebie, odpowiedział:

— Łódź ciągnie para rimorików, wodnych stworzeń podobnych do wielkich pelrików. Na nieszczęście, te zwierzaki nie dają się udomowić ludziom. Nawet wśród Nyssomu niewielu umie nimi powozić, gdyż nauczyć się tej sztuczki mogą tylko od swoich nietowarzyskich kuzynów Uisgu. Członkowie tego ostatniego plemienia regularnie przybywają do Trevisty, przywożąc towary z północnych krańców Błotnego Labiryntu.

Książę Antar wziął Edzara za ramię i poprowadził go w stronę budki w śródookręciu.

— Wyjaśnij mi, co miałeś na myśli mówiąc, że nasza flotylla nie mogła przybyć nie zapowiedziana. Czy chcesz przez to powiedzieć, że Odmieńcy z Trevisty potrafili nas śledzić, mimo szybkości, z jaką płynęliśmy w górę rzeki?

— Wasza Wysokość — kupiec wzruszył ramionami. — Oni porozumiewają się między sobą bez słów na duże odległości, tak jak pan Orogastus przemawia do swoich Głosów.

Drzwi kajuty Pellana otwarły się tak nagle, że książę i kupiec drgnęli z zaskoczenia. W drzwiach stanął czarownik: wysoki, odziany w czerń i biel, z twarzą ukrytą w cieniu kaptura. Za nim stały dwie zakapturzone postacie, też w opończach — jego pomocnicy zwani Głosami. Krępy akolita ubrany był na czerwono, a chudy na niebiesko.

— To prawda — powiedział z obcym akcentem Orogastus. — Ci ludzie posługują się prymitywną telepatią i od czasu do czasu potrafią nawet obserwować z daleka niektóre wydarzenia za pomocą jasnowidzenia — chociaż władają tymi talentami w znacznie mniejszym stopniu niż ja.

Książę odesłał Edzara, sam zaś powiedział zimno do Orogastusa:

— Wielki Ministrze, nigdy mi o tym nie mówiłeś.

— Nie było takiej potrzeby. Nie miało to znaczenia podczas inwazji, a poza tym nigdy nie zamierzaliśmy prowadzić wojny z tubylcami. Wręcz przeciwnie... Wykorzystamy ich.

— Planujesz więc zawrzeć sojusz z tymi małymi Odmieńcami, tak jak zrobiliśmy to już ze Skritekami? Mój królewski ojciec napomknął o tym podczas marszu na ruwendiańską Cytadelę. — W głosie Antara brzmiała wymuszona grzeczność, a zarazem szacunek i pewna uraza. Mimo że miał już dwadzieścia sześć lat, ani Voltrik, ani jego tajemniczy Minister Stanu nie uważali za stosowne zdradzić mu swych dalekosiężnych planów.

— W stosownym czasie zawrzemy przymierze z niektórymi plemionami Odmieńców. — Orogastus machnął lekceważąco ręką. — Ale nie z tymi nędznymi Nyssom. Są nam potrzebni tylko dlatego, że dostarczają ziół, korzeni i innych towarów z bagien. Dawno już wybrali najbardziej interesujące starożytne wyroby z samej Trevisty i z pobliskich opuszczonych miast. Ponieważ utrzymywali bliskie więzi z pokonanymi Ruwendianami, nie sądzę, by teraz szczególnie gorliwie nam dostarczali urządzenia Zaginionego Ludu. Z różnych powodów chcę, by lojalni wobec nas Odmieńcy przeczesali odleglejsze zakątki Błotnego Labiryntu, gdyż wiem, że są tam ukryte niezwykle magiczne maszyny Zaginionych. Kiedy użyje się ich we właściwy sposób, umożliwią rozciągnięcie władzy Labornoku nie tylko na cały Półwysep, ale z czasem i na cały znany świat.

Antar poczuł ucisk w sercu. Więc to dlatego król Voltrik mianował tego parweniusza Wielkim Ministrem wbrew radom swych co bardziej niechętnych zmianom doradców! Czy czarodziej tylko żerował na łatwowierności Voltrika, czy też jego szalony plan miał jakieś rzetelne podstawy? Takie to myśli przebiegały przez głowę księcia, lecz na jego twarzy malował się życzliwy sceptycyzm.

— Tak mówisz? Labornok pewnego dnia zawładnie całym światem? Nic dziwnego, że tak nalegałeś, abyśmy wypowiedzieli wojnę Ruwendzie! Ale jest to dla mnie nowością. Jaka jest natura tych złowrogich urządzeń, których szukasz, i skąd wiesz o ich istnieniu?

— Przedyskutujemy to kiedy indziej, książę. Łódka z Trevisty jest już tuż, a twoje pytania dotyczą najważniejszych problemów polityki Labornoku, o których może mówić tylko sam król.

Odziany w czerwień sługa stojący za czarownikiem szepnął coś świszczącym głosem i Orogastus skinął głową.

— Czerwony Głos przypomniał mi, że miałem cię poinformować, iż stan twego królewskiego ojca nieco się pogorszył. Mój Zielony Głos, czuwający u jego wezgłowia, niedawno przekazał mi tę wiadomość. Król Voltrik ma gorączkę, a trujące go humory ulokowały się w jego zranionej ręce. Poleciałem Zielonemu Głosowi podać najsilniejsze lekarstwo, jakim dysponuję, Zieloną Pastyłkę. Za dwa lub trzy dni powinno to przynieść ulgę naszemu królowi.

— Dlaczego nie dano mu wcześniej tej cudownej pastylki? — Książę zmarszczył brwi.

— To lek Zaginionych, książę, mam go niewiele, i przeznaczony jest wyłącznie do leczenia zagrażających życiu chorób. Miałem nadzieję, że królowi pomogą środki stosowane zwykle przez jego królewskiego medyka. Ponieważ tak się nie stało, konieczna jest drastyczniejsza terapia — Zieloną Pastyłką.

— I to lekarstwo na pewno go wyleczy?

— Nigdy mnie jeszcze nie zawiodło. — Czarodziej zawahał się. — Odważyłem się dotychczas zastosować je tylko pięć razy — trzy na sobie samym, raz na Niebieskim Głosie i raz na zmarłej księżniczce Shondzie, drugiej żonie twojego ojca, kiedy gangrena wdała się w ranę od kolca na jej stopie. Niestety, rana twojego królewskiego ojca jest szczególnie niebezpieczna.

— Będę modlił się za mojego królewskiego ojca... — Książę Antar zamyślił się. — A ty, czarowniku, powinieneś jak najgorliwiej polecić naszego króla wszystkim bogom, jakich znasz. Bo jeśli Voltrik umrze, w Labornoku zapanuje głęboki smutek. I kto wie, jakie śmiałe plany mogą przez to zostać pokrzyżowane? — Antar odwrócił się nagle i odszedł.

— Ten będzie mniej uległy niż jego ojciec, Wszechpotężny Mistrzu — szepnął Czerwony Głos.

— Z największą przyjemnością załagodzilibyśmy ten spór — mruknął Niebieski Głos, stojący tuż za prawym ramieniem czarownika.

— Nie — odrzekł stanowczo Orogastus. — Jeszcze nie. Ale podoba mi się twoja gorliwość. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, właśnie tobie powierzę dokonanie zmiany w nastawieniu księcia. Zostaniesz sownie wynagrodzony, jeśli ci się to uda.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Przystrojona kwiatami łódka Nyssomu w wolnym tempie poprowadziła labornocką flotyllę ku najodleglejszej wyspie Trevisty. Stojący na dziobie pierwszej łodzi pan Osorkon trzymał wysoko czerwony jak krew sztandar Labor—noku, a rycerze na wszystkich łodziach przywdziali zbroje i płaszcze, by dobrze się zaprezentować, kiedy wejdą do miasta.

— Szkoda, że tym razem nie popłyniemy do wewnętrznych wysp — zauważył wesoło Mistrz Edzar. — Są tam wspaniałe mosty i godne uwagi obserwatorium astronomiczne z ciekawymi podestami, na których stały kiedyś jakieś tajemnicze instrumenty. Sądzę jednak, że uznacie tę zewnętrzną wyspę za dość interesującą, najważniejszą zaś sprawą jest udane pierwsze spotkanie z Mówczynią Frolotu i jej współpracowniczkami, a nie oglądanie ciekawych widoków.

— Czy ta Mówczyni to kobieta rządząca Trevistą, o której kiedyś wspomniałeś? — zapytał książę Antar.

— Mówczyni nie rządzi, książę, lecz tylko przemawia w imieniu swojego ludu i służy za pośrednika pomiędzy Kupcami—Mistrzami i Nyssomu. Jest to jednak urząd najbliższy władzy centralnej. W żaden sposób nie można jej oszukać. Mówią, że potrafi czytać myśli.

— Czy to prawda? — zapytał Orogastus, który wraz ze swymi pomocnikami podszedł do stojących na dziobie Labornoków.

— Nie jestem tego całkiem pewny, panie. — Kupiec odchrząknął nerwowo. — Z własnego doświadczenia wiem, że niezwykle trafnie odgaduje ludzkie skłonności — jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

— Chcesz powiedzieć — wtrącił Antar, zanim czarownik zdołał odpowiedzieć — że ta Mówczyni potrafi odróżnić prawdomównego od kłamcy?

— To prawie pewne i... Hm, to spowoduje zapewne trudności w naszych negocjacjach. Szczególnie w poszukiwaniach zbiegłych księżniczek. Będziemy musieli zachować takt...

— Do pioruna z twoim taktem! — wybuchnął generał Hamil. — Jeżeli ci Odmieńcy odmówią nam pomocy w poszukiwaniach, wtedy weźmiemy zakładników i ich do tego zmusimy. Może sama Mówczyni zechciałaby na własnej skórze zapoznać się ze słynną gościnnością pana Osorkona!

— Byłoby to dla mnie zaszczytem. — Zastępca Hamila, który włożył swą przerażającą czarną zbroję, roześmiał się szyderczo.

Edzar tylko wzruszył ramionami.

— Jeśli weźmiecie do niewoli Mówczynię Frolotu, Nyssomu z Trevisty po prostu wybiorą inną Mówczynię. I bardzo możliwe, że całe plemię zniknie jak mgła w południe, a nasz handel z nimi skończy się raz na zawsze. Tak jak to już próbowałem ci wytłumaczyć, generale, mamy niewielki wybór w kontaktach z tymi dziwacznymi stworzeniami.

— Wtedy będziesz musiał użyć swoich czarów, by ich do tego zmusić! — Hamil obrócił się błyskawicznie mówiąc do Orogastusa.

— Zobaczymy — odrzekł łagodnie czarownik.

— Ponieważ to ja dowodzę tą wyprawą, niech wszyscy przyjmą do wiadomości, że tylko ja będę prowadził pertraktacje z Mówczynią — powiedział książę Antar. — Inwazja Labornoku na Ruwendę została podjęta z jednego zasadniczego powodu: wyrównania naszych długoletnich strat w handlu i zapewnienia stałych dostaw takich artykułów pierwszej potrzeby jak minerały i drewno. Przemawiam w imieniu mojego królewskiego ojca, kiedy mówię, że nikt i nic nie może narazić na niebezpieczeństwo tego handlu. Ani Wielki Minister Stanu pożądający tajemniczych, starożytnych i bezwartościowych urządzeń, ani generał zajęty wyłącznie poszukiwaniem trzech nieszczęsnych dziewcząt. Będziecie mi w tym posłuszni!

— Oczywiście, książę — odparł z uśmiechem Orogastus.

Hamil szybko odwrócił wzrok od Antara, do którego niepostrzeżenie podeszła jego eskorta złożona z dwudziestu uzbrojonych po zęby rycerzy, i spojrzął na czarownika w asyście dwóch zagadkowych Głosów. Wreszcie rzekł:

— Jestem żołnierzem, który wykonuje rozkazy swojego króla, i prawdą jest, że on postawił cię, książę, na czele tej wyprawy. Dlatego też zrobię, co każesz — chyba że sam król Voltrik postanowi inaczej.

— To wystarczy — westchnął Antar. Wyraźnie się odprężył, tak samo jak jego rycerze, a potem wszyscy wrócili do balustrady, by nie stracić pierwszego widoku Trevisty z bliska.

Ukwiecona łódka z samotnym pilotem Nyssomu zaprowadziła sznur labornockich łodzi do kanału, który sprawiał wrażenie zwykłego wylomu w gęstej dżungli. Gigantyczne drzewa nieznanego gatunku z dodatkowymi pniami przypominającymi przypory strzelały w górę na wysokość kilkuset elli. Tworzyły szmaragdowy sufit nad splątanym poszyciem, które wydawało się jeszcze bardziej nie do przebycia niż Błotny Labirynt, który najeźdźcy już widzieli. Na brzegu kanału rosły zwartą masą dziwaczne rośliny o czerwono-zielonych liściach wielkości drzwi, a ich żyłki sprawiały wrażenie nabijanych złotymi kolcami. Grube jak męskie ramię pnącza, obsypane purpurowymi, białymi i różowymi kwiatami, zwisały z sięgających daleko nad wodę żywych podpór i unosiły się leniwie na ciemnej wodzie. Duszne powietrze przesycone było zapachem kwiatów i nieprzyjemnym odorem rozkładu. Kiedy flotylla wpłynęła do kanału, ptaki, owady i inne leśne stworzenia podniosły ogłuszającą wrzawę. Trwało to do chwili, gdy tubylec w łódce wstał i wydał przeraźliwy, gruchający okrzyk.

W zapadłej nagle ciszy słyhać było tylko plusk wiosel. Kiedy labornockie łodzie mijają powoli zakręt, mistrz Edzar bez słowa wskazał przed siebie.

Początkowo Labornokowie widzieli tylko ciągnącą się aż po horyzont zieloną ścianę. Gdy jednak ich oczy przyzwyczały się do północy, dostrzegli wokół siebie majaczące monumentalne kształty niemal pogrzebane pod zasłoną z pnączy. Przy tych budowlach — a raczej pałacach — rezydencje w Derorguili wyglądały jak chłopskie chaty. Stały rzędem nad wodą, wspaniałe nawet jako ruiny, a ich fundamenty tworzyły brzegi wielkiego kanału, szerokiego na pięćdziesiąt elli. Rycerze i żołnierze gapili się i krzyczeli jak podniecone dzieci, kiedy mijali jeden taki cud po drugim.

Wszędzie widać było przykłady wspaniałej roboty kamieniarskiej i rzeźbiarskiej. Fasady wielu starożytnych gmachów zdobiły mozaiki, bajecznie kolorowe jak tropikalne kwiaty. Do nich przylegały zapuszczone ogrody, w których pozostały resztki przepięknych portyków, otwarte galerie o smukłych kolumnach (część z nich runęła na ziemię) czy wałce się esplanady, ogrodzone bogato rzeźbionymi balustradami. Zieleń niemal całkowicie zasłaniała pozostałości tajemniczych posągów i wielkie, rozbite wazony. Drzewa i krzewy strzelały ku słońcu, wypychając korzeniami różnokolorowy bruk otwartych niegdyś placów. Nikt jednak nie ośmieliłby się powiedzieć, że dżungla zawładnęła Trevistą: nadal starożytną metropolią nadal unosiła się aura siły i wyrafinowanego piękna, a upływ czasu osłabił je w niewielkim tylko stopniu.

Łódka przewodnika zaprowadziła labornocką flotyllę z głównego kanału do jednego z odgałęzień i niemal natychmiast ruiny zmieniły wygląd. Większość kolosalnych budowli nadal pokrywały pnącza, ale niektóre ulice i boczne drogi były oczyszczone. Łodzie podpłynęły do prawego brzegu kanału, gdzie rozciągał się wielki plac z tryskającą fontanną na środku. Prowadziły do niego wielkie schody o płaskich stopniach z podobnymi do kolumn lampami po bokach. Na szczycie schodów stała zwarta grupa około dwudziestu Nyssomu. Innych tubylców nie było w polu widzenia.

— Ale gdzie jest jarmark? — zapytał generał Hamil. — Na Święte Wnętrznosci Zota — Odmieńcy jednak uciekli!

— Proszę, mów cicho, generale! — Kupiec–Mistrz syknął krzywiąc się. — Mówczyńi Frolotu i delegacja jej plemienia mogą się obrazić.

— Wybadaj ich, czarowniku! — nalegał Hamil. — Czy te małe błotne szczury czatują na nas w zasadzce?

— Milcz, głupcze! — uciszył go Orogastus. Lekkim ruchem ręki przywołał swoich pomocników, którzy padli obok siebie na kolana. Zarówno generał Hamil, jak i księżę Antar widzieli już, jak czarownik posługiwał się swymi pomocnikami podczas jasnowidzenia, lecz rycerze i żołnierze z ciekawością przyglądali się temu. Orogastus stanął za Głosami, bezceremonialnie zdarł z nich kaptury i oparł dłonie na ich ogolonych głowach.

Sam również odsłonił głowę; jego śnieżnobiałe włosy połyskiwały w zielonym półmroku tropikalnej dżungli. Powoli przymknął powieki. Ci, którzy obserwowali wszystko uważnie, spostrzegli, że oczy obu Głosów nagle przeistoczyły się w czarne, puste jamy. Ciche przekleństwa i jęki zdumienia ucichły, gdy powieki Orogastusa odsłoniły dwie gwiazdki jarzące się pod jego ciemnymi brwiami. Podniósł do góry ręce, obrócił się powoli, najwyraźniej badając otoczenie placu oraz zarośnięte pnączami kopulaste budowle po przeciwnej stronie kanału.

Znów zaniknął oczy. Jego zeszywniali pomocnicy drgnęli konwulsyjnie i jęknęli, a ich oczy stały się normalne, zanim osunęli się nieprzytomni na pokład. Twarz czarownika również przybrała swój zwykły wygląd, nim naciągnął na głowę kaptur.

— W budynkach z drugiej strony kanału ukrywa się prawie czterystu Nyssomu — powiedział spokojnie Orogastus. — Obserwują nas i nie są ani wrogo nastawieni, ani się nas nie boją. Proponuję, byśmy wyszli na ląd i spotkali się z ich przedstawicielami. Żadne niebezpieczeństwo nam nie grozi.

Pochylił się i niedbale potrząsnął nosami swych nieruchomych pomocników. Obaj podnieśli się płynnym ruchem, jakby dryfowali w wodzie, i stali z pochylonymi głowami, otwartymi ustami i zamkniętymi oczami. Czarownik skierował się do kajuty Pellana, przywołując ich skinieniem. Półprzytomny Czerwony i Niebieski Głos, powłócząc nogami poszli za nim.

— Ci dwaj zaczarowani służalcy przyjdą do siebie po odpoczynku — powiedział krótko księżę do swoich przełęczonych rycerzy. — A teraz pozbierajcie się i, na Boga, trzymajcie równo tarcze. Macie się zachowywać, jak na porządną straż honorową przystało.

Tubylcza łódka już podpłynęła do wielkiej przystani, która mogła pomieścić jednocześnie wszystkie duże łodzie. Kilku Nyssomu zeszło po schodach, by pomóc je przywiązać. Pellan zaś skierował pierwszą łódź do samego środka schodów, polecił podnieść wiosła i zręcznie przybił do brzegu.

Księżę Antar w towarzystwie Mistrza Edzara, pana Osorkona niosącego labornocki sztandar oraz generała Hamila wraz z jego czterema adiutantami zszedł po trapie na przystań i czekał. Dwudziestu rycerzy ustawiło się za nim w szeregu, z tarczami na ramionach i zdobnymi proporcami lancami. Zwykli żołnierze i ich sierzanci stanęli przy balustradach łodzi, uzbrojeni w kusze.

— Pozdrawiamy Nyssomu z Trevisty! — zawołał uroczyście Mistrz Edzar w języku, którym posługiwały się wszystkie narody Półwyspu. Powtórzył pozdrowienie w mowie Nyssomu, tłumacząc resztę swego przemówienia. — Wielki naród Labornoku, który ponad czterysta lat handlował w pokoju z zamieszkującym Trevistę ludem Nyssomu przez ruwendiańskich pośredników, oświadcza teraz, że będzie odtąd prowadził handel swobodnie i bezpośrednio, bez sprzedajnych dostawców, i że zarówno Nyssomu, jak i Labornokowie zyskają na tej zamianie! Nasz wielki król Voltrik nie mógł już dłużej znosić ciężkich obelg i zniewag miotanych na Labornok przez aroganckich i chciwych ruwendiańskich urzędników. Poprowadził więc potężne labornockie zastępy na południe i wymierzył sprawiedliwą zemstę tchórzliwym Ruwendianom, którzy skapitulowali bezwarunkowo przed trzema dniami. Teraz

Ruwenda i Labornok zostaną połączone w jeden wielki naród. Karawany kupieckie będą przybywały do Trevisty jak dotychczas. Nyssomu mogą się cieszyć wraz z Labornokami, gdyż zniesienie niesprawiedliwych podatków nałożonych przez Ruwendian na ich handel pozwoli odetchnąć obu ludom. Pokój i dobrobyt zapanują wśród wszystkich istot dobrej woli!

Kupiec rozwarł szeroko ramiona. Trębacze na wszystkich łodziach jednocześnie zagrali fanfarę. Nyssomu zamrugali ogromnymi żółtymi oczami, ale poza tym nie wykonali żadnego ruchu. Edzar odchrząknął i mówił dalej:

— Król Voltrik wysłał do was jako przedstawiciela Labornoku swojego ukochanego syna i zarazem następcę tronu, księcia Antara. Przez kilka następnych dni książę będzie prowadził z wami rozmowy na temat nowych stosunków między naszymi ludami, które będą bliższe i bardziej przyjazne niż kiedykolwiek dotąd! A teraz książę Antar pragnie przekazać pozdrowienia zacnej Mówczyni z Trevisty.

Kupiec odszedł na bok i złożył głęboki ukłon księciu, który postąpił do przodu. Zwarta grupka tubylców na szczycie schodów stała przez chwilę nieruchomo. Potem jeden z nich podszedł do Antara. Była to kobieta w sukni z suchej trawy, z wysokim kołnierzykiem i mankietami z żywych, niebieskich jak niebo kwiatów. Na głowie miała wianek z takich samych kwiatów; w rękę trzymała zwykłą zieloną trzcinę, którą bez ceremonii wskazała na zakłopotanego księcia.

— Antarze z Labornoku — odezwała się w języku ludzi. Miała melodyjny, donośny głos. — Jestem Frolotu, wybrana na Mówczynię przez nasz lud. Nasze zwyczaje nakazują nam być prostolinijnymi i szczerymi w stosunkach z ludźmi, dlatego mam zaszczyt zwracać się do ciebie bez niepotrzebnych sztuczek. Wysłuchaliśmy pięknej przemowy waszego kupca i zbadaliśmy jej zawartość, oddzielając prawdę od fałszu. Proszę teraz o pozwolenie wypytania ciebie.

Trzcina niezachwianie wskazywała na serce księcia, który zdał sobie sprawę, że poci się obficie pod piękną, paradną zbroją.

— Możesz zadawać mi pytania — powiedział cicho.

— Czy Labornokowie chcą skrzywdzić Nyssomu?

— Oświadczam, że nie zrobimy wam nic złego.

— Czy wasi kupcy nadal będą nam dobrze płacić za nasze towary?

— Oświadczam, że będą.

— Czego jeszcze poza wznowieniem handlu chcecie od Nyssomu z Trevisty?

— My... my chcemy założyć tu niewielkie osiedle jako bazę do zbadania wnętrza Błotnego Labiryntu.

— Chcecie zostawić tu oddziały zbrojne.

— Tak. Taki jest rozkaz mojego królewskiego ojca, żeby zbiegli Ruwendianie, którzy są wrogami nowej władzy, nie przeszkadzali w handlu.

W ogromnych oczach Mówczyni malował się smutek, ale pytała dalej beznamiętnie i jej trzcina nie drgnęła.

— Ci, których nazywasz swoimi wrogami, od dawna byli naszymi przyjaciółmi. Pokonaliście ich za pomocą czarnej magii i przewagi zbrojnej. Okrutnie zabiliście króla i królową Ruwendy i ich szlachetnych rycerzy, których jedyną winą było to, że bronili swego kraju przed waszym najazdem. Ścigacie teraz trzy Płatki Żywego Trillium, ruwendiańskie księżniczki, i chcecie skazać je na śmierć.

— Tak — potwierdził Antar. — Ale te ludzkie sprawy nie mają nic wspólnego z wami. Nie prosimy was o pomoc w poszukiwaniu księżniczek. Jeżeli nam w tym przeszkodzicie, poznacie nasz gniew. Jeśli zaś staniecie na uboczu, zapewniam was, że żaden obywatel Labornoku was nie obrazi ani nie skrzywdzi. Będziemy wam płacić za kwatery i wyżywienie tutejszego garnizonu i podejmiemy z wami handel najwcześniej, jak to będzie możliwe.

Mówczyni nakreśliła trzy płatki w powietrzu wokół księcia. Milczała potem chwilę, zanim powiedziała:

— Antarze z Labornoku, powiedziałeś prawdę. Nyssomu z Trevisty zgadzają się ponownie otworzyć jarmark i handlować z waszymi Kupcami–Mistrzami w zwykły sposób.

— Dziękuję ci — odrzekł Antar.

— Pozwolimy wam zostawić garnizon tutaj, wokół placu Lusagira. Jeśli chcecie, możecie zająć otaczające go budynki, a jarmark będzie się odbywał codziennie wokół fontanny, gdzie będziecie mogli nabyć od nas żywność i inne towary po przystępnej cenie.

— Jeszcze raz ci dziękuję.

Małeńka istota wyliczyła ograniczenia, którym miał podlegać labornocki garnizon: żołnierze mogą swobodnie podróżować kanałami Trevisty, ale nie wolno im lądować, chyba że zostaną zaproszeni przez Nyssomu. Rejon na drugim brzegu kanału, naprzeciwko placu Lusagira, gdzie wielu Nyssomu zamieszkało wśród ruin, miał być niedostępny dla ludzi, o ile sama Mówczyni nie zrobi dla kogoś wyjątku. Z drugiej strony tubylcy będą mieć wolny dostęp na plac za dnia, choć żołnierze mogą zabronić im wstępu do zajmowanych przez siebie budynków.

— Przyjmujemy te wszystkie warunki — oświadczył Antar. — A teraz, ponieważ słońce zachodzi, prosimy, byś pozwoliła naszym ludziom zejść na brzeg i rozbić tymczasowy obóz przed zapadnięciem zmroku.

— Wszyscy mogą wysiąść — Frolotu nakreśliła trzcina łuk na prawo od księcia, wskazując na trzy postacie wciąż stojące na pokładzie łodzi — z wyjątkiem jego.

Antar i jego towarzysze odwrócili się i zobaczyli Orogastusa, który wraz ze swoimi Głosami stał w pobliżu budki Pellana. Czarownik z ironią uklonił się Mówczyni.

— Musi opuścić to miejsce jutro i nie wracać, gdyż inaczej wszystko, na co Nyssomu wyrazili zgodę, straci ważność — ciągnęła Frolotu. I choć twarz miała kamienną, łzy płynęły jej po policzkach.

Księżę westchnął. Mgła unosiła się znad kanału, czuł się niedobrze w przywierającej do ciała zbroi, i w dodatku był bardzo głodny.

— Zgadzam się i na to, Mówczyni. Czy jest jeszcze coś? Zielona trzcina opadła, aura siły i prawości emanująca od ukwieconej postaci zdawała się słabnąć prawie namacalnie, pozostawiając tylko płaczącą kobietę z innej niż ludzka rasy, mimo wytrzymałości i hartu ducha bliska załamania.

— Nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia, księżę — powiedziała. — Jest to czas żałoby i wszystkim Nyssomu jest ciężko na sercu. Pomimo to moi pobratymcy przyniosą świeże owoce i mięso, abyście mogli się posilić. Jest to nasz dobrowolny dar, który idzie w parze z prawem do darmowego korzystania z budowli Trevisty. Może spotkamy się znów na Święcie Trzech Księżyców, jeżeli Władcy Powietrza pozwolą nam dożyć tego dnia.

Poszła w górę schodów powoli, jakby wyczerpana długim biegiem. Później wraz z resztą Nyssomu przebyła szeroki plac i zniknęła w pogrążonej w cieniu, zarośniętej bocznej uliczce między dwoma zrujnowanymi gmachami.

Znacznie później tej samej nocy, kiedy żołnierze zakwaterowali się w namiotach i ogniska obozowe paliły się niskim płomieniem, Antar wyszedł ze swojego namiotu i niespokojnie spacerował po nabrzeżu. Irytowały go głośnie przejawy nocnego życia lasu i to, że nawet najłżejszy podmuch wiatru nie poruszał wilgotnego powietrza. Po drugiej stronie kanału liczne słabe, różnokolorowe światełka migotały w osadzie Odmieńców. Obrzydliwa zielonkawa poświata padała z okna kajuty, w której przebywał Orogastus i jego słudzy. Dobiegał stamtąd śpiew, ledwie dosłyszalny poprzez hałas, jaki podnosili nocni mieszkańcy dżungli. Antar odwrócił się z grymasem niechęci i poszedł wzdłuż szeregu opuszczonych

łodzi do ostatniej, gdzie z latarnią u stóp samotny żołnierz pełnił wartę na pokładzie dziobowym. Księżę przedstawił się i wszedł na pokład.

— Czy na kanale panuje spokój? — zapytał.

— Tak, panie. — Żołnierz skinął głową w stronę świateł mrugających po drugiej stronie wody. — Odmieńcy tam się kręcą. Od czasu do czasu coś się porusza przed ich lampami. Jakiś czas temu ogromny stwór o świecących oczach przepłynął obok, złapał i zjadł coś, co żałośnie piszczało. Oprócz tego wszystko jest w porządku.

Antar podszedł do balustrady na dziobie i spojrział na drugi brzeg kanału.

— Co sądzisz o tych Odmieńcach? Czy są oni inteligentnymi zwierzętami, jak zawsze nauczali nasi mędracy, czy też prawdziwymi osobami?

Żołnierz charknął i splunął.

— Z ich dziwnego wyglądu wnosiłbym, że to zwierzaki. Ale ta, co z tobą rozmawiała, panie, była dostatecznie chytra, by przeforsować swoje zdanie.

— To prawda — przyznał księżę i zachichotał ponuro.

— I nigdy nie słyszałem, żeby jakiś zwierzak płakał ze smutku nad martwymi przyjaciółmi.

Antar pozostawił to bez komentarza.

— Czy pozostaniesz tu z garnizonem? — zapytał.

— Nie. Rano mam wracać do Cytadeli razem z czarownikiem.

— Jesteś z tego zadowolony?

— Najbardziej byłbym zadowolony, gdybym mógł wracać do Derorguili, panie. Jestem mieszkańcem nizin, nie podoba mi się kraina bagien, a te wielkie, stare gmaszyska przejmują mnie dreszczem.

— Mnie również — Antar roześmiał się.

Podszedł do jednego z pustych teraz wozów, w których przewożono prowiant. Garnizon raczej nie będzie potrzebował żadnych pojazdów. Drogi wokół placu Lusagira kończyły się w dżungli, ćwierć mili dalej. Księżę leniwie kopnął koło, a potem podniósł strzęp tkaniny, który zaczepił się o gwóźdź. Połyskiwał dziwnie w blasku latarni.

Był to skrawek zabłoconego, cennego różowego jedwabiu. Przyglądając mu się uważnie poczuł dziwne przekonanie, że widział już ten materiał — i dotykał go.

Trzymał w ramionach odzianą weń kobiecą postać.

A teraz znalazł kawałek jedwabiu z jej sukni.

Tutaj?! To niemożliwe! Księżniczka Anigel nie mogła się ukryć na pokładzie łodzi i nie odważyłaby się towarzyszyć tym, którzy przysięgli ją zabić. W żaden sposób nie uniknęłyby jasnowidzących oczu Orogastusa...

Czarownik przyznał jednak, iż nie potrafi odnaleźć kryjówki księżniczek. Anigel mogła pozostać w ukryciu, gdyż wyładunek wozów zakończono dopiero o zmroku. A potem... przez cały wieczór łódki miejscowych Odmieńców pływały tam i z powrotem po kanale, przywożąc żywność i napoje nieproszonym gościom.

A więc ta piękna, złotowłosa młoda kobieta, która samym swoim istnieniem zagrażała tronowi jego ojca, mogła znaleźć w Treviście. Może w tej właśnie chwili przebywa w osiedlu Nyssomu po drugiej stronie kanału.

Na Boga, co ma zrobić?

Antar wyprostował się. Wsadził strzęp atlasu za pas, powiedział dobranoc żołnierzowi i wrócił na miejsce, w którym po raz pierwszy zszedł na ląd. Nieprzyjemne zielone światło nadal świeciło w kabinie czarownika, pulsując w rytm pieśni. Księżę poczuł coś pod stopą i pochylił się.

Był to mały kamień. Po namyśle owinął go znalezionym kawałkiem atlasu. Później z całej siły cisnął go na sam środek kanału i poszedł spać.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kadiya usiadła. Żdźbła trawy przyłgnęły do jej lepkiej od potu skóry i włosów. Dyszała ciężko, jakby przed chwilą ukończyła morderczy bieg. Oszołomiona i wstrząśnięta, rozejrzała się wokoło, przez chwilę lub dwie nie rozumiejąc, gdzie jest i co się stało. Czuła ciepłe bagienne wyziewy, poprzez wybijające krzewy widziała żółte słoneczne plamki na powierzchni kałuż. Zadrżała pomimo gorąca i skuliła się. To nadal tam było...

Zmusiła się, by oddychać spokojnie, otrząsnęła się z oszołomienia. Co to było? Nie umiałaby tego nazwać, a przecież czuła się jak schwytna w pułapkę, bezbronna. Wydawało się jej, że spogląda na nią jakieś wielkie oko. Po paru próbach zdołała wreszcie wykrztusić:

— Jagunie!

Coś się poruszyło w pobliżu. Odmieniec tak się zagrzebał w swoim gnieździe z trawy, że wstając sprawiał wrażenie, iż wynurza się z głębi ziemi. Mrużył oczy w jaskrawym świetle, ale w ręce trzymał obnażony nóż.

— Ktoś... — Głos Kadiyi drżał tak bardzo, że zawstydzila się i spróbowała się opanować.
— ...Ktoś nas szuka.

Jagun wysunął się z gniazda i zerwał na nogi. Jego wąskie nozdrza rozděły się, kiedy podniósł głowę wężąc jak zwierzę. Obrócił się bardzo powoli, badając powietrze we wszystkich kierunkach. Kadiya także zrobiła obrót. Nazywano ją „Jasnowidzącą” z powodu bystrego wzroku, ale teraz nic nie zauważyła. Bagno wyglądało tak jak zwykle. A przecież (a to było znacznie bardziej niepokojące niż odkrycie widzialnego wroga) nie wątpiła, że obserwator znajdował się daleko od nich. Czy to czary? Jakiego rodzaju? Kto je rzuca?

— Nie ma tu nic ponadnaturalnego — powiedział powoli Jagun, wpatrując się w Kadiyę.
— Śniłaś, królewska córko. Odpocznij: strażę, które zawsze są obecne na mokradłach, czuwają. Nikt i nic nie podkradnie się do nas bez mojej wiedzy. — Ziewnął.

Usiadła znów w gnieździe, ściskając amulet w dłoni. Wyteżyła słuch. Dobiegały ją zewsząd odgłosy życia. Wiedziała, że żaden z mieszkańców bagien nie ma powodu do strachu. Usiłowała rozróżnić poszczególne dźwięki. Za dnia grasowali inni myśliwi niż nocą. Ale ten, który jej szukał, minął ją, zawiedziony.

— Jagunie — powiedziała cicho — już nie czuję, że ktoś nas szuka. — Przesunęła rękę tak, by amulet znalazł się w jego polu widzenia. — Mój amulet nas osłonił. Może... może przed czarodziejskim wzrokiem Orogastusa?!

Myśliwy wstał, odrzucając na bok trawę.

— Jasnowidząca Pani, nie rozumiem czegoś takiego. — Wskazał na amulet. — Myślę jednak, że nie powinniśmy czekać na zapadnięcie nocy, żeby ruszyć w dalszą drogę.

— Skritekowie? — Kadiya popatrzyła na bagna widoczne z miejsca, w którym siedziała. Puściła amulet, który zakołysał się na łańcuszku, i wyciągnęła sztylet.

— Rozpoznałbym Skriteków. — Jagun pokręcił przecząco głową. — A co do tego... mogę tylko snuć przypuszczenia.

Gwałtowne słowa Odmienca wywarły na niej wrażenie i znów ogarnęło ją poczucie bezsilności.

— Orogastus ma pomocników — powiedział Jagun zasypując wilgotną ziemią resztki ogniska. — Nazywani są Głosami, gdyż dobrowolnie podporządkowali się woli swego pana, stając się jakby jego przedłużeniem. Bardzo możliwe, że wysłał któregoś z nich na poszukiwania wraz z oddziałami mającymi opanować Trevistę...

— I śledzi mnie! Ale co oni robią, Jagunie? Czy mogą tak się zamaskować, że ty, który tak dobrze znasz krainę bagien, nie zdołasz ich odnaleźć?

— Jasnowiedząca Pani, czy pamiętasz, że na ostatnim jarmarku była niejaka Ustrel? Moi ziomkowie zadawali jej pytania, by uzyskać odpowiedzi dotyczące spraw, które ich niepokoją?

Tak, pamiętała staruszkę, która była kaleką i musiała pomagać sobie w chodzeniu dwoma kijami. Widziała, jak tamta przykucnęła przed szerokim liściem drogo o zakrzywionych brzegach, do którego naląła kilka kropel wody. Z drugiej strony liścia skuliła się inna kobieta Nyssomu, czekając w napięciu na słowa jasnowiedzącej, ale ta mamrotała je w nieznanym Kadiyi dialekcie.

— Powiedziałeś, że Ustrel może odczytać przyszłość w kroplach wody — przypomniała sobie Kadiya — ale na pewno była to jakaś sztuczka. Przecież to niemożliwe...

— Niezupełnie, Jasnowiedząca Pani. Każde z nas różni się od drugiego nie tylko ciałem, ale i umysłem, w tym, czego możemy nauczyć się łatwo, i w tym, co przyswajamy sobie tylko z wielkim trudem, jeśli w ogóle. Czyż jesteś podobna do którejś ze swoich sióstr, królewska córko? Ja jestem myśliwym, poluję na zwierzęta i od czasu do czasu je uczę i układam. Taki jest mój talent. Nie umiem przemyślnie łączyć rzeźbionych kawałków drewna, ani warzyć trunków, czy pracować z tym, co zebrano z ruin. Są różne sztuki, umiejętności i zawody. Podobnie jest i z umysłem. Są tacy, którzy potrafią wyteńczyć wewnętrzny wzrok i zobaczyć, choć niewyraźnie i przelotnie, co dzieje się z kimś gdzieś daleko. Ustrel nie zawsze może to zrobić i rzadko widzi wyraźnie. Zdarzało się jednak, że jej przepowiednie się sprawdzały. Orogastus ma wielką wiedzę i nikt z nas nie potrafi jej określić. Jeśli jego Głosy mają jakiś wrodzony dar i jeżeli dobrze ich wykształcił, możliwe, iż posługuje się nimi jako przedłużeniem swoich zmysłów.

— W takim razie oni nas szukają i nadal będą to robić! Czym jest twoja sztuka odnajdywania tropów na moczarach w porównaniu z czymś takim? — Kadiya zadrżała. Mogła zrozumieć walkę na miecze, nawet okrucieństwa najeźdźców. Przerażała ją jednak, że mogą oni władać takimi mocami.

— Nielatwo jest to zrobić i wymaga to sporo czasu i przygotowań — uspokoił ją Jagun. — Oprócz tego wyczerpuje to jasnowiedza. Możliwe, że jeden z Głosów jest wśród tych, którzy nas szukają. Im bardziej oddalimy się od Cytadeli, tym trudniej będzie nas znaleźć.

Kadiya położyła na dłoni świecący amulet.

— Czy magia przyciąga magię? — Była prawie gotowa wrzucić do wody złowrogi przedmiot.

— Jasnowiedząca Pani, twój amulet jest darem Arcymagini, a ona służy Światłu. Nie wierzę, że mógłby ci zaszkodzić. Jednak chciałbym opuścić to miejsce. Udamy się drogą, która okrąży Trevistę. Labornokowie będą trzymali się rzeki. Ani Pellan, ani Skritekowie, jeśli im towarzyszą, nie znają dobrze oddalonych od głównych szlaków zakątków Czarnych Błot.

Chociaż Kadiya kilka razy odwiedziła Trevistę i szczyła się doskonałą pamięcią i umiejętnością orientacji w terenie, popadła tego popołudnia w stan oszołomienia, kiedy łódź Jaguna płynęła krętymi drogami wodnymi. Ominęli wysepkę, gdzie z krzaków wynurzały się ruiny. Bagienna roślinność składała się tutaj z trzciny, wysokiej trawy, pnączy o grubych, mięsistych łodygach i wysokich drzew. Księżniczka dostrzegła też kilka barwnych plam: były to nieprzyjemnie wyglądające kwiaty o bufiastych płatkach — przynęta dla roślin żywiących się nieuważnymi owadami.

Iskierka w amulecie wciąż się jarzyła, prowadząc ich coraz dalej. Nie zatrzymywali się na posiłki, w drodze jedli bulwy adopu i zrywane przez Jaguna owoce. W nocy majaczyło coraz więcej zwieńczonych ruinami wysp, wokół których tańczyły błędne ogniki.

Zbliżał się świt, kiedy skręcili, by prześlizgnąć się na otwarty przestwór wodny, sprawiający wrażenie raczej jeziora niż rzeki. Kadiya miała już sztywne mięśnie z braku ruchu i zastanawiała się, czy w ogóle zdoła stanąć prosto. Jagun również się zmęczył.

Podpłynął powoli wzdłuż brzegu jeziora do miejsca, gdzie wystawały korzenie drzewa przewróconego podczas jakiejś monsunowej powodzi. Z drugiej strony pasmo głazów znikło w głębi dżungli.

Kiedy wyszli na brzeg, Jagun podciągnął lekko łódkę bliżej drzew i nakrył ją kilkoma naręczami trzciny. Kadiyę bolały nogi i plecy, ale nachyliła się i podniosła większą z sakw Jaguna. Jeżeli ona była wyczerpana, jak musiał czuć się jej towarzysz?

Jagun nie zamierzał wyrąbywać w gąszczu drogi. Ominął największą gęstwinię i dopiero kiedy chmura owadów uniosła się nad nimi, zaczął rąbać ku dołowi. Tuż przed Kadiya znajdowało się coś grubego, co mogło być pędem winorośli. Pozbawione było jednak liści i szamotało się zaciekle, a z odciętego końca skapywał żółtawy płyn przypominający ropę z zakażonej rany. W powietrzu rozszedł się słodkawy zapach rozkładu. Podcinacz stóp! Jego drugi koniec cofnął się pod sklepienie ze splecionych gęsto gałęzi. Kadiya okrążyła z daleka mięsożerną roślinę, która potrafiłaby ich ścigać.

Wokół rosły wysokie krzewy, drzew jednak było mało. Kadiya i Jagun wyszli na szare światło poranka w miejscu, gdzie znajdowały się resztki strzaskanych kolumn, ustawionych niegdyś w krąg na bruku z matowego, czarnoszarego kamienia. Dziewczyna krzyknęła głośno z zaskoczenia. Polanka była pusta, lecz na jej środku dymiło ognisko i wiatr niósł zarówno woń dymu, jak i znajomy mdlący smród. Grubsze i dłuższe polano, zwęglone na środku, załamało się i upadło w żar. Do jego zwróconego ku przybyszom końca przywiązano czaszkę.

— Jagunie!

Myśliwy podniósł rękę nakazującym ciszę gestem i pochylił się nad znaleziskiem. Czaszka była poślizgnięta i umazana błotem, a w dodatku pęknięta, jakby turlano ją przez muliste drogi Błotnego Labiryntu.

— Skritekowie! — szepnęła Jagun.

Chociaż słońce jeszcze nie stało w zenicie, było już parno i upalnie, Kadiya jednak wstrząsnęła się jak smagnięta lodowatym wiatrem.

— To ostrzeżenie. — Jagun obszedł ognisko, jakby było pułapką. — Ale dlaczego tutaj?

Kadiya rozejrzała się z niepokojem.

— To Skritekowie podchodzą tak blisko Trevisty? A może — odetchnęła głęboko — toczy się tu wojna?

Wydawało się, że Jagun jej nie usłyszał. Skoczył nagle przed siebie i podniósł spleciony z włókien sznur, taki, jakim przywiązuje się błotne rakiety. Owinął go wokół dłoni i szarpnął mocno napinając.

— To Uisgu! — Odchylił głowę i wydobył z piersi pytający zew opancerzonych horików gnieźdzących się na wyspach. Krzyknął tak trzy razy i po chwili milczenia dodał inny, wysoki dźwięk przypominający ptasie trele, którego Kadiya nigdy dotąd nie słyszała.

Powoli obrócił się w miejscu. Mięśnie miał tak napięte, jakby każda komórka jego ciała nasłuchiwała odpowiedzi. Nadeszła najpierw jako pojedynczy zew horika. Dopiero potem z gęstwiny krzewów otaczających krąg kolumn wypełził Odmieniec. W przeciwieństwie do Jaguna nie nosił cienkiego, pięknie tkanego stroju Nyssomu, lecz krótką, złocistożółtą spódniczkę z pierzastymi frędzlami z trawy. Nad podtrzymującą spódniczkę pasem sterczała rękojeść noża owiązana czerwonym sznurkiem. W rękę trzymał dmuchawkę. Wokół wyłupiastych oczu namalował czerwono-brązowe kręgi (oczy wydawały się przez to większe), a na włóchatej piersi trzy koła przecinające się w centralnym punkcie.

Nowo przybyły spojrzął na Kadiyę i skierował się ku Jagunowi. Mówił z dziwnym akcentem, więc dziewczyna znająca jedynie język kupców Nyssomu i kilka obrzędowych zwrotów, których myśliwy ją starannie nauczył, rozumiała tylko co któreś słowo.

— ...przyszli... postawili słup... zabili Unvisę... zabili. — Powiedziawszy to ostatnie nieznanym podniósł dmuchawkę i potrząsnął nią mocno. — Tamci inni... — Rozpoczął

namiętą przemowę, z której Kadiya nic nie rozumiała. Kiedy skończył, dyszał ciężko, a w kącikach jego szerokich ust lśniły plamki śliny.

Jagun spojrział na Kadiyę.

— Skritekowie byli tu wczoraj. Pojmali kobietę z klanu Usosa i przyprowadzili tutaj. Później ustawili tu jeden ze swoich słupów granicznych i zabili ją, by krwią przypieczętować swe uczynki.

Myśliwy zwrócił się znów do Uisgu, który odpowiedział mu bardzo krótko.

— Skritekowie poszli dalej, w stronę Trevisty — dodał Jagun. — Opowiedziałem Usosowi o kłopotach, jakie nas wszystkich teraz czekają. On i pozostali kupcy z jego klanu wędrowali do Trevisty ze swoimi znaleziskami na handel. W drodze powrotnej ostrzegają wszystkich.

Raptem Uisgu zniknął. Stało się to tak szybko, że Kadiya aż zamruła z zaskoczenia.

— Czy nie mogliśmy pójść z nimi?

— Uisgu podróżują tylko ze swoimi współplemieńcami, Jasnowidząca Pani. Zawsze tak było. Jesteśmy z tej samej krwi. — Jagun skinął głową. — Ale uważają nas za bardzo dalekich krewnych. Nigdy z nimi nie wojowaliśmy, ani oni z nami. Zostało tak urządzone dawno temu, na samym początku, kiedy Ruwendą rządili Zaginieni. My jesteśmy Nyssomu, a oni Uisgu i zawsze tak było. Usos przekaze moje ostrzeżenie, lecz nie pozwoli, byśmy mu towarzyszyli.

— Ale przecież nie jesteście wrogami?

— Królewska córko, w dawnych czasach my, Nyssomu, przemawialiśmy w imieniu Zaginionych. Tak głoszą nasze legendy. Teraz jesteśmy sługami Pani z Noth. Rozkazała nam zaprzyjaźnić się z ludźmi, którzy osiedlili się w Błotnym Labiryncie. Jednakże Uisgu zawsze się was obawiali. Tylko kilku bardzo odważnych handluje z nami, żebyśmy my z kolei mogli handlować z wami.

— Przekonają się, że Labornokowie to nie to co my — wtrąciła księżniczka. — Jagunie, jestem przekonana, że Voltrik próbuje podporządkować sobie krainę błot tak samo jak Cytadelę. Czy Uisgu mogą się ukryć tak dobrze, by Skritekowie ich nie zwęszyli?

— Któż to może wiedzieć, Jasnowidząca Pani? — Jagun wzruszył ramionami. — Teraz jednak powinniśmy odpocząć, a ponieważ to miejsce zostało splugawione, musimy poszukać innego obozowiska.

Znaleźli je nieco dalej nad brzegiem jeziora. Nie było tu resztek budowli Zaginionego Ludu i Jagun zarządził wartę. Kadiya oświadczyła, że robi to pierwsza, gdyż jej towarzyszy nieźle się napracował doprowadzając łódź do tej ukrytej przystani.

Odmieniec natychmiast zwinął się w kłębek na kupce liści, które zagarnął pod siebie pazurami, i zasnął. Kadiya siedła ze skrzyżowanymi nogami, szykując się do nocnego czuwania. Wprawdzie nie miała tak wyczulonych zmysłów jak Odmienicy i nie potrafiła wywęszyć i odróżnić zapachów, którymi zwykle zawiewało od bagien; nie umiała też bez trudu określić dobiegających zewsząd odgłosów, ale trochę się orientowała w terenie.

Kilkakrotnie okrążyła obozowisko. Podrapała się w posmarowaną ochronną maścią głowę, próbując rozczesać palcami zmierzwiene włosy. W owej chwili zazdrościła Nyssomu ich skąpego uwłosienia, a Uisgu — gładkiego futra.

Podczas drugiego okrążenia dostrzegła pod krzakiem jaskrawozieloną plamę i po chwili trzymała znajomą roślinę o dużym korzeniu. Wyrwała ich jeszcze pięć, po czym starannie oskrobała i pokroiła korzenie, odkładając połowę dla Jaguna. Później zabrała się do jedzenia. W przeciwieństwie do bulw adopu te korzenie były soczyste i miały ostry smak. Nazywano je mafun i podawano do stołu nawet w ruwendiańskiej Cytadeli jako prawdziwy przysmak. Przesadzone jednakże na poldery nie udawały się — mogły rosnąć tylko dziko.

Żując mafun Kadiya rozmyślała o Zaginionych. Odkąd pamiętała, zawsze słyszała rozmowy o tej tajemniczej rasie. Bardzo dawno temu (nikt nie wiedział, ile upłynęło wieków) mieli rządzić Ruwendą. Wszyscy myślący ludzie przyznawali, że władali oni wielkimi

mocami. Mocami? Kadiya przełknęła ostatni słodki kęs. Magia była mocą! Czy Arcymagini naprawdę była jedną z Zaginionych? Czy przeżyła wiele stuleci patrząc, jak zmienia się jej ojczyzna, a Noth popada w ruinę? A kim był Orogastus? Czy i on miał jakieś powiązania z Zaginionym Ludem?

Zaczęła zastanawiać się nad wielkością świata, na którym żyła. Co znajdowało się poza Półwyspem? Labornockie równiny na północy oblewało morze, a na południu rozciągały się wielkie bory Varu. Niewiele wiedziała o innych krainach i zazdrościła teraz Haramis, która spędziła wiele czasu w bibliotece Cytadeli, podczas gdy ona, Kadiya, gardziła księgami, przedkładając nad nie zabawy, przygody i wędrówki po krainie bagien.

Czy Zaginieni po prostu opuścili Ruwendę, żeby gdzie indziej objąć władzę? Orogastus miał przybyć z jakiegoś dalekiego kraju. Voltrik sprowadził go podczas długich lat oczekiwania na koronę Labornoku. Czy ten czarownik mógł być jednym z Zaginionych? Kadiya jednakże nigdy nie usłyszała nic, co by sugerowało, iż Zaginieni tworzyli zło. Sama Arcymagini bez wątpienia nie próbowała kontrolować ani Odmieńców, ani Ruwendian.

Kadiya podniosła swój amulet. Jego blask dodawał jej otuchy, pocieszał, nawet chronił. A jarząca się w nim iskierka wiernie wskazywała drogę do Noth... gdzie może czekają odpowiedzi na te wszystkie pytania.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Nasiona Czarnego Trillium prowadziły Haramis i Uzuna przez trzęsawiska na podgórzu. Nie leciały zbyt szybko, więc bez trudu mogli iść za nimi. Jeżeli któreś potknęło się lub zapadło w błocie, albo musiało zatrzymać się z jakiegoś powodu, kolejne nasiono czekało — pozornie dlatego, że wiatr uciął lub natrafiło na jakąś przeszkodę — i leciało dalej, gdy znów byli gotowi do drogi. Ono również wybierało odpowiednie miejsce na obozowisko, opadając na ziemię każdego wieczora. A może nasiona szukają miejsc, w których będą mogły rosnąć? — pomyślała Haramis. Jeśli przeżyję i wrócę tu w przyszłym roku, czy znajdę trillium rozmieszczone co dzień drogi?

Lecz nasiona nie pozwalały też marnować czasu, dlatego po kilku dniach wędrówki na zachód po wrzosowisku, Haramis prawie je znienawidziła. Zdarzało się, że zauważała jakąś dziwną roślinę albo intrygujące, nieznanne zwierzę i chciała im się przyjrzeć. Jednak nasienie leciało dalej i wędrowcy musieli iść za nim.

Raz, a było to na drugi dzień po opuszczeniu Noth, odważyła się sprzeciwić czarodziejskiemu przewodnikowi. Szlak, którym szli przez górskie trzęsawiska, prowadził obok skupiska największych, najbardziej soczystych i najśodszych malin, jakie Haramis kiedykolwiek widziała w życiu. Uparła się więc, by zignorować nasienie trillium i najeść się do syta. Przewodnik zniknął jej z oczu. Kiedy jednak księżniczka wyłuskała następne ziarenko ze strączka i rzuciła w powietrze, opadło na ziemię i nie chciało lecieć nawet wtedy, gdy na nie dmuchała.

Ogarnięta paniką Haramis spróbowała jeszcze raz. To nasienie pomknęło tak szybko, że musiała prawie biec, by je dogonić, a biedny stary Uzun potykając się i pojękując szedł chwiejnym krokiem. Wprawdzie nie skarcił jej nawet słowem, ale wiedziała dobrze, czyja to wina.

Chwyciła więc amulet i szepnęła chrapliwie:

— Nie miałam racji! Nie powinnam była lekceważyć nasienia trillium! Zlituj się nad Uzunem, jeśli nie nade mną! Zwolnij tempo! Proszę!

I nasienie wysłuchało jej, dostosowując szybkość lotu do ich możliwości.

Haramis jednakże czuła się urażona. Czy Arcymagini nie mogła zaoferować jej bardziej przyzwoitego sposobu wędrówki? Nie była niemowlęciem ani głupim zwierzakiem, żeby nią tak poganiać bez przerwy! Legendarne podróże, o których czytała w księgach, odbywały się w atmosferze godności i powagi. Wyglądało na to, że Haramis wypełni swoje wielkie przeznaczenie wlokąc się w górę i w dół za głupim ziarenkiem, kolekcjonując pęcherze na przemoczonych nogach, ukąszenia komarów i rosnącą niechęć do sycącego, lecz mało urozmaiconego prowiantu, w jaki Arcymagini wyposażyła ją na drogę. Nie było go też za wiele.

Piątego dnia podróży, kiedy dotarli do dużej rzeki, którą Uzun uznał za Górny Vispar, Haramis po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że wkrótce skończą im się zapasy, jeśli będą z nich bezmyślnie i nierozważnie korzystali. Okolica sprawiała wrażenie całkowicie opustoszałej, a Uzun przypuszczał, że ani plemiona Nyssomu, ani Uisgu nie mieszkają tak daleko na pomocy, poza granicami Błotnego Labiryntu. Podgórze było ziemią niczyją, oddzielającą krainę bagien od terytorium Vispi, górskich Odmieńców.

Księżniczka usiadła na głazie ponad rwącym potokiem. Słońce już chyliło się ku zachodowi i nasienie trillium upadło na ziemię, dając znak do rozbicia obozu. Uzun nazbierał chrustu na ognisko i zabrał się do przygotowywania posiłku (robił to każdego ranka i wieczora, usługując Haramis z takim szacunkiem, jakby nadal przebywała w Cytadeli).

— Uzunie! — zawołała i mały muzyk pospiesznie podszedł do niej z uśmiechem. — Czy sądzisz, że w tej rzece są ryby?

— Nie wątpię w to, księżniczko. Na pewno są garsu i inne ryby, których nie umiałbym nazwać.

— Znalazłam w mojej sakwie sznurek i trzy haczyki. Czy mógłbyś je wziąć i złowić jakąś smaczną rybę na kolację? Tak bardzo znudziły mnie podrózne suchary i suszone mięso. W dodatku nasze zapasy kurczą się, a wątpię, żebyśmy na tym zapomnianym przez wszystkich pustkowiu spotkali twoich pobratymców, którzy daliby nam więcej prowiantu.

— Ale do zapadnięcia zmroku jest tylko godzina, albo jeszcze mniej, księżniczko. — Twarz Uzuna się wydłużyła. — Jeżeli spędzę ten czas na łowieniu ryb, kiedy nabieram chrustu i przygotuję kolację? — Uśmiechnął się przepraszająco. — Wyznam z bólem serca, że nigdy w życiu nie łowiłem ryb i prawdopodobnie wszystko bym spartaczył. To dla mnie za trudne.

Haramis roześmiała się.

— Jakżeż za trudne, skoro robią to nawet małe dzieci z Cytadeli? Mam wspaniały pomysł! Ja zajmę się łowieniem ryb, ty zaś, zamiast zużywać nasze racje, nabierasz jagód i tej smacznie wyglądającej rzeżuchy, którą widzieliśmy nad bagiennym jeziorkiem niedaleko stąd. A jeśli dobrze poszukasz, na pewno znajdziesz także grzyby. Ale będzie ucza dziś wieczorem!

Uzun jak zwykle zgodził się na jej żądania. Ułożywszy spory stos drew, podreptał na poszukiwanie żywności, pozostawiając Haramis samą.

Księżniczka powiedziała sobie, że łowienie ryb jest łatwe. Brało się kij, przywiązywało do niego sznurek, a na jego końcu haczyk, na który nakładało się jakąś przynętę...

Och! Przynętę trzeba wbić na haczyk. I gdzie w ogóle znajduje się przynęta?

Pogrzebała wśród naniesionych przez wodę patyków i gałęzi na brzegu rzeki, znalazła kij świetnie nadający się na wędkę, a spod zgniłego polana wypełzły robaki świecące słabo w gęstniejącym mroku. Zebrawszy się w sobie i pokonawszy obrzydzenie zdołała wreszcie nabić jedno z tych ohydnych, wijących się stworzeń na haczyk (przedtem zmiażdżyła dwa drżącymi rękami).

Następnie oczyściła dłonie ze śluzu, znalazła głęboką wodę w rzece i zarzuciła wędkę. Sznurek wraz z przynętą popłynął szybko z prądem do skupiska okrytych pianą głazów. Haramis wyciągnęła go pośpiesznie, ale znów tam popłynął.

A wiec to tak. Każda w miarę inteligentna osoba rozwiąże ten problem. Przypomniała sobie, że ulicznicy z Cytadeli używali splawików i ciężarków, by kontrolować pozycję przynęty.

Wyciągnęła wędkę z wody. Oczywiście ten przeklęty robal zniknął i musiała nabić drugiego. Przywiązała kamyk tuż nad haczykiem, a w odległości jednego ella umocowała kawałek suchego drewna jako splawik. Kiedy przyjąwszy lepszą pozycję znów zarzuciła wędkę, ta znalazła się nad głębiną i tam już pozostała. Haramis westchnęła, usiadła na brzegu i czekała.

Muszę to odtąd robić, pomyślała. Zachowywała się jak skończona idiotka pozwalając obsługiwać się biednemu Uzunowi, jakby byli na pikniku na przylegających do Cytadeli łąkach. Jasne, że trzeba żywić się tym, co się znajdzie, i zachować resztki prowiantu na wszelki wypadek. Tylko Władcy Powietrza wiedzą, jak długo potrwa ta podróż i dokąd zawędrują!

Haramis spojrzała w górę rzeki, ponad trzęsawiskiem porośniętym gęsto krzakami i nielicznymi drzewami. Wąska ścieżka skręcała tutaj nad rzekę i biegła jej brzegiem na północ. Bez wątpienia nieubłagane nasiona trillium polecą tym szlakiem i zaprowadzą ich w góry.

Góry Ohogan... Majaczyły na horyzoncie za ciemnym podgórzem, ośnieżone i straszne, ojczyzna tajemniczych Vispi. Czy tam jest ukryty talizman? Jeśli tak, to jak mają go znaleźć w tej dzikiej pustce takie dwie niedoświadczone istoty jak ona i Uzun? A co z powrotem do

Noth, jak rozkazała im Biała Dama? Biała Dama, która była umierająca i prawdopodobnie obłąkana.

Cóż im pozostało? Mogli tylko iść za zaczarowanymi nasionami — zwyczajnymi, maleńkimi ziarenkami, zakończonymi pęczkami jedwabistych nici. Zdawało się, że nie mają nic wspólnego z czarami prócz sposobu, w jaki unosiły się w powietrzu.

To Binah nimi kieruje, pomyślała Haramis. Wie, gdzie jesteśmy i dokąd musimy pójść, i popycha te nasiona do przodu, podczas gdy my wędrujemy ich śladem. Nie powiedziała mi, dokąd muszę pójść, ponieważ wiedziała, iż będę zbyt przerażona i załamana, aby w ogóle rozpocząć tę podróż...

— Księżniczko! Przyniosłem jagody, rzeżuchę i mnóstwo smakowicie wyglądających grzybów...

Zaskoczona Haramis drgnęła. Zamyśliła się głęboko i nie usłyszała kroków Uzuna. Wtem wędka drgnęła tak mocno, iż dziewczyna omal nie wypuściła jej z rąk. Chwyliła ją mocno, ale coś ciągnęło z taką siłą, że Haramis zsunęła się tuż nad wodę.

— Uzunie! Pomóż mi! Ryba bierze! — zawołała. Nagle jakieś smukłe, srebrzystozielone stworzenie wyskoczyło w górę i opadło z wielkim pluskiem do wody. Odmieniec przybiegł na pomoc, paplać z podnieceniem. Oboje szamotali się, wrzeszczeli i omal nie wypuścili z rąk wędki, gdyż ryba walczyła tak zaciekle, iż prawie gotowi byli się poddać.

— Nie! Nie uciekniesz! Jesteś naszą kolacją! — wrzasnęła Haramis. — Wtedy ryba zaprzestała oporu i wyciągnęli ją na brzeg. Był to błyszczący garsu, długi jak noga dziewczyny.

— Może nie potrzebowałaś haczyka, księżniczko — zażartował Uzun — jeśli możesz po prostu zamówić rybę z wody...

— Mam nadzieję, że to był tylko zbieg okoliczności — roześmiała się Haramis. — Nie odpowiada mi świadomość, że nasza kolacja jest inteligentną istotą zdolną zrozumieć ludzką mowę — albo, co byłoby znacznie gorsze, zaczarowanym księciem!

— Jak w starych balladach? — powiedział Uzun. — Nie sądzę. To całkiem zwyczajna garsu. Będzie wyśmienita. I zostanie nam jeszcze na śniadanie i obiad. Och, świetnie się spisałaś, księżniczko! Świetnie!

Uśmiechnęli się do siebie. Potem jednak Haramis spojrzała na wielką rybę i jej radość ustąpiła miejsca zmieszaniu.

— Uzunie? Czy... czy wiesz, co trzeba z nią dalej zrobić? — zapytała. — Jak... ją oprawić?

Otworzywszy usta ze zdumienia, Odmieniec pokręcił przecząco głową.

— Nieważne — westchnęła Haramis. — Metoda prób i błędów podobno znakomicie uczy.

— Modły o natchnienie też na pewno nie zaszkodzą — powiedział z powątpiewaniem Uzun.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Anigel miała niezwykle sen. Przyśniło się jej, że stało się coś, co nie wydarzyło się w całej historii ludzi zamieszkujących Półwysep: pora deszczowa nie nadeszła.

Zamiast znajomych burz, przybywających znad Morza Południowego, które dwa razy do roku powodowały zalanie Zimory, Varu, Ruwendy, Labornoku, Raktum i wysp Engi, prażące słońce całymi miesiącami świeciło na bezchmurnym niebie, a gorący wiatr dniem i nocą smagał ziemię bezlitosnymi podmuchami. Cały Półwysep był spustoszony, ale najbardziej ucierpiała położona z dala od morza Ruwenda.

Z okna sypialni w Cytadeli Anigel widziała, jak wielki Mutar zamienił się w strumyk, tak jak rzeki Skrokar, Virkar i Bonorar. Jezioro Wum, do którego wpadały, wyschło zupełnie, i nie można już było splawiać potężnych pni z Lasu Tassaleyo. Handel zamarł: farmy Dyleksu poraziła susza, a przerażający, wygłodzeni Skritekowie grasowali po Ruwendzie.

Król Krain i królowa Kalanthe przyszli do Anigel wraz z władcami pozostałych pięciu narodów i błagali ją, by w jakiś sposób sprowadziła deszcz. Powiedziała im, że nie wie, jak to zrobić, i wszyscy odeszli zrozpaczeni.

Jej siostra Kadiya również przybyła, by oznajmić, że moczary Ruwendy całkowicie wyschły. Rośliny i trawy zwiędły, nim zakwitły i wydały owoce. Soczyste grzyby, pożywne zielone porosty uschły, a drzewa w dżungli straciły liście.

— Módl się! — nalegała Kadiya i Anigel uległa prośbie, ściskając gorączkowo amulet. Lecz gorący wiatr tylko jeszcze silniej dął wokół Cytadeli i Kadiya odeszła rozgniewana.

Anigel widziała we śnie martwe ciała leżące wszędzie dookoła, stosy skóry i kości. I to wszystko było jej winą.

Haramis ostrzegła ją, że jako następni zginą rozumni mieszkańcy Półwyspu: wszyscy ludzie oraz tubylcy z moczarów i gór. Wskazała przez okno na pomoc, gdzie mieli przebywać zarówno Biała Dama, jak i czarnoksiężnik Orogastus. Tylko tych dwoje przeżyje, jeśli Anigel nie sprowadzi deszczów.

Stamtąd przybędzie śmierć — nie w postaci gorącego, suchego wiatru, lecz wielkiej ognistej burzy, zrodzonej z ostatniej bitwy pomiędzy Arcymaginią Binah i Orogastusem. Ogień pochłonie cały świat, chyba że ona, mała, bezradna Anigel go powstrzyma.

— Ale ja nie mogę! — jęknęła przerażona do głębi. — Próbowałam, lecz nie wiem jak! Serce mnie boli i jestem bardzo przestraszona i... po prostu nie mogę!

We śnie wszyscy władcy Półwyspu i ich małżonki oraz rodzice Anigel spojrzeli na nią z mieszaniną pogardy i politowania. Potem zamknęli ją samą w jej pokoju. Szlochając waliła w drzwi, ale nikt nie przyszedł. Potem wyjrzała przez okno i zobaczyła ścianę ognia rozciągającą się na horyzoncie. Płomienie strzelały wyżej niż Wysoka Wieża Cytadeli, sięgnęły ku Anigel, która zaczęła krzyczeć wniebogłosem...

— Obudź się! Nie płacz, kochanie, wszystko jest w porządku! Płomienie — w rzeczywistości cynobrowe lilie w czarne pasy, kołysały się, kiedy Anigel szamotała się w hamaku. Znajdowała się w pomieszczeniu, którego ściany tworzyły rzeźbione kamienne bloki, otoczona kwitnącymi roślinami. Immu przytrzymała ją, by nie wypadła z hamaka.

— To był sen... to był tylko sen — powtarzała śpiewnie stara Nyssomu. — Jesteś bezpieczna, bezpieczna, bezpieczna, kochanie. Jesteś wśród przyjaciół w Treviście.

Anigel wreszcie przestała krzyczeć. Drżąc na całym ciele wygramoliła się z hamaka. Usiadła na kamiennym bloku, Immu zaś przetarła jej twarz gąbką, uczesała i zawiązała tasiemki różowej sukni.

— Chciałabym ci opowiedzieć mój sen. Nie, ja muszę ci go opowiedzieć — powiedziała cicho Anigel.

Immu chciała, by Anigel najpierw coś zjadła, gdy zaś ta odmówiła, dodała:

— Przyprawdzą moją najlepszą przyjaciółkę, w której domu przebywamy. Jeżeli twój sen jest ważny, to ona powinna go objaśnić, a nie ja.

Nyssomu zniknęła za zasłoną drzwiową z włóknistych porostów. Anigel odetchnęła głęboko i chwyciła amulet, starając się uspokoić. Natychmiast poczuła się lepiej. Rozejrzała się po pokoju. Nie miał dachu, ale w górze przeplatało się tak dużo grubych pnączy, że dawały cień i można było na nich zawiesić dwa hamaki. Prawie całą ścianę za hamakami pokrywały wspaniałe pomarańczowe lilie, a lepiej im się przyjrząwszy, zauważyła, że kwiaty te były owadożerne. Cóż za niezwykły sposób na zapewnienie sobie spokojnego snu, pomyślała.

Poprzedniej nocy, niepewne, czy amulet nadal czyni je niewidzialnymi, opuściły kryjówkę w wozie dopiero wtedy, gdy wszyscy żołnierze wyszli z łodzi na brzeg. Podkraśli się nad wodę poniżej nabrzeża, gdzie Immu bez słów porozumiała się ze swymi krewniakami z drugiej strony kanału.

Po jakimś czasie flotylla łódek Nyssomu podpłynęła do obozu Labornoków z obiecany przez Mówczynię prowiantem. Dwaj tubylczy wiosłarze, Sithun i Trezilun, byli krewnymi Immu. Bez trudu odnaleźli uciekinierki i tylko powtarzali wesoło, że na pewno nie są niewidzialne. Podejrzenia Anigel zostały więc potwierdzone: amulet chronił ją tylko wówczas, gdy groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie chciał im dostarczyć żadnych wygód, kiedy prosiła o to podczas przerażającej trzydniowej podróży z Cytadeli do Trevisty.

— No cóż, nie jesteście już niewidzialne, za to bezpieczne — pocieszył je Trezilun pomagając im wsiąść do łódki. Była to dębiana długości około siedmiu elli z wygiętym do wnętrza dziobem oraz rufą, na których wisiały latarnie ze świetlikami. Burty były ozdobione kwiatami, a obaj kuzyni Immu włożyli na szyje wieńce i zatknęli kwiaty w rzadkie włosy za spiczastymi uszami.

Podczas krótkiej podróży na drugą stronę kanału Anigel kulila się na wilgotnym dnie łodzi obawiając się, że wróg w jakiś sposób ją wypatrzy i podniesie się alarm. Dobrze wiedziała, że Orogastus i jego dwaj pomocnicy byli na pokładzie pierwszej łodzi. A jeśli czarownik wróci i ujrzy ją na własne oczy?

Lecz nic takiego się nie stało. Przybili bezpiecznie do brzegu w osadzie Nyssomu, zwanej Karonagirą. Kuzyni Immu poprowadzili je ulicami tylko górą i bokiem porośniętymi wszechobecnymi pnączami i trawą, tak że miały wrażenie, że są w wielkiej zaciemnionej cieplarni. Widziały liczne małe postacie krzątające się wokoło z widmowymi ognikami, ale żadna się do nich nie zbliżyła. Starożytne budowle mające w blasku księżyców nie były oświetlone, lecz tak pięknie ozdobione nocnymi kwiatami, że Anigel początkowo myślała, iż jest to sztuczna dekoracja. Nyssomu z Trevisty po prostu szaleli za kwiatami! Stroili się w nie, zdobili nimi swoje łódki, żyli wśród nich.

Sithun i Trezilun pozostawili swoje pasażerki w niewielkim kamiennym domostwie z ogrodem—werandą wychodzącym na kanał. W środku nie było nikogo, ale najwyraźniej Immu to nie przeszkadzało. Chociaż sama dobrze widziała w księżycowej poświacie, pożyczyła latarnię od Sithuna, żeby jej wychowanka nie bała się obcego domu. Odnalazłszy pokój gościnny, kazała jej się przespać...

— Teraz zaczyna się dla ciebie prawdziwa przygoda — odezwał się cichy głos za plecami Anigel.

Przestraszona księżniczka podskoczyła z cichym okrzykiem, lecz zaraz wybuchnęła śmiechem, gdy odwróciwszy się ujrzała kobietę Nyssomu, której utkaną z traw suknię zdobiły białe kwiaty wielkości spodka, przymocowane cierniami. Nosiła dwa wielkie pompony z takich samych kwiatów za uszami. Na szyi nie miała jednak wieńca, ale platynowy łańcuszek. Wisiał na nim przedmiot podobny do ręcznej soczewki.

Nowo przybyła, starsza od Immu kobieta, spojrzała przez soczewkę na Anigel, która ujrzała groteskowo powiększoneżółte oko.

— Więc to ty jesteś dziewczyną, której śnią się ważne sny. Głos wydał się jej znajomy. Anigel słyszała go wczoraj, gdy wraz z Immu ukrywała się na labornockiej łodzi.

— A ty jesteś Mówczynią Frolotu! Nie poznałam cię w tym stroju.

— Ludziom wszyscy Nyssomu wydają się jednakowi — powiedziała łagodnie Frolotu.

— Proszę o wybaczenie, jeśli cię uraziłam, Mówczyni. I dziękuję, że udzieliłaś nam schronienia.

— Ale ty nie spałaś spokojnie.

— Miałam straszny sen — powiedziała księżniczka. — Najgorszy koszmar w moim życiu. Czy pozwolisz go sobie opowiedzieć i czy możesz mi go wyjaśnić?

— Zobaczymy, czy to możliwe. — Frolotu uśmiechnęła się, odsłaniając dolne kły. — Chodźmy na taras, gdzie Immu przygotowuje dla nas posiłek.

— Dziękuję — Anigel zawahała się — ale naprawdę nie jestem głodna. Jeśli wyjdziemy na zewnątrz, będziemy widoczne dla każdego, kto płynie kanałem. Gdyby czarownik Orogastus i jego słudzy mnie zobaczyli...

— Jesteśmy z dala od brzegu wyspy — uspokoiła ją Mówczyni. — Przez jakiś czas nie wam nie grozi. Usiądź więc, zjedz i opowiedz mi swój sen.

Kiedy księżniczka zobaczyła posiłek, który Immu przygotowała i postawiła na pięknym stoliku z rzeźbionego kamienia, omal nie wybuchnęła płaczem. Przez trzy dni podróży z Cytadeli do Trevisty jadła tylko zabrany przez Immu suchy prowiant, wstrętne suszone korzenie, słodkie, mdlące skórzaste jagody mgławiczki i piła jedynie wodę. Amulet zignorował jej prośby o coś lepiej nadającego się do jedzenia. Spodziewała się, że w Treviscie podadzą jej jakieś niestrawne dania Nyssomu, ale czekała ją niespodzianka.

— Och, Immu! Prawdziwe jedzenie!

Zastawa wyglądała dziwacznie, lecz podano wszystko to, co zawsze jadła w Cytadeli na śniadanie: małe ryżowe ciasteczka z miodem wodnych pszczoł, omlet ze zsiadłym mlekiem i świeżymi grzybami, gotowane korzenne kielbaski, sok łądu i dymiący kubek herbaty darczi. Jedzenia było aż nadto na wielkich talerzach. Księżniczka zajadała tak, jakby konała z głodu, co było prawdą, i dziękowała z pełnymi ustami, podczas gdy Immu udawała obrażoną.

— Prawdziwe jedzenie! Ty głupiutka, rozpieszczona dziewczyno. Pewnie myślisz, że Nyssomu przez cały czas żywią się korzeniami i jagodami i zapijają wodą bagienną!

Anigel ogarnął wstyd.

— Obawiam się, że nigdy się nie zastanawiałam, czym się żywią dzicy Odmieńcy. Przepraszam, Immu, powinnam była się tym zainteresować, tak jak Kadiya...

— To nieważne, kochanie. — Mówczyni Frolotu z uśmiechem przyglądała się jej przez soczewkę. — Immu i ja wiemy, że masz dobre serce, jesteś tylko lekkomyślna, jak to zwykle w młodości bywa.

— Ale jak zdobyłaś to jedzenie? — zapytała Anigel.

— Pytania, pytania, pytania! — warknęła Immu. — Jeśli musisz wiedzieć, to z magazynu żywnościowego labornockich szlachciców. Kazałam Sithunowi i Trezilunowi ukraść większą ilość, wiedząc, z jaką przykrością jadłaś nasze podrózne racje. Wystarczy tego na podróż do Noth. Z czasem jednak będziesz musiała zapanować nad zachciankami twego delikatnego żołądka i zadowolić się tym, co znajdziesz w drodze.

— Myślę, że tak zrobię — oświadczyła księżniczka pijąc herbatę. — Kiedy będę bardzo głodna! Ale powiedz mi, czy naprawdę znalazłaś sposób, żebyśmy mogły dotrzeć do siedziby Arcymagini?

— Dzięki Frolotu. Ona ma przyjaciół wśród Uisgu, którzy zgodzili się zawieźć cię łodzią ciągniętą przez rimoriki.

Księżniczka zerwała się z miejsca, uklękła u stóp Mówczyni i pocałowała jej pomarszczone, pazurzaste dłonie.

— Dziękuję ci, droga pani! Dziękuję ci z całego serca! Znajdę sposób, by cię wynagrodzić.

Staruszka uwolniła ręce zniecierpliwionym gestem.

— Posłuchaj, dziecko: nagrodzisz mnie wypełniając swoje przeznaczenie.

— Czy ty... ty coś o nim wiesz?

— Znam przepowiednie dotyczące trzech Płatków Żywego Trillium, które uwolnią nasz ukochany Błotny Labirynt od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Wydaje się, że jesteś jedną z nich.

— Wolałabym, żeby tak nie było. — Anigel zaczerwieniła się i odwróciła głowę. — Bardzo się boję — nie jestem ani tak mądra, ani tak bystra jak moje siostry. A mój sen to przepowiednia, że mi się nie powiedzie.

— Ach tak? — Frolotu roześmiała się. — Dopij herbatę i opowiedz go.

Wszystkie trzy usiadły przy stoliku. Anigel szczegółowo opowiedziała koszmar, który ją dręczył tej nocy. Mówczyni bawiła się soczewką i od czasu do czasu patrzyła przez nią na dziewczynę. Anigel była zbyt nieśmiała, by zapytać, co to urządzenie jej wyjawilo, albo dlaczego używa go zamiast trzciny, za pomocą której czytała w sercu księcia Antara.

— Powiem ci, dlaczego! — oświadczyła zaskoczonej dziewczynie. — Ta soczewka to narzędzie Zaginionych. Służy do skupienia myśli na umyśle innej osoby. Jednocześnie uczy to robić. Po jakimś czasie można się obyć bez jego pomocy. Gdyby tamten czarnoksiężnik zobaczył wczoraj moją soczewkę, zabrałby mi ją bez względu na zakazy księcia. Dlatego posłużyłam się trzcina, która nie ma żadnej wartości dla ludzi.

— Teraz wszakże używasz soczewki.

— Tak, moje dziecko. Starsze osoby są najsłabsze rankiem i wszyscy potrzebujemy takiej pomocy, jaką możemy zdobyć... ale skończ opowiadać o swoim śnie.

Anigel opowiedziała wszystko do końca, nie pomijając żadnego szczegółu. Przeżywając sen na nowo, wpadła w taką rozpacz, że odwróciła się, blada niczym kamienie, z których zbudowano taras, i z trudem skończyła mówić. Mówczyni słuchała z zamkniętymi oczami, mamrocząc coś pod nosem.

Anigel z lękiem czekała na jej słowa. Wokół ukwieconego tarasu śpiewały ptaki, brzęczały owady, a srebrzyste ryby wyskakiwały z wody. Później Frolotu otworzyła oczy. Jej podnoszące się powieki wydały przy tym cichutki odgłos puknięcia.

— Czy wiesz, co znaczy ten sen? — zapytała nieśmiało księżniczka.

— Oczywiście! Zazwyczaj mędrzec zapytany o tego rodzaju sprawę żąda, by śniący sam przeanalizował sen. Albo wypowiada nieszczerze słowa, że wszystko zostanie we właściwym czasie zrozumiane. Ale ja nie będę igrać z tobą, dziewczyno! Twoje zadanie jest już dostatecznie trudne i najlepiej zrobię mówiąc ci otwarcie: twój sen znaczy, że jesteś tchórzem i że wolałabyś wymigać się od spełnienia nałożonego na ciebie twardego obowiązku.

— Ależ o tym zawsze wiedziałam! — jęknęła księżniczka.

— Cicho, cicho teraz! Posłuchaj wyjaśnienia. Władcy Powietrza czasami zsyłają sny, lecz zdarza się to bardzo rzadko. Większość snów pochodzi z wnętrza nas samych. A taki niepokojący, ważny sen oznacza, że twoje tajemne ja — najważniejsza część twojej istoty, która najbardziej podobna jest do Boga — jest bardzo zaniepokojone twoim zachowaniem. Jednocześnie ostrzega cię i zachęca do dalszych wysiłków: masz słuchać szlachetnych instynktów, które tobą kierują, i przemoc w sobie egoizm i tchórzostwo.

— Ale ja nie wiem jak!

— Zostanie ci to powiedziane — odrzekła cicho Mówczyni. — Już stanęłaś na początku tej drogi. Dostrzegłam to wszystko przez moją soczewkę. Musisz jednak pójść nią dalej — dzień po dniu, zdecydowana i pełna ufności.

— To wydaje się zbyt proste — powiedziała z powątpiewaniem księżniczka.

Frolotu i Immu śmiały się wesoło i długo. Początkowo Anigel czuła się urażona, potem wpadła w gniew, a w końcu zaczęła śmiać się razem z nimi.

— Dzięki licznym cudom i pomocy dobrych przyjaciół uniknęłaś śmierci. — Twarz Frolotu spoważniała. — To, co masz dalej robić, zostało ci wyraźnie wskazane. Musisz iść tą drogą bez najmniejszych wahań, nieważne czy się boisz, czy nie. Nie należy się wstydzić strachu, księżniczko. Nie możemy nic na to poradzić. Ale czasami jesteśmy uroczyście zobowiązani działać pomimo obaw i przerażenia.

Anigel spojrzała na swoje kurczowo zaciśnięte dłonie na kolanach.

— Ja... ja spróbuję.

— To dobrze. — Frolotu wstała z krzesła. — Łódź Uisgu, którą wezwaliśmy, przypłynie dziś wieczorem. Do tego czasu musisz pozostać w ukryciu. Ten obrzydliwy czarownik pozostawił jednego ze swych sług razem z garnizonem — jak sądzimy, po to, by szukał ciebie i twoich sióstr. Lecz ty popłyniesz do Noth przed wschodem księżyca. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za jakieś cztery dni powinnaś dotrzeć do siedziby Białej Damy.

Anigel przygłębiła myśl, że musi tak szybko podjąć podróż, Ale kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała ironiczna nutka:

— Bardzo by mnie pocieszyło, gdybym mogła właśnie teraz oddać się żalowi, oplakując moich rodziców i litując się nad sobą. Na łodzi nie uroniłam łzy z obawy, że płacz mógłby nas zdradzić, a teraz wydaje się, że nie ma na to czasu. No cóż, może taki właśnie jest ten inny cel snów. Mogę wypłakiwać oczy w krainie cieni, bać się i co noc wyrzekać się mojego przeznaczenia i nie będzie to grzech ani słabość. Po obudzeniu jednak będę robić to, co mi polecono... najlepiej jak potrafię.

— Moja dzielna dziewczynka! — pisnęła radośnie Immu.

— Twoje tajemne ja chce ci pomóc. — Mówczyni uśmiechnęła się z aprobatą. — Stawiając czoło koszmarom, pozbędziesz się lęku przed nimi.

Cień paniki przemknął przez twarz Anigel.

— Ale pozostaniesz ze mną przez cały czas, prawda, Immu? Gdybym była sama... nie sądzę, że...

— Będę cię kochać i służyć ci do końca moich dni — odrzekła piastunka. Objęła siedzącą obok niej dziewczynę i pocałowała ją w policzek. — Oczywiście udam się z tobą do Noth i będę ci towarzyszyć wszędzie tam, gdzie pośle cię Biała Dama. Nadejdzie jednak taka chwila, kiedy, jak wszyscy, będziesz musiała sama stawić czoło życiu.

Anigel przytuliła twarz do ramienia Immu.

— Byłe nie za wcześnie. Błagam, nie za wcześnie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Kadiya obudziła się o zmierzchu. Zapach piekącej się ryby natychmiast obudził w niej bolesny głód. Jagun widać odważył się rozpalic małe ognisko i piekł teraz resztki garsu, a największy kawałek był mniejszy niż jej dłoń.

Księżniczka przemknęła się przez gęste zarośla otaczające ich obozowisko nad rzekę, gdzie wyszorowała liśćmi twarz i ręce. Zatęskniła za basenem z ciepłą wodą w Cytadeli, gdzie wraz z siostrami bawiła się i pływała z garścią słodko pachnących kryształów z południa, które można było wrzucić do wody i po chwili odpoczywać w wonnej pianie. Jej ubranie, choć uszyte z mocnej tkaniny, podarło się już, a maść, którą musiała się natrzeć, zjełczała. Zmierzwione włosy mogła tylko zwinąć i związać mocną trzcina.

Wróciła do obozu. Jagun szybko podał jej upieczoną rybę; jadła ją palcami, oblizując tłuszcz.

Jagun milczał. Nie był też bardziej rozmowny, kiedy zatarłszy ślady swojego pobytu znów zepchnęli łódź na wodę. Kadiya przekonała go, że powinna mu pomagać, więc zamienił wiosło na bosak, podając jej drugi.

Nie była to nowość dla Kadiyi, ale potrzebowała trochę czasu, żeby wpaść w rytm Jaguna. Odkryła wtedy, że rytm ów ma w sobie coś hipnotyzującego. Pogrąż bosak w wodzie, wyteż siły, odepchnij się, znów pogrąż. Siedziała na dziobie, zerkając często na iskierkę jarzącą się w amulecie.

Odpoczywali od czasu do czasu. Raz zatrzymali się, żeby wyciągnąć z wody wodne lilie. Jeszcze nie rozkwitły, można więc było bezkarnie jeść ich korzenie. Zjedli je o pomocy wraz z resztkami garsu.

Milczeli cały wieczór. Kadiyę dręczył niepokój. Nawet monotonne ruchy bosaka nie przegnały lęku przed atakiem czegoś niewidzialnego, bezdźwięcznego. Ziomkowie laguna uważali go za jednego z najlepszych tropicieli. Kadiya była pewna, iż natychmiast wykryje on każde naturalne zagrożenie. Ona wszakże lękała się zagrożenia od strony wewnętrznego, nie zewnętrznego świata, o jego istnieniu nie miała pojęcia, dopóki sam jej się nie objawił.

— Jagunie — powiedziała tak cicho, że nie zagłuszyła nawet brzęczenia owadów wokół nich. — Co nas czeka? — Żałowała, że nie poświęciła więcej uwagi wielkiej wyblakłej mapie na ścianie Komnaty Rady w Cytadeli.

— Płyniemy do Złotych Błot — oznajmił. — Przedtem jednak wstąpmy do Vureha..

— Do wioski twojego klanu!

— Tak. Pochodzę z zewnętrznych klanów. To, co się dalej znajduje, widzieli tylko nieliczni Przodkowie. Nie wiem, co tam zobaczymy. Będziemy mogli polegać wyłącznie na twoim amulecie.

— Czy to kraina Uisgu? — pytała dalej.

— Częściowo tak, ale są tam też miejsca, w których Topielcy zatknęli swoje słupy graniczne. Krąży o tym wiele opowieści, nie wiem jednak, ile w nich prawdy. Musimy wszakże przejść tamtędy, gdyż jeśli udamy się do Noth dłuższą drogą, mogą wysledzić nas.

— Czy byłeś w Noth, Jagunie?

— Raz, byłeś wtedy niemowlęciem. Kiedy my, myśliwi, uznamy, że dobrze opanowaliśmy nasze rzemiosło, musimy stanąć przed Białą Damą, aby pozwoliła nam polować na całym obszarze Błotnego Labiryntu. Wtedy to poleciła mi udać się na dwór twojego ojca, służyć mu jako myśliwy i czekać na przepowiedziany przez nią dzień, kiedy będę potrzebny. To ten dzień, który tak niedawno przeminął. Oprócz tego musimy jej donosić o każdym nowym znalezisku dotyczącym Zaginionych...

— Nowym znalezisku? — zapytała zaciekawiona Kadiya. — Czy nadal można odkryć coś nowego, Jagunie? Tyle wieków minęło, odkąd twój lud zaczął podróżować po krainie błot. Co jeszcze można znaleźć?

Jagun milczał chwilę, nim odpowiedział z nutką niechęci w głosie:

— Jasnowidząca Pani. Zaginieni mieli swoje tajemnice, przekraczające nasze wyobrażenie. Prawdą jest, że każde nowe urządzenie, niepodobne do już odkrytych, musi być zaniesione do Białej Damy z Noth. Niektóre z nich zatrzymuje. Wiemy, że takie znaleziska są niebezpieczne i że jej zadaniem jako Strażniczki jest strzec ich sekretów.

Kadiya zdała sobie sprawę, że Odmieniec nie powie już nic więcej. Jeśli jednak widział Arcymaginię, może dostarczyć informacji, które ją, Kadiję, przygotowują do takiego spotkania.

— Jaka ona jest, Jagunie? Wiem, że władza wielką mocą, ale czym różni się od innych? Mówią, że Orogastus ma ludzkie ciało i królewski wygląd i umie tak spojrzeć na człowieka, że ten niczego mu nie odmówi. Lecz w opowieściach wróg zawsze jest potężniejszy niż w rzeczywistości. Jeżeli Orogastus naprawdę jest kimś większym niż człowiek, to kim jest Arcymagini?

— Ona jest Białą Damą, Strażniczką Ruwendy, królewska córko. Zna życie i śmierć, ale nie interesuje się nimi, gdyż taki jest los wszystkich śmiertelników. Ona zaś jest niezmienna, taka sama od chwili, gdy mój lud spojrział na nią po raz pierwszy. Nie podnosi ręki, by powstrzymać śmierć, ale i nie wydaje na świat nowego życia. Zamiast tego pilnuje naturalnej równowagi i nie podlega wpływowi czasu tak jak my. Tylko ona chroni krainę błot przed inwazją. Teraz ta równowaga została naruszona i musi zostać przywrócona. Właśnie po to się narodziłaś, królewska córko...

Kadiya wepchnęła bosak głęboko w muł. Nie wyciągając go odwróciła się do Jaguna

— Po to się narodziłam? — zapytała podniesionym głosem.

— Ty i twoje siostry, Jasnowidząca Pani. Czas płynie i nawet najtwardszy kamień w końcu musi mu ulec. Pani z Noth widzi przyszłość. Kiedy dostrzeżę gromadzące się chmury, jej obowiązkiem jest przygotować się na nadejście Zimowych Deszczów. Przed twoimi narodzinami, królewska córko, kilku moich ziomków i kilku Uisgu zostało wezwanych do Noth. Arcymagini ostrzegła ich, że gromadzi się Ciemność i że ona, która w przeszłości strzegła nas przed jej zakusami, tym razem nie zdołała się temu przeciwstawić. Obiecała nam jednak następczynię, które przywróci równowagę.

Kadiya zagryzła wargi. Jeszcze raz rozgorzał w niej gniew, który w sobie podsyciała. Ostrzeżenie...

— Ona mogła nas ostrzec!

— Jasnowidząca Pani, to po raz pierwszy za pamięci mojego ludu Biała Dama z Noth musiała stawić czoło równemu sobie potęgą. Orogastus może jest potężniejszy, niż jej się wydaje. Ty chcesz pomścić na Voltriku śmierć swoich bliskich... może jest to niska cena w porównaniu z tym, czego zażadasz w końcu.

— Nie znam się na czarach... — zaczęła.

— Spójrz na te trzciny! — Jagun skinieniem głowy wskazał na prawo. — Jedną możesz zerwać i złamać bez większego wysiłku. Zerwij trzy, spleć je ciasno i masz sznur, na który schwytasz harfuta. Jesteś jedna i jest was trzy...

Zniecierpliwiona Kadiya wyszarpnęła bosak.

— Haramis, Anigel i ja mamy być tym twoim sznurem? — roześmiała się. — Obawiam się, że nie jestem dostatecznie zręczną łowczynią, by polować z taką bronią!

Czary... Nie знаła się na czarach, a Anigel na pewno nigdy w życiu nie okazała zainteresowania tą zapomnianą wiedzą. Magia! Nie chciała myśleć o niej jak o broni. Pragnęła spotkać Voltrika tylko z mieczem w swej dłoni. Nie wiedziała, jak to się stanie i kiedy, ale głęboko w to wierzyła. Nie będzie polegała na wątpliwych czarach, by zrobić to, co musi!

Wprawdzie podczas długiej, nocnej podróży nie mogła całkowicie przegnać tych myśli, ale przynajmniej usiłowała skupić uwagę na otoczeniu. Dwukrotnie zatrzymywali się na pagórkach, żeby odpocząć i się posilić. Kadiya rozcierała obolałe ręce i ramiona, nigdy jednak nie wypowiedziała nawet słowa skargi: w istocie ona i Jagun prawie ze sobą nie rozmawiali.

Raz usłyszeli ochrypty, przeraźliwy wrzask. Kadiya, choć nigdy nie słyszała nic podobnego, nawet nie drgnęła. Odpoczywali ukryci pod korzeniami wodnego drzewa wyde. W górze świeciły Trzy Księżycy i po niebie mknął czarny kształt, na którego widok dziewczyna westchnęła ze zdumienia. Istota ta była większa niż ich łódka, a jej skrzydła na chwilę zasłoniły gwiazdy. Nie miała pojęcia, co to takiego, nigdy z czymś takim się nie spotkała, nawet w opowieściach.

Nieznany stwór znów zaskrzeczał i zniknął. Jednak Jagun najwidoczniej nie zamierzał opuścić kryjówek. Syknął bardzo cicho i szepnął:

— To voor. On poluje! — W głosie myśliwego dźwięczał strach przed znacznie silniejszym przeciwnikiem.

— Voor?

— Na pewno nie przyleciał tu dobrowolnie, gdyż zamieszkuje najdalsze, nieznane zakątki krainy błot. — Jagun zdawał się mówić do siebie. — Co go tu sprowadza? Jego obecność dowodzi, że na całym świecie powstało straszne poruszenie.

Później ruszyli w dalszą drogę, tym razem wolniej niż dotychczas. Kadiya starała się zachowywać jak najciszej. Jeszcze raz rozległ się tamten rozziewający okrzyk, ale tym razem dobiegł z daleka, z pomocy, stamtąd, dokąd płynęli.

O wschodzie słońca rozbili obóz. Kadiya, wbrew naleganiom Jaguna, początkowo nie chciała tu obozować, gdyż dostrzegła ruiny i nie mogła zapomnieć, co im się ostatnio przytrafiło w podobnym miejscu. Lecz myśliwy nie ustępował. Wskazał na zawirowania w ciemnej wodzie.

— To na pewno legowisko sukri. One nigdy nie gnieżdżą się w pobliżu miejsca, w którym ktoś niedawno obozował.

Wylądowali więc na wyspie i Jagun zniknął z dmuchawką w dłoni. Kadiya nazbierała drew naniesionych przez rzekę i ułożyła je starannie, by były gotowe do zapalenia. Miało to być niewielkie ognisko, prawie niewidoczne z oddali. Usiadła potem i czekała na powrót swego towarzysza. Bagienne zapachy mieszały się ze sobą. Czowała woń kwiatów, smród zgnilizny i rozkładu, nawet jakiś zwierzęcy cuch. I chociaż nie miała tak wyostrzonych zmysłów jak Jagun i jego współplemieńcy, postanowiła rozdzielić poszczególne zapachy i określić je.

Kadiya bacznie nadśluchiwała. Zewsząd otaczały ją żywe istoty, wydające coraz głośniejsze dźwięki w miarę, jak słońce wytaczało się zza horyzontu. Słyszała klekot i stukot żuka oraz — odległy — senny szczebiot ptaków. Na bagnach roiło się od żywych stworzeń, a ona i jej podobni byli tu tylko intruzami. Jedynie ktoś żyjący znacznie dłużej od ludzi mógłby je określić i poznać, choć i to w niewielkim stopniu.

Wyjęła zza pazuchy amulet i podniosła go ku pierwszemu promieniowi słonecznemu, który dotarł do ich obozu. Małeńki pączek trillium był mocno zaciśnięty, ale na jego czubku jarzyła się iskierka. Kwiatek był naprawdę tak czarny jak żaden inny. Był herbem jej rodu, choć nawet najstarsze legendy nie wyjaśniały, dlaczego.

Nagle obok Kadiyi znalazł się Jagun, mimo że nie usłyszała jego kroków. Przyniósł parę karawoków, woda nadal kapiała z ich otwartych pysków. Trzymał w ręku dmuchawkę i patrzył nie w stronę Kadiyi, ale przez ramię na swoje ślady.

Mogła policzyć do dziesięciu, gdy tak stał nieruchomo. Później mięśnie jego ramion rozluźniły się. Jeszcze raz omiół spojrzeniem otoczenie, odwracając głowę najdalej jak zdołał. W końcu usiadł z westchnieniem. Skóra mu poszarzała od nadmiernego wysiłku.

Położył karawoki na ziemi, nawet na nie nie spojrzawszy, jakby udane polowanie nic dla niego nie znaczyło.

Odłożył na bok dmuchawkę i odczepił od pasa niezgrabny tobołek zrobiony z wielkiego liścia. Rozwinął go szybko. Kadiya cofnęła się ze wstrętem. Z tobołka buchnął przeraźliwy smród. To cuchnęła bryła czegoś, co wyglądało jak skamieniała zielonożółta galareta.

— To larwa, skritecki bachor — Jagun nie tknął ohydnej grudy i energicznie wytarł ręce o trawę. — Jest bardzo młody, ale już śmiertelnie niebezpieczny.

Kadiya nie odrywała wzroku od znaleziska. Przedtem nie chciała nawet przyjąć do wiadomości, że Skritekowie mogliby zapuścić się tak daleko na południe, by postawić słup graniczny. Ale żeby płodzili się w pobliżu?! To niewiarygodne!

— Znalazłem żerowisko voora — ciągnął Jagun. — Posiłał się... tym.

— Jak daleko voor może zalecieć? — zapytała.

— Niosąc podrośniętego skriteckiego bachora? Niezbyt daleko od najbliższych znanych terenów Skriteków...

Kadiya zastanowiła się nad groźbą kryjącą się za tą informacją.

— Więc Skritekowie przenoszą się na południe?

Jagun podniósł rozwinięty liść, uważając, by nie dotknąć jego zawartości. Oddalił się od obozowiska, wrył kijem dziurę w ziemi i zakopał cuchnący szczątek.

Po powrocie powiedział ponuro:

— W Błotnym Labiryncie jest wiele dróg i większość z nich dobrze znamy. Nikt jednak nie może poznać całej tej krainy. Są tu pochłaniające wszystkich intruzów ruchome trzęsawiska. A co znajduje się za nimi... — Wzruszył ramionami.

Posilili się, a potem Kadiya znów objęła pierwszą wartę, podczas gdy Jagun odpoczywał. Przekonała się, że sen morzy ją bardziej niż kiedykolwiek dotąd, nawet gdy skupiła myśli na rozważaniu rezultatów niespodzianego przemieszczenia się Skriteków. A kiedy Odmieniec zajął jej miejsce, była tak wyczerpana, że od razu zapadła w głęboki sen.

Obudził ją późnym popołudniem. Znów wyruszył na polowanie i przyniósł nie tylko słodkie korzenie lili wodnych, lecz także rybę garsu. Kadiyi pociekła ślinka na jej widok. Jedli powoli, rozkoszując się każdym kęsem, a potem opuścili tymczasowe schronienie i ruszyli w dalszą drogę, którą wskazywał im amulet.

Tej nocy nie widzieli voora ani żadnych śladów poza tropami stałych mieszkańców Błotnego Labiryntu. Teraz przynajmniej byli blisko Żółtych Błot, na tyle blisko, że pojawiły się kępy kwitnących jaskrawo trzcina, od których wzięła nazwę ta okolica.

Kiedy świt ostrzegł ich o konieczności ukrycia się, mogli odpocząć w miejscu bardzo różniącym się od dotychczasowych prymitywnych obozowisk. Usłyszeli bowiem gwizd, na który Jagun odpowiedział natychmiast.

Przy brzegu wielkiej, płytkiej rzeki otworzyło się raptem ujście jakiegoś dopływu. Jagun skierował tam ich dłubankę. Po obu stronach strumyka pojawili się Odmieńcy, których Kadiya, sądząc po odzieży, uznała za Nyssomu. Odezwali się w swojej mowie, a nie w języku kupców, więc zrozumiała tylko kilka słów. Jagun przybił do lewego brzegu. Jeden z Nyssomu wszedł ostrożnie na łódź, wziął bosak Kadiyi, gestem każąc jej usiąść. Potem silnymi pchnięciami skierował dłubankę do przodu.

W ten sposób przyplłynęła do Vurenha, jedynej prawdziwej osady Nyssomu, jaką kiedykolwiek widziała. Kupcy z tego plemienia mieszkali w ruinach Trevisty. Tutaj jednak nie było śladów innej rasy, oprócz ich własnej. Ich domy stały na palach na jeziorze, na platformach wznoszących się ponad powierzchnią wody, otaczały je łódki podobne do tej, którą przybyli.

Wzdłuż ścian domów w równych odstępach ustawiono donice z pnączami, które pięły się tak wysoko, że wydawało się, iż to domostwa same puściły liście. Rośliny właśnie owocowały uginając się pod ciężarem żółtych, ze szkarłatnym odcieniem strąków. Kadiya

wiedziała, iż przyrządzano z nich pożywny, smaczny napar. Na brzegach jeziora, na którym zbudowano wioskę, ciągnęły się pola uprawne i zagrody hodowanych na mięso wothów i gubarów, znacznie większych niż ich dzicy kuzyni z Błotnego Labiryntu.

Łódka zatrzymała się przy jednym z domów. Przed wszystkimi budynkami pojawiły się postaci, lecz na Kadię i Jaguna czekało czworo starszych Nyssomu. Były wśród nich dwie kobiety; twarze miały pomalowane w drobne wzory opalizującą farbą i tkane z trawy szaty obciążone frędzlami z muszelek lub kawałków jakiejś połyskującej substancji, zapewne znalezionej w ruinach. Najwyższa, wywierająca największe wrażenie kobieta wysunęła się do przodu, by powitać gości.

— Witam cię, o Pierwsza — powiedział powoli Jagun i Kadiya tym razem wszystko zrozumiała. — Oby Ci, Których Imion Nie Wymawiamy, zesłali dostatek i szczęście całemu klanowi i temu domowi.

Kobieta Nyssomu pochylila głowę z takim samym wdziękiem jak królowa Kalanthe podczas oficjalnego spotkania z jakimś obcym poselstwem.

Potem Jagun przedstawił Kadię.

— To jest córka króla z Wielkiego Miejsca, o Pierwsza. Wiele zła wydarzyło się w naszym kraju. Wezwała ją na naradę Biała Dama z Noth.

Mężczyzna Nyssomu, który podprowadził łódkę do domostwa Pierwszej, pomógł Kadiyi wejść na platformę. Stała przed zwierchniczką Jaguna, którą ten powitał z tak wielkim szacunkiem. Na dworze nauczono Kadię grzeczności, ale dygnąć jak należy umiała tylko w uroczystej szacie. Pozbawiona więc tego wsparcia pośpiesznie wykonała gest podpatrzony w Trewiście (widziała, jak jedna z mieszkank tego miasta powitała drugą). Złożywszy przed sobą dłonie, pochylila głowę.

— Ja, Kadiya, córka króla Kraina, życzę pomyślności twemu klanowi.

Na szczęście Pierwsza odpowiedziała znanym księżniczce gestem, unosząc rozwartą dłoń. Kadiya szybko przyłożyła do niej swoją rękę.

— Bądź spokojna, królewska córko — odrzekła Pierwsza rozciągając w uśmiechu szerokie usta, a potem znów spoważniała. — To prawda, że na bagnach czai się śmierć i dziękujemy Tym, Których Imion Nie Wypowiadamy, że przybyłaś do nas bezpiecznie. Topielcy grasują na naszej ziemi. — Zawahała się, po czym mówiła dalej: — Topielcy i inni słudzy Ciemności. Ale nasz klan jest od niej wolny i ofiarowuje ci pomoc i gościnę.

Wnętrze domu Nyssomu było podzielone na szereg połączonych ze sobą podwójnych pomieszczeń, do których wchodziło się z długiego korytarza. Kadiya odniosła wrażenie, że każde z nich było przydzielone jakiejś konkretnej rodzinie lub grupie. Nie było tam mężczyzn — przed każdymi drzwiami stała jedna lub kilka kobiet. Wszystkie pochylily głowy, gdy mijala je Pierwsza w towarzystwie Kadiyi. Dotarły do drzwi na końcu korytarza i księżniczka przekonała się, że luksusy, choć inne niż te, do których przywykla, nie były obce Nyssomu.

Czekała na nią rzeźbiona wanna (sądząc po wyglądzie pochodziła z któregoś ze zrujnowanych miast), wypełniona czystą wodą, w której pływały fioletowoniebieskie płatki, sprzedawane w Trewiście. Kiedy się je zmiażdżyło w dłoniach i potarło nimi skórę, nie tylko wydzielały trwały zapach, ale pieniały się, zmywając brud. Rozpromieniona Kadiya bez namysłu rozebrała się i weszła do wanny. Natarła się pachnącymi płatkami i wreszcie wymyła rozczochrane włosy, tłuste od chroniącej przed owadami maści. Och, cóż to za szczęście — kąpiel!

Przywódczyni klanu usiadła na ławie po przeciwnej stronie pokoju, a obok niej sześć kobiet Nyssomu, ubranych tak jak Pierwsza, i równie dobrze wychowanych. Ich obecność nie krępowała jednak Kadiyi. W tym miejscu panował spokój i cisza, które koily jej duszę jak balsam lany na ranę.

Jakaś młoda kobieta przyniosła długą i cienką szatę utkaną z trawy, którą Kadiya zaraz nałożyła. Wówczas gospodyni wstała, wskazując na miękko wyściełany taboret. Kiedy

księżniczka usiadła, kolejna młoda Nyssomu wniosła tacę z misternie rzeźbionymi czarkami ze skorupy corfera.

Gdy wszystkie zostały obsłużone i wzięły czarki w dłonie, przywódczyni klanu ułała kilka kropel na podłogę. Pozostałe kobiety poszły za jej przykładem, łącznie z Kadiya, która starała się przestrzegać miejscowej etykiety, by zyskać aprobatę gospodarzy. W Cytadeli ceremonie wielokrotnie ją niecierpliwiły; czasami była tak nieuważna, że matka udzielała jej nagany. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że chcąc przypodobać się Nyssomu musi powtarzać wszystkie gesty.

Pierwsza upiła łyk i wyciągnęła swoją czarzkę w stronę Kadiyi, która szybko zrobiła to samo. Zamieniły się naczyniami i dopiero teraz Kadiya mogła wypić całą zawartość. Ciepła, odprężająca fala popłynęła przez ciało dziewczyny.

— Zło krąży wokół nas — przerwała milczenie przywódczyni klanu. — Grasują krwiożerczy Skritekowie, a z nimi jest ktoś, kto nie pochodzi z naszego kraju i umie mącić myśli. Otrzymaliśmy wieści od naszych kuzynów mieszkających w dole rzeki. Wielu naszych współplemieńców opuściło Trevistę, gdyż władają nią teraz zabójcy. Powiadomiliśmy o wszystkim Białą Damę z Noth, ale jeszcze nie otrzymaliśmy odpowiedzi...

— Pierwsza Mówczyni — Kadiya pochyliła się ku niej — najeźdźcy niewiele wiedzą o krainie bagien. Rozkazuje im zły człowiek obeznany z dziwną wiedzą, a jeden z jego sług wędruje ze Skritekami. Nie sądzę jednak, by przyzwyczajeni do równin Labornoku żołnierze umieli walczyć w Błotnym Labiryncie. Znający wszystkie zakątki wasi ziomkowie na pewno zdołają się im przeciwstawić i wyzwolić tę część Ruwendy...

Pierwsza powoli pokręciła głową.

— Królewska córko, nie mamy w zwyczaju staczać bitew z tymi, którzy przybywają do naszego kraju. Mamy własne zabezpieczenia, ale nie zadajemy śmierci innym.

Kadiya zagryzła wargi. Tak wyraźnie widziała możliwość nękania nieprzyjaciół przy pomocy Nyssomu, którzy mogliby zwrócić przeciwko Labornokom wszystko, co straszne i groźne. Gdybyż tylko zechcieli! Znów ogarnął ją gniew. Lecz cóż mogła zrobić? W przeszłości, powodowana niecierpliwością popełniała błędy. Tym razem nie może do tego dopuścić. Dotknęła amuletu.

— Wezwała mnie Biała Dama z Noth — powiedziała ostrożnie. — Od dawna była Strażniczką Ruwendy. Może ona znajdzie odpowiedź.

Pierwsza skinęła głową z aprobatą.

— Masz rację, królewska córko. Arcymagini jest najpotężniejsza ze wszystkich żywych istot i włada wieloma dziwnymi mocami. Udzielimy ci wszelkiej niezbędnej pomocy, byś mogła do niej dotrzeć.

I Kadiya musiała się tym zadowolić.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Uzun grał na flecie melodię zwaną „Jeziorkiem Zachodzącego Słońca”, jedną z ulubionych ballad Haramis, opowiadającą o tęsknocie samotnego żeglarza za domem i bliskimi. Kiedy echa ostatniej srebrzystej nuty ucichły wśród oszronionych turni, księżniczka powiedziała:

— To było naprawdę piękne, stary przyjacielu.

— Chciałbym móc grać dalej, ale zgrabiwały mi palce — powiedział przeproszającym tonem muzyk. Okręcił się ciasniej obszytą futrem opończą i przysunął nogi w przemoczonych butach do ogniska. Noc zbliżała się szybko, a wraz z nią wiejący od lodowców zimny wiatr, który ciał skórę jak nóż.

— Nieważne, Uzunie. Myślę, że gdybyś grał dłużej, popłakałaby się ze smutku. Żeglarz z tej pieśni przynajmniej miał nadzieję na powrót do ojczyzny i swoich bliskich, a ja nie mam domu, ci zaś, których kochałam, nie żyją.

— Może twoje siostry przeżyły, księżniczko.

Haramis ponad wartkim nurtem Visparu spojrzała na skaliste zbocze po drugiej stronie rzeki, której brzegiem szli coraz dalej i dalej w Góry Ohogan. Nad zacienionymi szczytami poblask zachodzącego w chmurach słońca czerwienił ostry zarys majestatycznej góry Rotolo.

— Modłę się, żeby Kadiya i Anigel żyły — powiedziała Haramis — ale wiesz równie dobrze jak ja, że kiedy się rozstałyśmy, Kadiya była gotowa umrzeć bohaterską śmiercią w walce z przeważającymi siłami wroga. Co do Anigel, nie zdziwi mnie wieść, że umarła ze strachu! — Zamrugła powstrzymując łzy. — Biedne małe idiotki! — Z wysiłkiem wróciła do bliższych spraw. — A my pewnie wkrótce do nich przyłączymy, jeśli te przekłete nasiona trillium zaprowadzą nas jeszcze dalej w góry. Prawie nie ma teraz chrustu na ognisko, brakuje jadalnych korzeni i jagód. Odkąd wody rzeki stały się białe, zabrakło w niej ryb, a sama woda ma dziwny smak. Wiesz może, co jest w niej rozpuszczone?

— Smakuje jak skała — odrzekł Uzun. — W każdym razie, gdyby woda była zatruta...

— To nie byłoby nas wśród żywych — zgodziła się Haramis. — Ale nadal mi się to nie podoba. I martwię się o ciebie, Uzunie; nie powinieneś przebywać na takim zimnie. To na pewno ci nie służy, twoje ciało nie jest przystosowane do takich warunków.

— Nic mi nie jest! — zaprotestował muzyk. — Wszystko, czego potrzebuję, to ogrzać się trochę i wysuszyć buty.

— Które i tak znowu przemokną, jak tylko zaczniemy brodzić w mokrym śniegu — zauważyła księżniczka. — Moja krew jest cieplejsza od twojej, Uzunie, i mogę to wytrzymać. Ty zaś jesteś Nyssomu, zrodzonym do przebywania w Błotnym Labiryncie. Przez cały dzień patrzyłam, jak twoja twarz coraz bardziej szarzeje z bólu i coraz wolniej stawiasz kroki.

— Zwalniam twoje tempo — mruknął z przygnębieniem.

— To nieważne! Przyznam jednak, że nie spieszo mi zamarznąć w drodze! Uważam, że nie poczujesz się lepiej. Wręcz przeciwnie, będzie z tobą coraz gorzej, zwłaszcza gdy zrobi się jeszcze zimniej.

Wstała od ogniska, zerwała obszyte futrem rękawiczki i zaczęła ściągać mokre buty z nóg Odmieńca.

— Musimy je zdjąć, inaczej nigdy nie wyschną ci na nogach.

— Nie, nie! Ja muszę służyć tobie! Nie ty mnie!

— Milcz! — rozkazała z udaną surowością. Zdjęła mu buty, mokre lniane owijacze i warstwę trawy, która chroniła przed zimnem, gdy była sucha, teraz jednak stała się wilgotną masą oblepiającą pazurzaste stopy Uzuna, i nałożyła na nie swe ciepłe rękawiczki jak pantofle. Następnie ułożyła buty i owijacze bliżutko niewielkiego ogniska i kazała mu się napić z małego osmalonego garnuszka, w którym parzyli herbatę darci.

— Teraz czuję się znacznie lepiej. Nie powinnaś jednak tak się poniżać... — Stary Odmieniec odetchnął głęboko.

Uciszyła go, przyciskając palec do jego ust.

— A teraz posłuchaj mnie, Uzunie. Długo się nad tym zastanawiałam i podjęłam decyzję. Moją wolą jest, żebyś zawrócił, gdyż towarzyszyłeś mi tak długo, jak mogłeś, a ja wyruszę dalej sama.

— Nie! Nie! — zawołał, rozchlapując herbatę.

— Czyż nie powiedziałam, że podjęłam decyzję? — oświadczyła z naciskiem. — Wiemy, że prawie dotarliśmy już w te partie gór, gdzie żadna żywa istota — może z wyjątkiem legendarnych Oczu Wirów Powietrznych — nie jest w stanie długo przeżyć. Prowiant nam się kończy i nie zdobędziemy innego. Niebawem znikną nawet te karłowate drzewa i nie będzie z czego rozpalić ogniska. Jeżeli czeka mnie świetny los, jak przepowiedziała Biała Dama, musimy przyjąć, że Władcy Powietrza ochronią mnie jakoś i utrzymają przy życiu w taki czy inny sposób, gdy będę dalej szła za nasionami trillium. Ale ty, drogi przyjacielu, powinieneś zawrócić. To ja poszukuję tajemniczego talizmanu i muszę odnaleźć go sama. Arcymagini mi to powiedziała. Czyż nie rzekła i tobie, że opuścisz mnie przed końcem podróży?

Uzun bez słowa pochylił głowę. Otarł rękawem zapłakane oczy, a potem siorbnął kilka łyżek herbaty ze wspólnego garnuszka.

— Jeżeli teraz zawrócisz — ciągnęła Haramis — to za pół dnia wydostaniesz się z pól śniegowych. Za jeszcze jeden dzień znajdziesz się nad pełnym życia Visparem, gdzie roi się od garsu i innych ryb, gdzie jest mnóstwo dojrzałych, pożywnych jagód, a w nocy nie ma przymrozków. Pójdziesz z biegiem rzeki na południe, aż napotkasz przyjaźnie nastawionych Uisgu, którzy zawiozą cię łódką do twoich krewnych mieszkających w Treviście.

— Jak mogę zostawić się zupełnie samą? Trójjedyny Bóg wie, że kiepski ze mnie wędrowiec, ale ty — wybacz mi, księżniczko! — ty jesteś jeszcze gorsza i na pewno nie przeżyjesz na tym pustkowiu!

— Nie potrzebuję teraz specjalnych umiejętności, by przeżyć. Nie ma tu ryb do oprawiania, bagiennych vartów do łapania w pułapkę, ani dziko rosnących jadalnych roślin do przyrządzania. Prowiant w plecaku będzie mnie ratował przed śmiercią głodową jeszcze przez jakiś czas. Wiem też, że muszę poczekać, aż osad w rzecznej wodzie osiadzie, nim się jej napiję. Mogę dość zręcznie piąć się po skałach — ostatnio dość często to praktykowałam — a nasiona trillium na pewno znajdą dla mnie suche miejsca do spania, przynajmniej jeszcze przez kilka dni, dopóki wszystkiego nie pokryje głęboki śnieg. Jeżeli do tego czasu nie dotrę do celu... — Wzruszyła ramionami. — No cóż, może Oczy w Wirach Powietrznych zlitują się nade mną i zabiorą mnie do którejś z owych baśniowych zielonych dolin wśród szczytów Gór Ohogan, gdzie Vispi ponoć mieszkają wśród gorących źródeł i kwitnących kwiatów, kiedy w górze szaleją zamiecie, wcale im nie szkodząc.

— To prawda, zastanawiałem się nawet, czy Biała Dama aby nie posłała nas drogą prowadzącą do takiego miejsca — powiedział Uzun cicho, w zamyśleniu.

— Co wiesz o Vispi?

— Vispi nigdy nie schodzą z gór. Sprzedają cenne metale i kamienie szlachetne Uisgu, którzy przekazują je Nyssomu, ci zaś ludziom albo na jarmarku w Treviście, albo na mniejszych jarmarkach w wioskach krainy Dyleks. Vispi kupują przeważnie zwierzęta domowe, zwłaszcza zaś bardziej wytrzymałe odmiany volumniali, togarów, nunczików o ciepłym futrze. Nabywają również sól i wszystkie odmiany słodczy — miód wodnych pszczoł to podstawowy towar, jaki sprzedają im Uisgu — oraz kilka innych produktów.

— Jak oni wyglądają?

— Żaden Nyssomu nie zobaczył ich i nie przeżył, by o tym opowiedzieć, gdyż nie wolno nam się zapuszczać na ich terytorium.

— Na pewno ma to sens, gdyż zamarzlibyście w drodze, zanim byście tam dotarli — mruknęła Haramis.

— Mieszkańcy krainy Złotych Traw, Uisgu, twierdzą, że Vispi są wyżsi od ludzi, ale smuklejsi — ciągnął Uzun. — Oni są naszymi kuzynami, gdyż wydają na świat w pełni ukształtowane dzieci, a nie żarłoczne larwy jak Skritekowie. Mówi się, że Oczy w Wirach Powietrznych, strażnicy górskich przełęczy, którzy niegdyś pomagali bronić naszego kraju przed obcą inwazją, mają należeć do plemienia Vispi i służyć Białej Damie.

— Niektórzy z żołnierzy stacjonujących w naszych górskich fortach opowiadają o Vispi tańczących na świeżo spadłym śniegu. Mają być naprawdę piękni.

— Są też najstarsi z nas wszystkich, których zwiecie Odmieńcami. Nikt jednak tego nie wie na pewno. Nasi opowiadacze mówią, że Vispi żyją w głębokich dolinach na zboczach góry Rotolo, góry Gidris i góry Brom. Mają tam tryskać gorące źródła i płynąć gorące rzeki, nie docierają tam straszne chłody i rosną tam rośliny. Terytorium Vispi otaczają lodowe groty, które roztopiają się powoli, odsłaniając drogie kamienie, samородki złota i platyny wraz z kamieniami półszlachetnymi. Wymywają je rwące górskie potoki. Podobni niektóre z tych jaskiń należały do Zaginionych i choć zdarza się to bardzo rzadko, Vispi czasem chcą sprzedać jakieś z ich starożytnych urządzeń.

— To niezmiernie ciekawe — mruknęła Haramis. Wsadziła w ognisko okuty żelazem koniec swojego podróżnego kija, podgarniając chrust do żarzących się węgli. Milczała jakiś czas. Później nagle powiedziała:

— Uzunie, czy spróbujesz jasnowidzieć dla mnie?

— Chcesz poszukać swoich sióstr?

— Nie. Vispi.

Odmieniec aż stęknął z zaskoczenia.

— Ja... ja mogę tylko spróbować — wyjąkał. — Jeżeli naprawdę są z nami spokrewnieni, powinni mieć aury, jak wszystkie żywe istoty.

Haramis bez słowa wskazała na garnuszek, w którym pozostało na dnie nieco herbaty. Uzun skinął głową i podniósł go. Kręcił garnkiem, sprawiając, że ciemny płyn wirował coraz szybciej i szybciej. Nie odrywał oczu od powstałego w ten sposób małego wiru. Nagle jego ciało zeszytywniało, krople potu wystąpiły na czoło, a spojrzenie zmętniało.

Haramis czekała. Różowy poblask na zaśnieżonych szczytach zszarzał. Na niebie, bezchmurnym przez czas ich podróży, od południa nadciągały perlistymi smugami pierzaste chmury, zapowiadające nadejście zimowego monsunu. Czasami burze przychodziły wcześniej. Jeśli zdarzy się to w tym roku, będzie zgubiona...

— Movis — szepnął Uzun.

— Czy zobaczyłeś coś? — Zaskoczona Haramis chwyciła go za ramię.

— Movis — powtórzył. Kiedy przyszedł do siebie i powoli odstawił garnuszek z herbatą, utkwil w oczach księżniczki swoje wielkie złote oczy. — Ich największa osada nazywa się Movis, leży w wyższej partii gór, na zachodzie.

— Czy zobaczyłeś ją wyraźnie? — zapytała. Na jej twarzy malowało się podniecenie. — Jak daleko stąd?

— Tego nie mogę powiedzieć. Wiem tylko, że znajduje się o, w tamtym kierunku. Vispi mogą ją ukryć przed wzrokiem szukających, jeśli zechcą. Wypowiedziałem jednak twoje imię i pozwolili mi zobaczyć ją. Dodali też, że czekają na ciebie.

Serce Haramis zabiło mocniej. Wyjęła zza pazuchy amulet i położyła go na dłoni. Movis! To była prawdziwa osada, a nie gorączkowe majaki umierającej Arcymagini! A więc idąc za nasionami trillium nie gonila złudy! To jest prawdziwa wyprawa!

— Dobrze mi usłużyłeś — powiedziała. — Twoja wizja dodała mi otuchy i pewności siebie, z mojego serca ustąpiła niepewność. Wyznaję ci, Uzunie, iż obawiałam się, że Biała Dama jest tylko chorą, szaloną czarownicą, która posłała mnie na pewną śmierć.

— Movis nie leży tuż za zakrętem — odrzekł mały muzyk, marszcząc czoło ze zmartwienia. — Na pewno dzieli nas kilka dni drogi, i to przez bardzo trudny teren.

— Moje nasiona mnie poprowadzą — uspokoiła go z uśmiechem. — Nie obawiaj się, znajdę to miejsce, a zamieszkujący je Vispi na pewno pomogą mi w poszukiwaniach Trójskrzydłego Kręgu.

— Kiedy rozmawiali ze mną, okazywali dobrą wolę — przyznał Uzun. Zgiął i rozgiął palce stóp nadal ukrytych w rękawiczkach Haramis. Zatroskanie powoli zniknęło z jego oblicza. — Może jednak wszystko będzie dobrze. — Ziewnął i pośpiesznie poprosił księżniczkę o wybaczenie.

Ta tylko roześmiała się wesoło.

— Na pewno masz rację. I chociaż będzie mi brakowało widoku twojej drogiej twarzy i twojej muzyki, usłuszysz mi najlepiej wracając do Trevisty. Możesz zacząć układać balladę o tej podróży, zaśpiewasz ją, kiedy zostanę królową Ruwendy. Sądząc z tego, co czasem mówisz, chyba już nad nią pracujesz.

— Dobrze, wróć — westchnął Uzun. — Na pewno będziesz wędrować szybciej bez mnie. Opuszczam cię z lekkim sercem, bo mam nadzieję, że Arcymagini rozkazała Vispi, by ci pomogli. Idąc na południe będę co jakiś czas szukać cię za pomocą jasnowidzenia, muszę się upewnić, że nic ci nie grozi.

— To oczywiste — przytaknęła księżniczka. Podniosła jego buty i owijacze, teraz już prawie suche. — Wsadź je na dno śpiwora, doschną, gdy będziesz odpoczywał.

Pomogła mu się wsunąć do puchowego worka. Uzun skulił się oparty plecami o duży głaz. Zasnął i zachrapał, jeszcze zanim Haramis rozłożyła swój śpiwór i dopiła resztę herbaty.

Posprzątała obozowisko i ruszyła powoli nad strumień. Szron pokrywał już nagie skały i wśród ostrych turni połyskiwały w półmroku płyty śniegu. Napełniła do połowy największy bukłak, wzdragając się przed dotknięciem lodowatej wody. Do rana, kiedy zawartość zamarnie i ponownie odtaje, szara zawiesina osiądzie na dnie i woda będzie nadawała się do picia.

Coś zabłysło u jej stóp. Była to maleńka kałuża, w której odbijała się samotna gwiazda. Doskonała okazja do jasnowidzenia...

Czy mogłabym sama tego dokonać? — pomyślała. A jeśli już o to chodzi, czy jasnowidzenie to prawdziwe czary, czy tylko wrodzony dar, podobny do mowy bez słów, którą posługują się Odmieńcy? Zastanawiam się, czy mogłabym w ten sposób poszukać moich sióstr... Rozum mi mówi, że najprawdopodobniej już nie żyją, ale coś czuję, że chyba jest inaczej. Oczywiście, jeśli ich nie zobaczę, to niczego nie dowiedzie. Przypuśćmy, że Arcymagini otoczyła naszą trójkę jakąś zaporą — czymś w rodzaju czarodziejskiej zasłony — by przeszkodzić labornockim adeptom, takim jak Orogastus, którzy szukają nas, by nas zabić? Możliwe jednak, że jeśli ja sama poszukam moich sióstr, a ich los ma być związany z moim, ta zapora mnie nie zatrzyma, bo nie mnie dotyczy... Nie zaszkodzi, jeśli spróbuję.

Uklękła przed maleńką kałużą, uważając, by nie zasłonić odbicia gwiazdy, i odmówiła krótką modlitwę. Później oczyściła umysł ze wszystkich myśli. Kiedy świat zawęził się dla niej do odbitej w wodzie bladej iskierki, zbudowała obraz Kadiyi.

Kadi... Kadi... Czy żyjesz? Pokaż mi się!

Twarz Kadiyi uśmiechnęła się. Haramis poczuła silny zapach perfumowanej wody, zobaczyła mydlane bąbelki, unoszące się na wodzie kasztanowate włosy...

Potem wszystko zniknęło.

Księżniczka przysiadła na piętach. Przez mgnienie, przez ułamek sekundy widziała przelotnie jakieś obrazy. Nie mogła to jednak być prawdziwa wizja Kadi, to zapewne tylko strzępy wrażeń, stworzonych przez jej własną wyobraźnię, wyostrzoną zmęczeniem.

Haramis westchnęła. No cóż, nie oczekiwała, że się jej powiedzie. Jasnowidzenie to talent Odmieńców, którego nie posiada żaden człowiek. Zachowała się jak ostatnia idiotka, marznąc

nad górską rzeką, kiedy mogła leżeć w puchowym śpiworze, śniąc i wyobrażając sobie wszystko, co chciała. Westchnęła i powłócząc nogami wróciła do obozowiska.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Łódka Uisgu mknęła przy świetle trzech księżyców. Anigel obudziła się ze zduszonym jękiem. Już czwartą noc z rzędu powtarzał się ów sen o suszy i ogniu. Zesztywniałe z przerażenia ciało lepilo się od potu pod śpiworem, którym Immu troskliwie ją otuliła. Przeklęty sen! Tak głupio było przeżywać tę bolesną nierealność raz po raz. Chwyliła szybko amulet. Przyjemnie grzał jej lodowatą dłoń, kiedy zapytała, dlaczego tajemna jaźń znów zesłała jej ten koszmar. Wiedziała, co to znaczy! Stawiła czoło swoim wadom i obiecała, że będzie dzielna, czyż nie tak? Dlaczego te widma wciąż ją dręczą? To niesprawiedliwe!

Zebrawszy się na odwagę, przegnała przerażające wspomnienia i skoncentrowała się na swojej obecnej sytuacji.

Płynęła na łodzi o zakrzywionej do środka rufie i takimże dziobie, tak długiej jak dębki Nyssomu. Nie wyłobiono jej jak tamte, w pniu kała, lecz upleciono ciasno jak koszyk z długich naręczy trzciny, i pokryto od wewnątrz jakąś twardą substancją. Dwa rimoriki, które ją ciągnęły, były porośniętymi futrem stworzeniami większymi od człowieka, o opływowych ciałach, lśniących głowach i błoniastych łapach. Miały zieloną, cętkowaną sierść i porozumiewały się sykiem. Nie lubiły ludzi i szczyrzyły kły, kiedy Anigel próbowała się z nimi zaprzyjaźnić. Poganiacze Uisgu, którzy nazywali się Lebb i Tirebb, kierowali tymi wodnymi rumakami za pomocą wodzy przebiegających przez pierścienie umieszczone po obu stronach dziobu. Anigel musiała przez całą drogę głównie leżeć na małej macie rozłożonej na wąskiej rufie, żeby nie denerwować rimorików swoją ludzką aurą. Zatrzymywali się mniej więcej co sześć godzin, by wymienić zmęczone zwierzęta na świeże w jakiejś wiosce Uisgu i by utrudzonego poganiacza mógł zastąpić jego towarzysz.

W tej dziwnej krainie zwanej Złotymi Błotami, przez którą płynęli już od trzech dni, za dnia było bardzo gorąco. Anigel widziała niewiele miejscowych zwierząt poza wielkimi stadami ptaków, rojami much o przezroczystych skrzydłach — niektóre mierzyły pół ella — i mnóstwem ryb. Trafiały się niekiedy tak wysokie jak Anigel, zwieńczone pierzastymi, złocistożółtymi wiechami trawy o ostrych brzegach.

Początkowo ich łódka płynęła krętym, wąskim kanałem przez bardzo gęsto porośniętą trawą obszar na północ od Trevisty, skręcając i kłucząc tak często, że Anigel zupełnie straciła poczucie kierunku. Drugiego dnia dotarli do kraju, gdzie złocista trawa była niższa, a szlaki wodne jeszcze trudniejsze do rozróżnienia. Wówczas rimoriki płynęły prosto przed siebie przez zalaną wodą prerię i łódź śmigała nad trawą jak po jakiejś natłuszczonej powierzchni.

Zawsze zatrzymywali się na sterczących ponad powierzchnią wody wysepkach, porośniętych drzewami hebanowymi oraz krzakami obsypanymi kwiatami i owocami. Tam właśnie znajdowały się małe wioski nieśmiałych Uisgu, którzy żywili się surowymi rybami, obficie występującymi w okolicy dzikimi owocami i jadalnymi korzeniami, pili zaś „święty” brązowy napój zwany mi tonem. Immu kategorycznie odmówiła wyjaśnienia natury owej świętości i zakazała go próbować. W przeciwieństwie do Nyssomu, Uisgu nie używali ognia. Mieszkali w chatkach z trawy uplecionych w taki sam sposób jak ich łodzie, umieszczonych na palach dla zapewnienia bezpieczeństwa podczas powodzi, częstych w porze monsunów. Uisgu byli znacznie mniejsi od swoich krewnych Nyssomu. Ubierali się tylko w krótkie spódniczki z trawy i nosili wysadzane drogimi kamieniami złote ozdoby, które nabywali od Vispi z pomocnych gór.

Wszyscy malowali kręgi wokół wylupiastych oczu, a torsy mężczyzn zdobiły przecinające się potrójne koła. Ich ciała porastała krótka sierść, którą nacierali olejkiem o silnym zapachu piżma. Obecnie Anigel prawie nie zwracała uwagi na ten zapach, ale kiedy po raz pierwszy spotkała dwóch żeglarzy, Lebba i Tirebba, w domu Mówczyni w Treviscie, z trudem

powstrzymała odruch obrzydzenia, gdy musiała uścisnąć ich wilgotne ręce. Nic dziwnego, że niektórzy grubiańscy Ruwendianie nazywali tych małych Odmieńców Śliskimi Diabłami! Obaj Uisgu z wielkim trudem porozumiewali się z Immu, na szczęście jednak nie było to często potrzebne. Lebb i Tirebb dobrze wiedzieli, gdzie znajduje się zrujnowane Noth, i obiecali Frolatu, że zawiozą tam Anigel i Immu najszybciej jak to możliwe.

Po zapadnięciu zmroku, kiedy mgła nie przesłaniała iskrzących się nad ziemią gwiazd, które jakby świeciły dwa razy jaśniej niż zwykle, Złote Błota dźwięczały nocnymi tonami j całkiem innymi niż nad Dolnym Mutarem czy w Treviście. Na tych rozległych, bezdrzewnych terenach nie ryczały żadne duże zwierzęta: zamiast nich bagienne odgłosy brzmiały jak perkusje i setki maleńkich bębenków, z których każdy wydawał inny ton. Grały wciąż zmieniającą się melodię towarzyszącą łodzi, która z sykiem i świstem przesuwała się nad morzem traw. Te dźwięki hipnotyzowały i Anigel znów się zdrzemnęła.

— Nie chcę snów, nie chcę snów — błagała szeptem, zapadając się w mrok. Po przebudzeniu stwierdziła, że łódź się zatrzymała i świt szarzy! niebo. Czuła się świetnie.

Znad burty wpatrywały się w nią trzy dziwaczne twarzyczki. Malowała się na nich fascynacja przemieszana z przerażeniem. Dostrzegła w nich podobieństwo do Nyssomu, lecz sterczące do góry uszy były proporcjonalnie znacznie większe, tak samo jak ostre zęby, a głowy, szyje i policzki porastało gładkie, połyskliwe futro. Oczy jednej z nich okalał złoty krąg, dwóch pozostałych zdobiła ochra i róż.

Zaskoczona księżniczka pisnęła i trzy twarzyczki zniknęły jej z oczu.

— Och, przepraszam — powiedziała cicho. — Nie bójcie się mnie, mali Uisgu. Wiem, że wydaję się wam ogromna i brzydka, ale nie zrobię wam krzywdy.

Najpierw pojawiła się jedna głowa, a potem pozostałe. Nie były większe od główek ludzkich niemowląt. Dzieci Uisgu ćwierkały między sobą z ożywieniem, najwyraźniej dyskutując o naturze potwora, którego odkryły śpiące w łódce na plaży.

— Wszystko w porządku — zapewniła je Anigel. Wyciągnęła w ich stronę amulet i nagle odniosła wrażenie, że wszystko się wyjaśniło.

Trójka młodych Uisgu zaszczebiotała radośnie i wyszczerzyła maleńkie kły w szerokich uśmiechach. Zamierzali już wdrapać się do łodzi, gdy Anigel roześmiała się i powiedziała:

— Nie, nie. Posiedźcie, proszę, kiedy będę się ubierała. Potem możecie zaprowadzić mnie do waszej wioski. Przypuszczam, że Lebb, Trebb i Immu już się tam udali po świeże rumoriki.

Wysunęła się ze śpiwora i usiadła. Naciągnęła miękką, utkaną z trawy szatę. Początkowo niechętnie nosiła podarowany przez Frolatu tubylczy strój, lecz przekonała się, iż w jasnozielonej szacie jest znacznie chłodniej niż w podartej, brudnej dworskiej sukni, a długie rękawy i obszerny kaptur chronią od palącego słońca. Zamieniła też podarte pantofelki na mocne sandały. Podróżny strój uzupełniał spleciony z roślinnych włókien pasek z dużą skórzaną sakiewką, w której Anigel nosiła chusteczkę do nosa, grzebień, nóż i kilka innych potrzebnych drobiazgów.

Jeden z młodych Uisgu raptem zniknął. Wrócił po chwili, chichocząc, i podał Anigel nanizane na sznurek białe kwiaty o sztywnych jak z wosku płatkach, które rozsiewały ostry zapach. Podziękowała małej istotce, związała kwiaty w wianek i włożyła go na głowę. Później wygramoliła się z łódki i poszła za trójką Uisgu wąską ścieżką.

Wioska znajdowała się niedaleko i składała z pięciu chat ustawionych na palach i zbudowanej na ziemi, pozbawionej dachu zagrody. Uisgu, zgodnie ze swym zwyczajem, gromadzili się tam, by ze sobą obcować, naradzać się, przygotowywać wspólnie posiłki i spożywać je podczas pory suchej. Immu oraz dwom żeglarzom, Lebbowi i Tirebbowi, właśnie podawano śniadanie ze wspólnego kotła. Przywódca wioski powitał Anigel przyjazną, choć niezrozumiałą przemową, i polecił dać jej coś do zjedzenia.

Księżniczka przyzwyczała się już do drobno posiekanej surowej ryby, zalanej kwaśnym sokiem owocowym, i marynowanej tak długo, aż mięso stało się białe, płatkowate i wyglądało jak ugotowane. Otrzymała też kilka plasterów melona oraz garść orzechów o ostrym zapachu. Za przykładem Immu odmówiła wypicia świętego napoju miton.

— Tutejsi Uisgu mówią, że Noth jest oddalone tylko o kilka godzin drogi — powiedziała piastunka. — Zalana przez wodę część Złotych Błot, po której mogą płynąć rimoriki, kończy się kilka mil za tą wioską, rozlewisko staje się za płytkie. Będziemy musieli skierować się na wschód, do Notharu, i nim popłynąć do domu Arcymagini. Uisgu zazwyczaj nie odważają się zbliżyć do jej siedziby bez zaproszenia, ale wyjaśniłam im, kim jesteś i dlaczego Biała Dama cię wezwała.

Przywódca klanu, który wyróżniał się bogatym złotym naszyjnikiem i bransoletami, spódniczką z połyskliwych łusek rybich oraz potrójnymi białymi kręgami wokół oczu, zbliżył się do Anigel, kiedy ta skończyła jeść, i wygłosił dość długą orację w swoim języku. Księżniczka zdołała nie wzdrygnąć się z obrzydzenia, gdy parurzastymi palcami uniósł z jej piersi amulet i pokazał go swemu ludowi.

Cała grupka Uisgu wydała cichy okrzyk podziwu, przerwany przez trójkę dzieci, które na pewno informowały dorosłych, że już poznały Anigel.

— Uisgu zamieszkujący zachodnią część Błotnego Labiryntu utrzymują ścisły myślowy kontakt ze swymi pobratymcami — wyjaśniła cicho Immu. — Tutejszy wódz mówi, że nie jesteś jedynym Żywym Płatkiem Czarnego Trillium, który podąża do Noth. Jest jeszcze jeden — to na pewno twoja siostra Kadiya — który przeżył niebezpieczną podróż przez Czarne Błota. Ona i jej towarzysz — to musi być Jagun — dotarli do wioski Nyssomu w pobliżu miejsca, gdzie zlewają się Nothar i Górny Mutar.

— To cudownie! — zakrzyknęła Anigel. — Poczekamy w Noth na jej przybycie!

— O tym zadecyduje Arcymagini — odrzekła piastunka. Na jej twarzy malowało się powątpiewanie.

Wódz Uisgu znów przemówił, tym razem wskazując na północną część nieba i marszcząc brwi. Później gestem najwyższej dezaprobaty otarł ręce o włochate boki.

— Na Czarny Kwiat! — mruknęła Immu. — On powiada, że trzecia osoba nosząca amulet z trillium wyruszyła z Noth przed tygodniem, skierowała się na pomoc, na podgórze, a potem wspięła się na wysoko położone śniegowe pola Gór Ohogan. Mówi, że ta osoba jest... jest bardzo niemądra, gdyż weszła na teren Vispi, którzy zakazali wstępu wszystkim rasom pod groźbą kary śmierci.

— On może mówić tylko o Haramis! — zawołała Anigel. — Ona poszłaby tam, gdyby posłała ją Biała Dama! Ale jak mogła...

— Cicho! — ostrzegła ją Immu. Podziękowała wieśniakom, a potem dała znak Lebbowi i Tirebbowi, że czas już ruszać w drogę. Parę świeżych rimorików już zaprzężono do ich łodzi.

Wódz klanu uprzejmie zastąpił im drogę. Na jego krótki rozkaz jedna z kobiet podała mu małą, zakorkowaną tykwę pomalowaną na jaskrawoczerwony kolor i umieszczoną w wygodnej do niesienia siatce. Uroczyście wręczył ją Anigel.

— Czy to miton? — zapytała szeptem Immu.

— Tak. Tym razem będziesz musiała go przyjąć, gdyż jest to wyjątkowy dar, który bardzo rzadko ofiarowują nie-Uisgu, a co dopiero ludziom. Chwała niech będzie Władcom Powietrza, że nie żądają, byś go wypięła...

Anigel pochyliła głowę i podziękowała gospodarzom. Wydawało się, że ją zrozumieli. Jakaś pomarszczona babcia podreptała za nimi, gdy wracali do łodzi, klepiąc księżniczkę po ramieniu i z zachęcającym uśmiechem raz po raz pokazując na tykwę.

— Miton! — powtarzała. — Miton! Miton ka poru ti! Wgramolili się do łódki. Dwaj żeglarze zajęli miejsca na dziobie. Immu i Anigel — jak zwykle na rufie. Kiedy odpływali od

wyspy, wieśniacy podnieśli ręce na pożegnanie. Staruszka o skrzeczącym głosie wrzasnęła po raz ostatni:

— Miton ka poru ti!

— Co to znaczy? — zapytała Anigel. Trzymała tykwę na kolanach, oglądając niezwykle wężły siatki, w której ją umieszczono.

— Ona mówi: „Miton daje siłę i odwagę” — przetłumaczyła niechętnie Immu. — Dlatego nazywają go świętym napitkiem.

— Ależ to cudowne! — wykrzyknęła z ulgą księżniczka. — Napiałabym się teraz trochę, gdyż wyznaję, że na myśl o spotkaniu z Białą Damą ogarnia mnie paniczny strach.

Immu odwróciła się i powiedziała jakby do siebie:

— Uisgu i rimoriki żyją w dziwnej wspólnocie, i jedni pomagają drugim. Są przyjaciółmi, a nie zwierzętami domowymi i panami. Rimoriki są silne i odważne, podczas gdy słabsi od nich Uisgu są rozumniejsi. Łączącą ich więź wzmacniają stale za pośrednictwem mitonu, który piją... i jest w nim zmieszana krew obu gatunków.

Anigel siedziała jak skamieniała. Jedną ręką instynktownie chwyciła amulet.

— Nie wiem, czy ten napój dodaje odwagi, czy nie — ciągnęła Immu. — My, Nyssomu, powszechnie się go obawiamy. Nieliczni, którzy odważyli się go skosztować — stali się odrębnym gatunkiem. Na pewno są w nim jakieś mocne czary, ale dobrze zrobisz oddając ten dar Arcymagini, a przynajmniej radząc się jej w tej sprawie.

— Tak. Zrobię, jak radzisz. — Księżniczka długo siedziała w milczeniu, przenosząc spojrzenie ze szkarłatnej tykwy na krajobraz przed nimi, gdzie szczyty gór majaczyły na horyzoncie. Mniej więcej po godzinie, Anigel odwróciła się do Immu i powiedziała z uśmiechem: — Tylko Władcy Powietrza wiedzą, czy ten napój rzeczywiście wzmacnia charakter pijącego. Ale stała się dziwna rzecz... Siedząc tak i trzymając go, pokonałam w sobie strach przed spotkaniem z Białą Damą. I na razie dość mam czarów.

Ruiny Noth, chociaż rozległe, miały w sobie mniej majestatu niż Trevista i Anigel poczuła się zawiedziona. Przepłynęli przez skupisko zrujnowanych, zarośniętych kamiennych budowli do laguny wypełnionej cuchnącymi żółtymi kwiatami-sakiewkami, oblepionymi aż po pręciki gnijącymi owadami, które wpadły w pułapkę. Dobili do brzegu w zaskakująco czystej małej przystani. Wznoszące się nad nim wykarczowane zbocze porastała krótko przyszyżona trawa i kwiaty. Długoszyje udomowione togary chodziły wokoło kołyszającym się krokiem, całkiem jak w zagrodzie wolnego wieśniaka pod Cytadelą, od czasu do czasu szczypiąc trawę lub inny smakołyk. Jeszcze wyżej, na szczycie nierównych schodów, stała chata, jakiej Anigel jeszcze nie widziała.

Dach chaty zrobiono z grubej warstwy suszonej trawy, w bielonych ścianach ostro się rysowały ciemne belki konstrukcji. Z kamiennego komina wiała się ku niebu smuzka dymu. Okna miały oprawne w ołów szybki w kształcie rombów, skrzynki z kwiatami na parapetach, a drewniane okiennice pozwalały osłonić szyby w burzliwą noc. Drzwi frontowe znajdowały się dokładnie na środku ściany — i tylko dolna ich część była zamknięta. Obok stała wyplatana ławka, na której spało jakieś zwierzątko o pręgowanej sierści, kołowrotek z koszykiem pełnym wełny oraz miska z gotowymi kłębkami przędzy. Całość wydawała się tak miła i niegroźna (zwłaszcza w porównaniu z ponurymi ruinami zaginionego miasta), że Anigel zapytała, czy aby na pewno przybyli we właściwe miejsce.

Immu przekazała pytanie Lebbowi i Tirebbowi, którym bardzo się śpieszyło, by wysadzić na ląd pasażerki i odpłynąć. Obaj energicznie skinęli głowami i wskazali na domek. Jeden wyrzucił na ląd podróżne sakwy Immu i Anigel, a drugi gwizdnął przeciągle, dając znak rimorikom, by ruszyły w powrotną drogą.

— No, no! — Immu z widocznym zakłopotaniem patrzyła na oddalającą się szybko łódkę. — Co na to powiesz?!

Anigel wchodziła już po schodach prowadzących do ogrodu.

— Chodź prędko! — zawołała. — Nie uwierzysz, co tu znalazłam.

— Chodź, chodź, chodź! — mruzczała piastunka, która miała nogi znacznie krótsze niż jej wychowanka. Między przystanią a chatą rosło kilka drzewek, obciążonych kulistymi pomarańczowymi owocami. Zasłaniały one inną roślinę, przed którą stała teraz Anigel, wpatrując się w nią z podziwem i lękiem.

Było to wysokie Czarne Trillium obsypane wielkimi kwiatami. Immu z wrażenia padła na kolana i wybuchnęła płaczem.

— To prawda! Znalazłyśmy ją! Chwała za to Władcom Powietrza!

Anigel uklękła, by uspokoić swoją przyjaciółkę, ale po chwili obie jęknęły z zaskoczenia i przytuliły się do siebie, kiedy między nimi a stojącym w zenicie słońcem pojawiła się jakaś widmowa postać.

— Pani? — zapytała Immu drżącym głosem.

Postać poruszyła się i światło padło na jej twarz. Była to twarz starej kobiety, tak zryta zmarszczkami i skurczona, że rysy prawie się zatartyły, i widać było tylko głęboko zapadnięte, zamglone niebieskie oczy. Nowo przybyła miała na sobie prostą, białą, ręcznie tkaną szatę. Cienki, haftowany welon okrywał jej rzadkie, siwe włosy. Wyciągnęła ku nim wychudzoną rękę, z nabrzmiałymi żyłami i spuchniętymi stawami. Na palcu nosiła wielki pierścień z platynowej plecionki z bursztynowym okiem, w którym tkwiło kopalne trillium.

— Jestem Arcymagini Binah — odezwała się. — Witajcie. Immu siedziała na ziemi jak sparaliżowana, Anigel zaś wstała z trudem. Coś sparzyło jej pierś. Wyjęła więc amulet z za pazuchy. Świecił, pulsował w rytmie jej serca, a kwiat w jego wnętrzu rozchylił nieco płatki.

Stara kobieta uśmiechnęła się i odwróciła, dając ręką znak, by Anigel poszła za nią. Arcymagini kroczyła powoli, powłócząc nogami i podpierając się srebrną laską. Księżniczka ruszyła za nią bez cienia strachu. Jak ktokolwiek mógłby się obawiać biednej, umierającej Białej Damy?

— Och, zaskoczyłoby cię to — zachichotała Arcymagini. Jej chichot przypominał szelest suchych liści na kamieniach. — Ale ty nie musisz się mnie lękać, drogie dziecko. Jestem twoją babką, która cię kocha. Musisz mi zaufać.

— Ufam — odparła Anigel.

Arcymagini zatrzymała się przy wysokim trillium.

— To ostatnie z tego gatunku, które nadal rośnie w naszym kraju i chociaż wydaje się silne, umiera tak jak ja.

Anigel krzyknęła z przerażenia, lecz staruszka położyła jej palec na ustach.

— Jeśli Najwyższy zechce, inne Trillium zajmie jego miejsce. Czy wiesz, o czym mówię, córko?

— Tak — przyznała dziewczyna. — Ale ja jestem słaba i lękliwa i mogę pokrzyżować twój wielki plan, jeśli...

— Milcz! — skarciła ją Binah. — Takie głupie domysły mogą spowodować katastrofę, której się tak boisz! Musisz nauczyć się spokoju i opanowania, moja droga, gdyż jest to cecha prawdziwej władczyni. Spójrz, jak spokojne są te kwiaty, przyjmujące pokarm od liści i korzeni, zawsze zwrócone ku słońcu, ukrywające w głębi serc nasiona. I umrą spokojnie, gdyż inaczej nasiona nie mogłyby zostać uwolnione.

— Proszę cię, pani... Przykro mi, jeśli wydaję się tępa. Czy moim przeznaczeniem jest umrzeć za mój kraj? — powiedziała Anigel z zakłopotaniem.

— Nie wiem — odparła Arcymagini. — Wiem jedynie, że masz do wykonania ważne zadanie, które zostanie ci wyjawione. Otrzymasz również znak: talizman oznaczający, że ma się rozpocząć ostatni bój o Ruwendę i twoją własną duszę. Twoja siostra Haramis już udała się w drogę. A twoja siostra Kadiya niedługo wyruszy na poszukiwanie swojego

przeznaczenia. Każda z was znajdzie własny talizman i z czasem trzy Płatki Żywego Trillium znów się spotkają. Nie mogę jednak dostrzec, czym się to wszystko zakończy.

Anigel zbladła jak ściana, ale stała spokojnie, nadal ściskając swój amulet.

— Czy ten dar, który ofiarowałaś mi przy urodzeniu, wskaże mi drogę?

— Tak, i to także — Arcymagini odłamała jeden z wielkich liści Czarnego Trillium i wyciągnęła przed siebie, wskazując nań drugą ręką. — Na tym liściu znajduje się odbity wizerunek naszego kraju. Przyjrzyj się uważnie! Jego żyłki tworzą mapę Ruwendy. Tutaj, na czubku, jest Noth, a wijąca się w dół złota żyłka to droga wodna, której brzegiem musisz pójść, by odnaleźć swój talizman. Najpierw w dół Notaru, potem z Górnego Mutaru do Dolnego.

Anigel przyglądała się liściowi, jednocześnie zakłopotana i zaintrygowana.

— Ależ ta złota żyłka biegnie dalej, na łodyżkę liścia! Spójrz, pani, to tutaj Mutar opływa Cytadelę, a ten znak to musi być jezioro Wum. Za nim jest Wielki Mutar, który płynie przez ziemie Wywilów i dzikich Glismaków! — Strach wyrwał z oczu dziewczyny. — Czy muszę tam iść? Do ciemnego Lasu Tassaleyo?

— Na to wychodzi — odparła Arcymagini. — Sama o tym nie wiedziałam, dopóki nie zerwałam liścia. — Pokiwała głową. — Taka daleka droga! Moje biedne kochanie... ale to wszystko znajduje się w dole rzeki, więc będziesz podróżowała szybciej niż dotąd.

— A moje zadanie...

— Zostanie ci to wyjawione. — Grymas bólu wykrzywił na chwilę twarz Binah. Zachwiała się na nogach. Immu, która I stała z szacunkiem w pewnej odległości, rzuciła się do przodu i chwyciła Białą Damę za ramię. Anigel ujęła drugie ramię Arcymagini i razem pomogły jej wrócić do chaty. Posadziły ją w wielkim, wyściełanym fotelu i przyniosły jej kubek wody.

— Nie przejmujcie się, moje drogie — powiedziała staruszka. — Nie umrę na waszych rękach. Jeszcze nie ukończyłam mojego dzieła. Po prostu jestem bardzo, ale to bardzo zmęczona.

Anigel zawahała się, potem otworzyła sakiewkę u pasa i wyjęła tykwę z mitonem.

— Uisgu dali mi to. Ma on dodawać sił i odwagi. Może...

— Podarowali go tobie — odparła zmęczonym głosem Binah. — Zatrzymaj go, lecz użyj tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne.

— A kiedy to się stanie? — spytała Anigel. Lecz oczy Binah zamknęły się, głowa opadła na pierś. Oddychała powoli i chrapliwie.

— Czy możesz mi przynajmniej powiedzieć, gdzie mam znaleźć mój talizman? — błagała Anigel.

— Na końcu łodyżki — szepnęła ledwie dosłyszalnie Arcymagini.

— Ale mi nie powiedziałaś, czym jest ten talizman! — krzyknęła z rozpaczą Anigel.

Binah westchnęła.

— Proszę! — Anigel o mało się nie rozplakała. — Powiedz mi tylko, czego mam szukać!

— Trójgłowego potwora — szepnęła Binah i zapadła w głęboki sen.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Zielony Głos zatrzymał się przed drzwiami królewskiej sypialni i z przepaszającym grymasem otworzył sakiewkę u pasa. Wyjął z niej trzy maski mające zasłaniać dolną część twarzy — dwie zielono–niebieskie dla siebie i swego towarzysza oraz jedną, bardziej ozdobną, srebrzysto–czarną dla swego pana.

— Powinniśmy je włożyć, zanim staniemy przed królem Voltrikiem — wyjaśnił Zielony Głos. — Obumieranie ciała u króla osiągnęło taki stopień, że smród buchający z rany gorszy jest od smrodu najobrzydliwszej kloaki. Silni mężczyźni wymiotują od niego, a słabsi mogą zemdleć. Wonne zioła, które umieściłem w maskach, pozwolą nam nie wchłaniać szkodliwych wyziewów przez pół godziny. Czy to wystarczy, Wielki Panie?

Orogastus skinął twierdząco głową. Jego oczy spoglądały srogo ponad maską, a jeśli nawet trwożyło go czekające nań zadanie, nie dał nic po sobie poznać, nawet w myśli, którą mogliby odczytać jego śludzy–telepaci.

Królewski medyk — pijany, zapłakany i przerażony możliwością utraty głowy — niechętnie przekazał swoją diagnozę Zielonemu Głosowi, kiedy czarodziej i jego pomocnicy byli jeszcze o pół dnia drogi rzeką od Cytadeli: mimo podania czarodziejskiej Zielonej Pastyłki, gangrena tak się rozwinęła, że Voltrikowi groziła śmierć. A jego lekarzowi brakowało odwagi, by zastosować jedyną kurację, która mogła uratować króla.

Kiedy te straszne wieści przekazano Orogastusowi, dotarł na miejsce w ciągu pięciu godzin za cenę tuzina ludzkich istnień, gdyż kazał chłostać wioślarzy. Teraz sam musiał podjąć próbę uratowania króla, którego śmierć oznaczałaby ruinę wszystkich jego ambicji i planów.

— Otwórz drzwi! — rozkazał Orogastus.

Zielony Głos uklonił się i wykonał jego polecenie.

Należąca niegdyś do króla Kraina sypialnia została pośpiesznie obita labornockim szkarłatem dla nowego właściciela. Było w niej teraz bardzo ciemno, oświetlały ją tylko węgle żarzące się na kominku i stojąca na stole jedyna świeca, miednica, bandaże oraz inne medyczne instrumenty i leki, z których pomocą nadworny lekarz daremnie próbował wyleczyć z zakażenia rękę króla Voltrika. Wielkie łoże, na środku komnaty na podwyższeniu, otoczone było pustymi krzesłami. Jego zasłony podwinięto.

— Zielony Głosie, przysuń dwa wielkie kandelabry do łoża i zapal je — rozkazał szybko czarownik, zniżając głos — potem usuń wszystko ze stołu i ustaw go jak najbliżej chorej ręki króla. Niebieski Głosie, przygotuj magiczne urządzenie. Myślę, że zdążyliśmy w ostatniej chwili.

Jakaś postać poruszyła się z jękiem pod prześcieradłami.

— Kto tam? Czy to ty, przeklęty cyruliku, przybyłeś, by mnie torturować przez swoje nieuctwo? Wynoś się! Przynajmniej pozwól mi umrzeć w spokoju!

— To ja, mój królu — odezwał się Orogastus. — I nie umrzesz. — Bardzo ostrożnie podniósł lewe ramię Voltrika, który wrzasnął z bólu.

— Ty bydlaku! Zostaw mnie! Twoja cudowna pastylka pomogła mi tylko na jeden dzień, a potem cierpiałem jeszcze bardziej niż przedtem. Ach, Zoto, zlituj się — to ich sprawka! Zbiegłych księżniczek! Rzuciły na mnie klątwę z daleka! To ich zemsta! Z ich powodu cierpię i jestem skazany na śmierć!

— Bredzi w gorączce — powiedział Orogastus. Z jakiejś ukrytej głęboko kieszeni obszernej szaty wyjął małą szkatułkę z zielonego malachitu i otworzył ją. Było w niej sześć kuleczek, które połyskiwały złościście i wydawały się przezroczyście w blasku świecy. — Została już tylko połowa — mruknął czarownik. Wydobył jedną i ostrożnie odłożył szkatułkę

z pozostałymi. Później wziął kielich z wodą i namówił Voltrika do połknięcia Złotej Pastylki. Król odetchnął głęboko i się odprężył.

Teraz Orogastus ostrym nożykiem przeciął szerokie bandaże na rękę pacjenta. Ułożywszy wyciągnięte ramię na stole, rozwinął je, odsłaniając ranę. Cała kończyna była gorąca, a czerwone pręgi sięgały od przegubu do pachy. Sama dłoń okropnie spuchła, czubki palców przybrały niebieskoczarną barwę, ciało gniło, odpadając płatami w okolicy ukąszenia. Rozszedł się taki smród, że nawet ziołowa maska przed nim nie chroniła. Czarownik podał bandaże Niebieskiemu Głosowi i kazał je spalić. Drugi pomocnik rozpakował skórzaną sakwę, wykładając jej zawartość na stół. Zielony Głos ujął zgangrenowaną kończynę, zaś Orogastus stanął obok głowy króla. Voltrik wychudł, był zaczerwieniony od gorączki, miał załzawione oczy, a tak starannie przedtem pielęgnowaną brodę zlepiał brud.

— Co robisz?! — zawołał monarcha unosząc się z wilgotnych poduszek. — Puśćcie moje ramię, wy zdradzieckie worramy! Wiem, coście za jedni! Posłały was te trzy ruwendiańskie wiedźmy, żebyście mnie wykończyli!

— Spójrz mi w oczy! — rozkazał Orogastus. — Spójrz i znajdź ulgę w cierpieniu! — Zamaskowany czarownik ujął w dłonie spoconą głowę Voltrika i odwrócił ku sobie — ich oczy się spotkały. Król jęknął, potem westchnął głęboko i opadł nieprzytomny na łożo.

Orogastus wrócił do stołu i wziął do ręki szczególne urządzenie. Miało kształt sześcianu, było srebrzystoniebieskie. Na jego szczycie znajdowały się rzędy czarnych i czerwonych, podobnych do brodawek narośli oznaczonych tajemniczymi symbolami oraz miniaturowa ramka z szarą nicością zamiast spodziewanego obrazka. Kiedy palce czarodzieja pobiegły po brodawkach, naciskając to jedną, to drugą, przestrzeń w ramce zaświeciła się i pojawiły się na niej ruchome linie barwnych hieroglifów. Stojący obok Głos aż jęknął ze zdumienia. Jedna z czerwonych brodawek rozjarzyła się i zmieniła barwę na złotą.

— Trzymaj ramię króla całkiem nieruchomo, o tak — rozkazał Orogastus. — Śpiewaj Pieśń Uzdrawiania, ale odwróć oczy, gdyż ta maszyna Zaginionych może oślepić człowieka, jeśli nie chroniony patrzy na jej działanie.

Czarownik umieścił tajemnicze urządzenie tuż przy królewskim łokciu, podczas gdy trzej jego słudzy zaczęli chóralny śpiew. Później wziął do ręki dziwaczną przyłbicę i osłonił nią oczy. A ponieważ wszystko było gotowe, przycisnął największą z brodawek. Z metalowego występu, niczym z pyska wystrzeliła wiązka oślepiającego, niebieskobiałego światła. Orogastus manipulował maszyną powoli, rozcinając królewskie ramię na kształt litery V.

Rozległ się głośny trzask, buchnął kłęb dymu. Kiedy promień zgasł, przedramię Voltrika było odcięte, a na blacie stołu znajdowało się wypalone piętno w kształcie V. Pieśń Uzdrawiania ucichła.

— Skończone — Orogastus zdjął przyłbicę i obejrzał kikut. Duże naczynia krwionośne były skauteryzowane, błyszcząca zaczerwieniona tkanka otaczała dwie białe kości. — Dobrze. — Śmiercionośna gangrena nie przeniknęła do głębi. Teraz Złota Pastylka może wyrzeć uzdrawiający wpływ, nie współzawodnicząc ze źródłem trucizny w chorym rękę — Nacisnął coś i wszystkie świecące miejsca na urządzeniu Zaginionych pociemniały. — Niebieski Głosie, zabierz odciętą kończynę i spal ją, uważając, by cię nie skalala. Zielony Głosie, przetrzyj dobrze stół oraz nietkniętą skórę na ramieniu króla spirytusem. Wytrzyj królowi czoło oraz skronie. Przynies świeżą bieliznę i pościel spod tamtej prasy. Opal nad ogniem czyste bandaże i owiń luźno kikut. Musi on oczyścić się z pewnych szkodliwych fluidów, zanim go zeszyję. Później wydam tobie i temu głupiemu medykowi polecenia dotyczące pielęgnowania kikutu, które muszą być skrupulatnie przestrzegane.

— Ten cyrulik ma być oszczędzony? — zapytał z lekkim zaskoczeniem Zielony Głos.

— Chyba że sam chcesz karmić króla kleikiem, zmieniać opatrunki i opróżniać królewski nocnik! Teraz zajmij się królem.

Kiedy pomocnicy zajmowali się Voltrikiem, Orogastus podszedł do podwójnego okna, odsunął ciężką czerwoną zasłonę i otworzył je na oścież. Na dworze jasno świeciło słońce i lekki wietrzyk wiał z pomocy. Gdy zgangrenowana kończyna została wreszcie spalona, a smród się rozwiął, Orogastus zdjął maskę. Jego urodziwa twarz była ściągnięta i blada, a wargi ponuro zaciśnięte. Już tak niewiele brakowało! No, ale przy troskliwej opiece i odpowiednim leczeniu król szybko wróci do zdrowia. Czarownik znów podszedł do królewskiego łoża.

— Usłysz mnie, Voltriku! — powiedział cichym, władczym tonem.

— Słyszę cię — mruknął król.

— Byłeś bliski śmierci, mój władco, a ja uratowałem cię, choć wszyscy inni wpadli w rozpacz. Będziesz żył. Czeka cię jeszcze cierpienie, ale za kilka tygodni odzyskasz siły. Ja, Orogastus, przyrzekam ci to uroczyście.

— Dziękuję ci — szepnął Voltrik. Oczy miał zamknięte. Gorączkowe rumieńce zniknęły z jego policzków. — Amputowałeś mi rękę?

— Tak, Wasza Królewska Mość.

— Niech więc tak będzie — westchnął król. — Dzięki niech będą litościwemu Zoto, że to nie prawa ręka. — Pojękiwał, gdy słudzy czarownika ubierali go w czystą bieliznę i podkładali czyste poduszki pod głowę i ramię. Orogastus osobiście nakrył kocem Voltrika, który potem otworzył oczy i powiedział słabym, lecz normalnym głosem: — Odeślij swoje sługi, gdyż chcę z tobą porozmawiać o sprawach najwyższej wagi.

— Za godzinę ruszajcie do mojej wieży na górze Brom — czarownik zwrócił się do Głosów. — Dopilnujcie, żeby moja eskorta była dobrze uzbrojona i dosiadała najszybszych i najsilniejszych froniali.

— Tak jest, wszechmocny panie. — Słudzy odeszli, zamykając za sobą drzwi.

— Odjeżdżasz?... — Król był przerażony.

— Moi pomocnicy dopilnują, byś był pod dobrą opieką. Muszę wrócić do Labornoku, by zajrzeć do lodowego zwierciadła w mojej górskiej twierdzy. Tylko za pomocą tego potężnego urządzenia mogę odnaleźć twoich wrogów.

— Właśnie o tym chciałem z tobą mówić. — Król westchnął głęboko. — Są jakieś wieści z Trevisty o tych trzech zbiegłych dziewczynach?

— Nie ma żadnych. Przywódczyni tubylców kategorycznie odmówiła współpracy przy poszukiwaniach. Powiedziała, że jeśli spróbujemy zmusić do tego jej współplemieńców, ustanie wszelki handel między nami i nimi.

— Musimy znaleźć te księżniczki! — Król zaklął z jękiem.

— Moi akolici i ja wytężyliśmy nasze moce do ostatecznych granic, przeszukując nie tylko zamieszkane przez Odmieńców miasto, ale i najdalsze zakątki Ruwendy. Nasze wysiłki poszły na marne. Jakiś potężny czar przeszkadza mojemu czarodziejskiemu wzrokowi, nawet gdy go wzmacniam przez połączenie umysłów. Podobno trzy zbiegłe księżniczki noszą amulety zawierające pączki Czarnego Trillium. Może to one je osłaniają. Ta roślina jest związana z czarownicą Binah, strażniczką Ruwendy. Możliwe, że skupiła całą swoją słabnącą moc, by chronić swe podopieczne.

— Czy twoje zwierciadło będzie w stanie usunąć i zniszczyć ten jej urok?

— Z całą pewnością. Zasila je moc Zaginionych. Żadne czary w znanym mi świecie nie mogą przeszkodzić jego dalekowidzącemu oku. Może sięgnąć wzrokiem na odległość pięciu tysięcy mil, na sam zachodni kraniec kontynentu, gdzie żyją upierzeni barbarzyńcy. Nie obawiaj się, mój królu. Zlokalizuję wszystkie księżniczki, bez względu na to, gdzie się ukryły.

— A więc wytropisz te diablance. Co wtedy? Mogły się wymknąć już na długo przed twoim powrotem do Ruwendy.

— Pozostaw to już mnie, mój królu — roześmiał się Orogastus. — Czerwony Głos pozostał w Treviscie wraz z garnizonom, czekając na rozkazy. Kiedy odnajdę zbiegłe dziewczyny, przekażę każdemu z moich Głosów wieść, gdzie one się znajdują, i od razu wyślą po nie żołnierzy. Moi pomocnicy będą ich prowadzili, a ja będę bez przerwy przekazywał informacje o ruchach księżniczek, aż zostaną pojmane i potraktowane tak, jak na to zasługują.

— To dobrze. To bardzo dobrze. — Król milczał kilka chwil, potem zapytał: — Te dziewczyny rzeczywiście sprawiły, że moja rana się zakaziła, prawda?

— Takie rzeczy mogą być zarówno rezultatem czarów, jak i wynikać z normalnego biegu wydarzeń. Wasza Królewska Mość, w każdym razie już wkrótce poczujesz się dobrze.

Niestety, chorobę, na którą zapadłeś, można wyleczyć tylko przez zastosowanie najdrastyczniejszych środków.

Voltrik znów zamknął oczy. Krzywy uśmiech zaigrał na jego bladych wargach.

— Ale ty interweniowałeś na czas. I dlatego mój drogi syn Antar będzie musiał obejść się bez korony, którą miał prawie w zasięgu ręki.

— Następca tronu zachowywał się z godnością i z honorem w Treviscie — powiedział obojętnym tonem czarownik — i modlił się o twoje zdrowie.

— Hmmf! Twój Zielony Głos przekazał swoim braciom wizję spotkania Antara z Mówczynią Odmieńców z Trevisty. Ten przeklęty chłopak ugiął się pod jej naciskiem jak weselny kołacz na wietrze w porze monsunu! — Powieki króla uniosły się. — Co o tym myślisz, czarowniku? Czy mój syn jest lojalny wobec mnie?

— Przekonamy się o tym, mój królu, gdyż księżę Antar na pewno będzie dowodził jednym z oddziałów wysłanych na poszukiwanie zbiegłych księżniczek.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Taramis następnego ranka obudziło słońce świecące jej w oczy. Coś było nie w porządku. Dopiero po chwili sobie sprawę, że zaniepokoiła ją cisza. Uzun zawsze wstawał wcześniej od niej, dlatego zwykle budziła się słysząc je krzątanie i podśpiewywanie pod nosem. Teraz był już ja dzień, wiatr ucichł, ptaki milczały, a Uzun nie wydawał żadnego dźwięku, nawet nie chrapał.

Księżniczka odwróciła głowę i spojrzała na śpiwór swego przyjaciela, oparty o głaz. Sądząc po wypukłościach, w nim był. Haramis niechętnie wypelzła ze swojego worka. Było znacznie chłodniej niż minionej nocy. Mrużąc oczy przyjrzała się bezchmurnemu niebu i poniewczasie zrozumiała, że widziane wczoraj chmury zapowiadały nadejście mrozów.

Podpełzła do Uzuna i odsunęła górę śpiwora, by zobaczyć jego twarz. Była nieruchoma i bez wyrazu. Haramis uznała, że widzi trupa.

— Władcy Powietrza! — szepnęła z przerażeniem. — Powinam była odesłać go wczoraj, nie, kilka dni wcześniej! — Chwyliła małego Odmieńca za ramiona i potrząsnęła nim gwałtownie. — Proszę cię, Uzunie, obudź się! Musisz żyć! Proszę!

Gało Uzuna bezwładnie zakołysało się w jej uścisku. Haramis, przywołując resztki rozsądku, przypomniała sobie, że zwłoki sztywnieją. Może jednak Uzun żyje?...

Położyła go delikatnie na ziemi, ściągnęła z lewej ręki rękawiczkę i zatrzymała dłoń tuż nad jego ustami. Miała wrażenie, że upłynęło całe życie, nim poczuła jego oddech, i cała wieczność, nim ponownie zaczerpnął powietrza. Żył, ale należało przenieść go do jakiegoś cieplejszego miejsca i to szybko!

Otuliła Odmieńca jego śpiworem i poszła po swoje rzeczy, które ułożyła w pobliżu Uzuna. Spojrzała z niepokojem na niebo. Dzisiaj śnieg nie będzie padał, a jeśli dopisze jej szczęście, wróci tu jutro po sakwę. Powinna pozostać nie tknięta, w tej okolicy nie było zwierząt, które mogłyby się nią zainteresować.

Zarzuciła na plecy sakwę Uzuna i podniosła go, nadal zakutanego w śpiwór. Otrząsnąwszy zeń śnieg, wsadziła go do własnego śpiwora. Dodatkowa warstwa izolacyjna powinna mu pomóc, choćby nawet trudno jej było nieść ten wielki ciężar. Na szczęście Uzun nie ważył dużo, a ścieżka prowadziła w dół z boczka.

Haramis poruszała się dość prędko, zwłaszcza w miejscach, gdzie wpadała w poślizg. Zatrzymywała się wbijając pięty w śnieg. Ani razu przy tym nie wypuściła z objęć Uzuna. Przed południem znalazła się poza polami śniegowymi, a w południe na miejscu poprzedniego obozu.

Była to skalna nisza, sucha i osłonięta przed wiatrem, teraz zalana promieniami słońca stojącego w zenicie. Nawet skały były tu ciepłe. Haramis posadziła Odmieńca przy tylnej ścianie i wyruszyła na poszukiwanie drewna na ognisko. Przedtem to Uzun się tym zajmował, ale księżniczka przypomniała sobie, w jakim kierunku wtedy patrzył i niebawem znalazła chrust. Po powrocie sprawdziła stan Uzuna. Wciąż nie odzyskiwał przytomności, lecz oddychał już szybciej i Haramis uznała to za dobry znak. Rozpaliła ognisko jak najbliżej Odmieńca i zaparzyła herbatę. Uzun niezmiennie spał, ale zapach herbaty przypomniawszy dziewczynie, że od wczoraj nic nie miała w ustach, wypila więc kilka łyków i uszczupliła nieco zapasy Uzuna. , Uznała, że w drodze na południe nie będzie potrzebował tak dużo żywności. Będzie przechodził przez miejsca, gdzie łatwo znaleźć coś do jedzenia. Po posiłku poczuła się znacznie lepiej. Posadziła Odmieńca i ostrożnie wlała mu do ust odrobinę herbaty. Ku jej ogromnej uldze ocknął się, gdy ciepły napój dotknął jego ust. — Ostrożnie, Uzunie — mruknęła. — Przelknij.

Posłuchał jej i zdołała go nakłonić do wypicia jeszcze kilku łyków, zanim odepchnął garnuszek.

— Bardzo zmęczony — powiedział niewyraźnie.

— Ja także jestem zmęczona — przyznała Haramis. Powiedziała prawdę. Była wyczerpana. Wypiła resztę herbaty, oparła się plecami o skałę i położyła Odmieńca na kolana. Może bliskość jej ciała pomoże: miała ciepłą krew i powinna wydzielać choć trochę ciepła. A słońce tak miło przygrzewało. Zamknęła oczy i zwróciła twarz ku światłu.

— Książniczko! — Brzemień na jej kolanach wierciło się jak oszalałe. — Co my tutaj robimy? Przecież nasienie trillium nie mogło się tak wcześnie zatrzymać... — Uzun kręcił głową na wszystkie strony, próbując zorientować się w sytuacji. — Gdzie jesteśmy? Co się stało?

Haramis potrząsnęła głową dla rozjaśnienia myśli. Zazwyczaj nie spała za dnia — zdarzało się to tylko wtedy, gdy chorowała — czuła się więc oszołomiona, jakby domieszano jej do jedzenia narkotyku lub trucizny.

— Herbaty. — Znalazła po omacku garnuszek i podniosła się z trudem, zsuwając Uzuna z kolan.

Uzun wypełzł z obu śpiworów.

— Zaparzę ją — powiedział.

Wziął od Haramis garnek, dołożył dREW do ognia i zagotował wodę. Obserwowała go sennym spojrzeniem. Wyglądało na to, że przyszedł do siebie. Czy Odmieńcy mogą najpierw zamrznąć, a potem odtajać bez uszczerbku dla zdrowia? Wydało się jej to nieprawdopodobne. W każdym razie Uzun żyje, ma się dobrze i będzie mógł wrócić sam.

Przyniósł jej herbatę. Sączyła ją powoli, czując, jak odzyskuje jasność umysłu. Wypiła połowę i podała resztę Odmieńcowi.

— Uzunie — zaczęła, chcąc się z nim podzielić spostrzeżeniami, które poczyniła podczas schodzenia ze zbocza. — Jestem przekonana, że za dużo czasu spędziliśmy w bibliotece i w sali koncertowej. Zachowywaliśmy się niczym para głupich bohaterów z piosenki — jakbyśmy mieli z góry zapewnione powodzenie w naszych poszukiwaniach i nie potrzebowali inteligencji czy zdrowego rozsądku. Biała Dama uprzedziła mnie, że będę musiała rozstać się z tobą przed dotarciem do celu podróży, ale nie powiedziała, iż stanie się tak dlatego, że zaciągnę cię w wyższe partie gór, gdzie panują wielkie mrozy, których twoje ciało nie wytrzyma, i zamarznie w drodze. Odmieniec uważnie rozejrzał się po otoczeniu.

— Znam to miejsce. Czy nie tutaj zatrzymaliśmy się ostatniej nocy?

— Nie — odrzekła Haramis. — To nasze obozowisko sprzed dwóch nocy. Obudziłam się dziś rano i znalazłam cię prawie zamrożonego na śmierć. Początkowo myślałam nawet, że nie żyjesz! Twoja skóra była zimna jak powietrze i oddychałeś tak powoli, iż upłynęło trochę czasu, nim się upewniłam, że żyjesz. — Wzdrygnęła się na to wspomnienie. — Wsunęłam cię do swojego śpiwora i zniosłam tu, na dół, w nadziei, że odtajesz i odżyjesz. — Odetchnęła głęboko. — Udało się, dzięki Trójjednemu Bogu. Z tobą wszystko w porządku, prawda? — dodała z niepokojem.

Jej opowiadanie wstrząsnęło Uzunem, ale po chwili namysłu skinął twierdząco głową.

— Czuję się dość dobrze — rzekł. — Nadal jest mi zimno, lecz to nic poważnego. Później poczuje się lepiej.

— To dobrze — powiedziała Haramis. — Teraz, gdy znalazłeś się poza strefą śniegu, będziesz mógł sam wrócić do Trevisty, ja zaś ruszę w dalszą drogę. — Poszukała w jego sakwie przyborów wędkarskich. — Teraz wsuń się do śpiworów i odpocznij. Zobaczę, czy uda mi się złowić rybę na kolację. Jeśli mi się powiedzie, będziemy mieli pożywienie i na jutrzejszy dzień.

— Ależ książniczko, stracisz przynajmniej dwa dni! — zaprotestował Odmieniec. — I mogą skończyć ci się nasiona, tak że nie będziesz miała przewodnika.

— Już straciłam dwa dni, stary przyjacielu — westchnęła Haramis. — Nawet gdybym zaraz zawróciła, dopiero przed świtem dotarłabym do naszego ostatniego obozowiska —

zakładając, iż będę iść przy świetle księżyców równie szybko jak za dnia, w co bardzo wątpię. Jutro nie będę wszakże potrzebowała nasionka trillium, gdyż schodząc starałam się zapamiętać punkty orientacyjne. Mogę więc wracać bez pomocy. W dodatku wszystko wskazuje, że dziś w nocy śnieg nie będzie padał, więc pójdę po własnych śladach. Dlatego przestań się niepokoić o mnie, pozostań tylko przy ognisku i odpoczywaj. Na Trójjednego Boga, Uzunie, o mało nie umarłeś!

— Sądzisz, że nie cieszyłbym się mogąc umrzeć w twojej służbie? — zapytał urażony Odmieniec.

— Jestem przekonana, że umarłbyś — burknęła gniewnie Haramis. — Właśnie to miałam na myśli mówiąc, że w naszych umysłach pobrzmiwały stare ballady. Zapewniam cię, że kiedy brnęłam w śniegu taszcząc przyjaciela z lat dziecińczych, który mógł umrzeć, ponieważ byłam za głupia, by zauważyć, iż rozchorował się z zimna, nie szukałam w myśli rymów do pieśni o jego bohaterskiej śmierci. Byłam głupia, że nie zauważyłam, jak się rozchorował, a ty postąpiłeś równie głupio nie mówiąc mi o tym. Twoja śmierć w niczym nie pomogłaby Ruwendzie, a mnie napełniłaby smutkiem i poczuciem winy. Strata dwóch dni to niewielka cena za twoje życie. Być może... — ciągnęła w zamyśleniu — być może królowa czasem musi poświęcić życie jednego ze swych poddanych, ale, na Władców Powietrza, jeśli kiedykolwiek przyjdzie mi tak uczynić, to tylko z ważnego powodu!

— Czy nie dałabyś mi szansy, bym był wierny aż do śmierci? — zapytał urażony Odmieniec.

— Bynajmniej — zapewniła go Haramis. — Po prostu uważam, że nie jest to odpowiedni moment, byś umierał w mojej służbie. Przecież jeśli teraz umrzesz, to kto będzie moim nadwornym muzykiem, gdy odzyskam tron? I kto nauczy moje dzieci grać na flecie z drzewa fipple?

Uzun rozpromienił się słysząc te słowa.

— Dobrze, księżniczko, jeśli tak sobie życzysz. Wrócę do mojej ojczyzny i zaczekam, aż wstąpisz na tron, a ja — na twoją służbę.

— Ja również niecierpliwie czekam na ten dzień — odrzekła z uśmiechem Haramis, otulając go ciaśniej drugim śpiworem. — Śpij teraz, mój przyjacielu. — Powieki Uzuna opadły, a księżniczka przesunęła dłonią po jego czole. Było znacznie cieplejsze. Odzyska siły. Mrugając oczami, by nie rozplakać się z radości, poszła nad rzekę łowić ryby.

— Księżniczko, obudź się! — Uzun szarpał ją za ramię. — Dzisiaj będzie padał śnieg, więc musisz wyruszyć jak najwcześniej.

Haramis otworzyła oczy. Tak, niebo zasłoniły ciężkie, ołowiane chmury czekające na odpowiedni moment, by zasypać śniegiem całą okolicę. Jęknęła i usiadła z trudem. Nie odpoczęła jeszcze po wzmożonym wysiłku poprzedniego dnia. Niosąc Uzun używała niektórych mięśni po raz pierwszy w życiu. Teraz bolały ją ręce i ramiona.

Odmieniec krzątał się przy ognisku, przygotowując herbatę. Potem przyniósł ją Haramis.

— Księżniczko — rzekł rozglądając się dookoła — gdzie jest twoja sakwa?

— Zostawiłam ją wczoraj w ostatnim obozowisku — powinnam tam po nią wrócić, zanim zasypie ją śnieg! — Haramis pośpiesznie wypila herbatę, wstała, zwinęła swój śpiwór i obwiązała go wokół pasa. — A ty, Uzunie, lepiej odejdz stąd jak najszybciej! Chyba nie chcesz, by zaskoczył cię śnieg?

— To prawda — zgodził się Odmieniec, wsuwając jej do ręki spory kawał suchara. — Jedz to po drodze i niech Władcy Powietrza będą z tobą!

— I z tobą, mój przyjacielu! — Haramis uściśnęła go mocno, czując ból rozstania, a potem ruszyła z powrotem ścieżką. Przynajmniej nie musiała obserwować lecącego nasienia i mogła skupić uwagę na tym, gdzie stąpała. Przynajmniej dopóki śnieg nie spadnie...

Idąc z mniejszym obciążeniem znajomym już szlakiem pięła się szybko w górę. Przebyła połowę drogi, kiedy zaczął padać śnieg. A gdy dotarła do skały, pod którą obozowali wraz z Uzunem dwie noce temu, jej sakwę okrywała gruba warstwa białego puchu.

Odkopła ją, zjadła kilka kawałków suchara i wyźłobiła legowisko pod skałą od zawietrznej strony. Było już bardzo ciemno. Nie opłacało się rozpalać ogniska, gdyż padający śnieg szybko by je zgasił. Wsunęła się więc do spiwora, wciągnęła do niego również sakwę i czekała na sen.

Była jednak bardzo poruszona przeżyciami minionego dnia i nie mogła tak łatwo się uspokoić. Nigdy nie czuła się taka osierocona i samotna jak teraz. Nagle uświadomiła sobie, że oto po raz pierwszy w życiu naprawdę jest zupełnie sama. Przed labornocką inwazją zawsze miała wokół siebie rodziców, siostry, Uzuna i resztę mieszkańców Cytadeli. Od upadku twierdzy Uzun nie odstępował Haramis, z wyjątkiem kilku godzin, które spędziła w towarzystwie Arcymagini. I chociaż czasami pragnęła samotności, teraz, kiedy ją znalazła, wcale nie była pewna, czy jej się to podoba.

Oprócz samotności niepokoiły ją inne sprawy. Przede wszystkim zaś Uzun. Modliła się do Władców Powietrza, żeby bezpiecznie opuścił góry. Teraz jednak, gdy miała czas zastanowić się nad wszystkim, nasunęło się jej kilka pytań. Dlaczego Uzun nie przyznał się, że nie może dalej iść, aż omal nie zamarł na zawsze? Dlaczego Arcymagini nie poradziła jej, by pozostawiła Uzuna, zanim wejdzie na pola śniegowe, a zamiast tego powiedziała tylko, że stary muzyk opuści ją przed znalezieniem talizmanu? Tak, oboje jej bardzo pomogli, ale Uzun mógłby przy tym zginąć!

Oczywiście, wina leżała zarówno po jej, jak i po ich stronie. Ona źle osądziła sytuację, lecz tamci dwoje są od niej starsi. Czyż nie powinni być mądrzejsi?

Jestem królową Ruwendy, pomyślała rzeczowo. I cała odpowiedzialność spada na mnie, nadal jednak potrzebuję rady kogoś, komu mogę zaufać. A w jakim stopniu mogę ufać każdemu z nich? Uzun chyba nie zauważa swoich słabych stron, w każdym razie nie bardziej niż Kadiya, a jeśli nawet je dostrzega, nie przyzna się do tego bez sprzeciwu. A co do Arcymagini, czyż nie uznała go za dostatecznie ważną osobę, by się tym martwić?

Poniewczasie zdała sobie sprawę, że nawet jej ukochani rodzice nie byli mistrzami sztuki życia i dyplomacji. Zaborcze plany Labornoku wobec Ruwendy były dobrze znane na ruwendiańskim dworze. I chociaż Haramis nawet przez chwilę nie zamierzała poślubić Voltrika, jej rodzice mogli przynajmniej udawać, że prowadzą negocjacje w tej sprawie, albo wyrazić troskę z powodu wielkiej różnicy wieku między Haramis a Voltrikiem i w zamian zaproponować rękę córki synowi władcy Labornoku. Jak on miał na imię? Ach, tak, księżę Antar. Jeśli zaś Ruwenda pragnęła sojuszu z Varem, a na pewno był to niezły pomysł, to przecież Haramis nie była jedyną królewską córką. Wprawdzie trudno jej było wyobrazić sobie Kadiję jako czyjąkolwiek żonę, lecz Anigel świetnie się nadawała na małżonkę, która by przypieczętowała przymierze. Była taka łagodna i uległa, że umiałaby współżyć z każdym. A jeśli ona, Haramis, mogła o tym wszystkim myśleć w wolnej chwili, to co robili jej rodzice i ich doradcy? Ufali Białej Damie? Najwyraźniej trzeba znać nie tylko zdolności, ale i zamiary tych, kogo pyta się o radę, albo na kim się polega, zdecydowała. Kto więc mógłby teraz jej pomóc, jeśli ktoś taki w ogóle istniał? Zastanawiając się nad tym, Haramis zasnęła głęboko.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Księżniczka Anigel omal nie zemdląła, kiedy Biała Dama wyjawiała jej naturę talizmanu, który musi odnaleźć. Trzygłowy potwór! Taka perspektywa przestraszyłaby nawet odważną Kadię lub pewną siebie Haramis. Śmiechu wart jest pomysł, że ona, Anigel, ma znaleźć i ujarzmić takiego stwora. Nie, to niemożliwe!

Zanosząc się od płaczu, powtórzyła wszystko Immu (Arcymagini tymczasem zasnęła i nie można się było jej dobudzić), ale ta doradziła jej zachować cierpliwość.

— Istnieją różne rodzaje potworów — powiedziała Immu — i nie wszystkie są podobne do Skriteków z ich świecącymi oczami oraz szarpiącymi zdobycz kłami i pazurami, gdyż to słowo ma wiele znaczeń. Dopóki nie zobaczysz na własne oczy tego potwornego talizmanu, księżniczko, lepiej powstrzymaj się od wydawania sądów o tym, czy powinnaś się go bać, czy też nie.

Zdroworozsądkowa rada Immu w pewnym stopniu pocieszyła księżniczkę. Ponieważ Biała Dama spała głębokim snem, Anigel i jej piastunka rozgościły się w chacie, korzystając z dobrze zaopatrzonej spiżarni zjadły ugotowaną przez siebie wspaniałą kolację, i w końcu zasnęły na podłodze przed ogniskiem, każda po jednej stronie Arcymagini, na wypadek, gdyby potrzebowała ich pomocy.

Rano Arcymagini zniknęła.

Zniknęła również jej chata, schludne podwórko ze szczypiącymi trawę togarami, Czarnym Trillium i małym sadem, nawet kamienne schodki i nabrzeże, do którego przybiły łódką.

Anigel i Immu ocknęły się w swoich spiworach na porośniętym dzunglą zboczu pod wielkimi liśćmi bruddoku, rośliny zwanej przez Nyssomu „przyjacielem wędrowca”, z powodu dających schronienie liści i słodkich, soczystych owoców. Jediną wskazówką, że nie znajdowały się na dzikim pustkowiu, były ruiny Noth, widoczne za drzewami rosnącymi na drugim brzegu rzeki.

Anigel najpierw krzyknęła z przerażenia i zaskoczenia, a potem wybuchnęła płaczem. Przez chwilę nawet przebiegło jej przez myśl, czy ich spotkanie z Arcymaginią nie było snem. Znalazła wszakże pod swoim spiworem duży zielony liść, ze złotą żyłką wyznaczającą jej marszrutę.

— Spójrz, spójrz, spójrz! — zawołała nagle Immu, przechadzając się nad wodą. — Biała Dama pozostawiła nam podarek!

Pociągając jeszcze nosem, Anigel wypłynęła ze spiwora i zeszła na brzeg laguny. Wśród wysokich trzcin i żółtych kwiatów ukryta była łódka. Nie ta, spleciona z trzcin przez Uisgu, którą tu przypłynęły, ale większa, wyżłobiona przez Nyssomu z pnia drzewa kała, taka jakie pływały wokół Cytadeli. Tylko jedno różniło ją od tamtych: częścią konstrukcji była mocna belka, do której przywiązano parę postronków, a na dziobie — bliźniacze pierścienie. Przewleczone przez nie rzemienie leżały na przedniej ławce wioślarza. Ich końce ginęły w ciemnej wodzie.

Anigel przez chwilę przyglądała się temu urządzeniu, zastanawiając się, do czego może służyć.

— Nie sądzisz, że... — zaczęła, a potem wrzasnęła z zaskoczenia, kiedy dwie duże głowy, porośnięte cętkowanym zielonym futrem, wynurzyły się z wody, mrugnęły wielkimi czarnymi oczami, nastroszyły wąsy i szczerząc kły, syknęły ostrzegawczo.

— Rimoriki! — zawołała Immu. — Och, Boże...

— Ale... ale nie ma tu Uisgu, żeby nimi powozili — wyjąkała księżniczka.

— A jednak wydaje się, że Arcymagini chce, żebyśmy posłużyły się tym bardzo skutecznym środkiem transportu.

Anigel zagryzła wargi. Nie potrafiła spojrzeć Immu w oczy.

— Czy sądzisz, że dasz sobie z nimi radę? — szepnęła cichutko.

— Nie, księżniczko — odrzekła z powagą kobieta Nyssomu. — Te zwierzęta współpracują tylko z przyjaciółmi, którzy piją święty miton.

Drżąc na całym ciele Anigel zwróciła się do rimorików:

— Czy to Arcymagini posłała was, byście nam pomogły?

Jedyną odpowiedzią był pełen złości syk. Rimoriki niecierpliwie zanurzyły się w wodzie i znów wynurzyły, odsłaniając uprząż łączącą je z łodzią, która zakołysała się gwałtownie w powstałych falach, szarpiąc jednocześnie cumę przywiązaną do skały na brzegu.

Księżniczka zamknęła oczy.

— Immu, czy możesz napić się mitonu?

— Nie, moje dziecko — odpowiedziała łagodnie piastunka. — Uisgu podarowali go tobie... i teraz wiemy dlaczego. — Pozostawiwszy Anigel samej sobie, poszła po rzeczy. Zerwała też kilka owoców bruddoku na śniadanie. Włożyła sakwy do łodzi i podała księżniczce szkarłatną tykwę z mitonem.

Anigel wzięła ją. Oczy miała szkliste, a policzki mokre od łez. Wyjęła korek i podniosła tykwę tak, by rimoriki ją zobaczyły.

— To ja muszę się napić, prawda?

Wielkie wodne zwierzęta zamknęły pyski i zanurzyły się znów w lagunie. Tylko ich nosy i spoglądające podejrzliwie oczy wystawały nad wodę. Znieruchomiały, obserwując Anigel.

Księżniczka jedną ręką sięgnęła po amulet. Drugą podniosła tykwę ze świętym napitkiem do poblady ust. Wypiła łyżeczek i nagle...

— Widzisz, bracie, jak ta człowiecza kobieta się nas boi — usłyszała w swoim umyśle.

— Jeszcze bardziej obawia się mitonu, a przecież się go napiła. Człowieku! Czy nas słyszysz? Czy chcesz być naszą przyjaciółką?

— Tak — szepnęła Anigel.

— Wiec zanurz dwa palce w mitonie, wejdź do wody i podziel się z nami tym napitkiem.

Posłuchała oszołomiona, i zatknęła skraj szaty za pas. Ciepły muł laguny wciskał się między palce jej nóg, kiedy szła tam, gdzie woda sięgała jej do kolan. Wyciągnęła dłoń z brązowym płynem kąpiącym z palców.

Dwa wielkie zwierzęta podpłynęły do niej, oparły przednie kończyny na dnie i otworzyły pyski. Rozwinęły podobne do bieży, ostro zakończone języki, którymi mogły przebijać łuskowate ciała ryb jak włóczniami. Anigel zdawało się, że z daleka obserwuje siebie samą, patrzy na jakąś fantastyczną sztukę, w której stojąca w wodzie dziewczyna i rimoriki są tylko aktorami. Najpierw jednym palcem, a potem drugim dotknęła straszliwych języków. A kiedy rimoriki przełknęły miton, ich pyski zmieniły wyraz: promieniowały życzliwością, a nie dzikością jak dotąd — i już się ich nie bała.

Anigel zakorkowała tykwę i wsadziła ją do sakiewki, w której leżał już liść Czarnego Trillium. Miała zawroty głowy. Kolory bagiennego listowia, zarośniętej algami wody w lagunie, nawet barwa rzeźbionej łódki wydawały się ostrzejsze i jaskrawsze niż zwykle. Czula subtelne zapachy, których do tej pory nie zauważała. Słyszała też tyle dziwnych i zbyt głośnych dźwięków, że na chwilę rozbolały ją uszy. Jej ciało pokryło się gęsią skórką, wzdragając się przed lekkim tchnieniem wietrzyka i dotknięciem ubrania, które nagle wydało się jej ciężkie i drapiące. Lecz za to prądy wody pieściły jej nogi, a miękki jak aksamit muł gładził stopy.

— Miton cię zmieni.

— Na początku miton zwiększa twoją zdolność postrzegania, przeciążając twe słabe ludzkie zmysły. Ale to złe samopoczucie minie. Staniesz się silna i dzielna tak jak my.

— Tak... czuję się już lepiej — powiedziała na głos.

— To dobrze. To świadczy, że możemy zaprzyjaźnić się z człowiekiem. Ty będziesz się dzieliła z nami swoją inteligencją, a my przekazemy ci naszą odwagę i siłę.

— Nazywacie mnie inteligentną. Nigdy tak o sobie nie myślałam. Zrobię jednak wszystko, by taką się stać, jeśli tylko użyczycie mi odwagi, gdyż bez niej największa nawet inteligencja nie pomoże mi w znalezieniu tego, czego szukam.

— Biała Dama poleciła nam, byśmy ci pomagali. Zrobimy, co możemy.

— Czy macie jakieś imiona?

— Nie mogłabyś ich wypowiedzieć. Nazywaj nas przyjaciółmi.

— Co... co teraz zrobimy?

Anigel usłyszała w myślach śmiech rimorików. Ale to stara dobra, zgryźliwa Immu odpowiedziała:

— Zrobimy, zrobimy, zrobimy! I to ty masz być najinteligentniejsza z nas wszystkich? Co za ironia losu! Las Tassaleyo jest o trzysta mil stąd, a my nie możemy nawet rozpocząć poszukiwań twojego talizmanu, póki tam nie dotrzemy. Może jednak wejdiesz do łodzi, głupiutka dziewczyno, weźmiesz wodze i wreszcie ruszymy w drogę!

Rimoriki jakby dobrze wiedziały, którędy płynąć, i kierowały się wskazówkami, które Anigel dostrzegła na liściu Czarnego Trillium. Mknęły przez wody Notharu niczym nie skrępowane nie przestrzegając żadnych środków ostrożności, wiedziały bowiem, że Labornokowie nie mogli pływać po tej rzece. Anigel nie znalazła śladów Kadiyi. Rimoriki nie potrafiły jej też powiedzieć, co się z nią stało. Kiedy łódka wpłynęła na szerszy Górny Mutar, Anigel poleciła swoim rumakom zwolnić nieco i płynąć ukradkiem bliżej brzegu, by nie dojrzały ich oczy nieprzyjaciela. I rzeczywiście, niebawem natknęli się na sześć łodzi pełnych labornockich żołnierzy przeszukujących wody wokół Trevisty. Zajmowali się oni swoimi sprawami i nic nie zauważyli, mimo że jedną z labornockich łodzi zbiegowie minęli w odległości mniejszej niż dwadzieścia elli.

Co wieczór znajdowali bezpieczne obozowisko. Anigel stojąc w płytkiej wodzie, wypręgała rimoriki, które wymykały się na polowanie. Częścią złowionych ryb i upolowanych wodnych zwierząt dzieliły się z nową przyjaciółką. Rano kobiety znajdowały leżącą w pobliżu obozu zdobycz. Lecz codziennie zanim Anigel mogła znów zaprząć rimoriki, musiała pić miton, a potem dzielić się nim z tymi niezwykle zwierzętami.

Czwartego dnia podróży w dół rzeki księżniczka obudziła się w pełnej ciszy ciemności tuż przed świtem, gdy nocne istoty wreszcie umilkły, a te, które prowadziły dzienny tryb życia, jeszcze się nie obudziły. Gęsta mgła otuliła ich maleńkie obozowisko na wysepce w okolicy Trevisty. Liście ociekały wodą. Obudziła ją jakaś zbłąkana kropla, spadająca z przewróconej do góry dnem łodzi, która dała im schronienie.

Spała i nic jej się nie śniło.

Leżała w swoim śpiworze, ściskając z całej siły amulet, słysząc tylko nieregularnie kapanie kropli rosy i ciche chrapanie Irnmu. Odkąd wraz ze swoją piastunką zasnęła na podłodze zaczarowanej chaty Białej Damy, nie nawiedzały jej już sny o suszy i ogniu. Dziwne, że dotąd tego nie zauważyła...

Czy rzeczywiście wyleczyłam się z tchórzostwa? — zapytała się w duchu. Nie, to niemożliwe. Wiedziała, że nadal panicznie się boi — boi się, że schwytają ją i zabiją labornoccy żołnierze, przeraża ją nieprzebyty Las Tassaleyo i zamieszkujący go dzicy, nieznani tubylcy, ale najbardziej obawia się straszliwego talizmanu, który ma odszukać Trójgłowego Potwora.

A jednak przestały ją dręczyć nocne koszmary — ostrzeżenia jej tajemnego ja. Co to miało oznaczać? Chciała zapytać Immu, ale ta spała głębokim snem, mamrocząc niekiedy coś w swoim języku, i księżniczka nie miała serca ją budzić.

Anigel znów zapadła w sen.

W górę i w dół Dolnego Mutaru pływało wiele łodzi wyładowanych żołnierzami i prowiantem. Wydawało się, że zwycięzcy zarekwirowali całą ruwendiańską flotę handlową — lecz ani Anigel, ani Immu nie mogły odgadnąć, w jakim celu. O mało nie wpadły im w ręce pewnego ranka, kiedy przyśpieszając na zakręcie spotkały w niewielkiej odległości szeregiem płynące prosto na nie labornockie łodzie. Anigel chwyciła amulet, próbując uczynić niewidzialnymi siebie i Immu, ale czar nie podziałał. Zanim jednakże zdążyła wpaść w panikę, rimoriki nagle zmieniły kurs pod kątem prostym i ukryły łódkę za wielkim pływającym pnem. Labornokowie, na wpół oślepieni wschodzącym słońcem, nic nie zauważywszy, popłynęli dalej.

Kiedy dłubanka zbliżyła się do gęściej zaludnionych rejonów powyżej Cytadeli, księżniczka poleciła rimorikom płynąć trudno widocznymi bocznymi kanałami i zakolami, by zniknąć wrogom z oczu. Ich szczęście wydawało się prawie nadnaturalne. Nie płynęły z taką prędkością jak z Trevisty do Noth, gdyż nie mogły zmieniać wodnych rumaków na wzór Lebba i Tirebba, a mimo to rozwijały sporą szybkość. Uniknęły też wielu naturalnych niebezpieczeństw, takich jak gigantyczne mięsożerne ryby milingal, od których roiło się w Mutarze tam, gdzie przepływał przez Czarne Błota. Rimoriki były groźnymi przeciwnikami i dlatego większość wodnych stworzeń wołała omijać je z daleka.

Pierwsza prawdziwa katastrofa zagroziła im pewnego dnia, kiedy obozowały kilka mil powyżej Cytadeli, czekając na zapadnięcie nocy, by minąć ją bezpiecznie. Anigel przekonała się, że czerwona tykwa z mitonem jest pusta. Korek obluźował się i cenny płyn wyciekł.

— To straszne! — zawołała księżniczka. — Że też to musiało się stać właśnie tutaj, w najbardziej niebezpiecznym miejscu, gdzie roi się od nieprzyjacielskich żołnierzy! Bez mitonu rimoriki nawet nie pozwolą nam wsiąść do łódki. Przypominasz sobie poranek, kiedy zapomniałam o tym rytuale? Wyszczrzyły wtedy na mnie zęby, jakbym była całkiem obca! Och, Immu, co zrobimy? Jeżeli rimoriki nam nie pomogą, nigdy nie dotrzemy do Lasu Tassaleyo.

— Możesz zrobić tylko jedno: przyrządzić więcej mitonu — odrzekła Immu.

— Ale jak? — zmartwiła się Anigel. Otworzyła szerzej oczy, gdy zdała sobie sprawę, co będzie musiała uczynić. — Och, ja nie mogę tego zrobić! — jęknęła. — Nawet sobie... a tym bardziej im.

— Pomogę ci nabrać krwi — pocieszyła ją Immu. — Tylko pierwsze ukłucie jest bolesne. Ale ze swymi przyjaciółmi o ostrych zębach będziesz musiała sama sobie radzić. Połkną mnie od razu, gdy tylko się do nich zbliżę.

Po dłuższym wahaniu, księżniczka w końcu uległa. Immu narwała znanych sobie grubych liści, wycisnęła z nich sok, a potem ostrym sztylcikiem przebiła żyłę na przegubie dziewczyny. Anigel nie wydała żadnego dźwięku. Sok z liści, wlany do rany, uniemożliwił krzepnięcie krwi i wklęsły liść drogo szybko się nią napełnił. Przelawszy potem krew księżniczki do czerwonej tykwy, Immu przemyła rankę czystą rosą, przykryła leczniczym niebieskim kwiatem i mocno przewiązała.

— No! — oświadczyła z dumą, zawiązawszy na zgrabny węzeł przewiązkę z trawy. — Nie mam jednak pojęcia, jak upuścisz krwi rimorikom.

— Zapytam je — odrzekła Anigel. I rimoriki powiedziały:

— Przynies liść-talerz do łodzi.

Wodne rumaki, jeszcze nie zaprzężone, pływały wokół dłubanki, wyciągniętej do połowy na brzeg. Kiedy Anigel wpełzła na rufę, zbliżyły się do niej. Uniosły się po kolei, nadgryzły brzegi własnych przednich płetw, pozwalając krwi spłynąć do liścia drogo. Kiedy zebrało się jej dostatecznie dużo, jeden z rimorików odplynał i wrócił z jakąś wyrwaną z korzeniami bagienną rośliną o czerwonych kwiatach.

— Zmiażdż bulwę tej rośliny i zmieszaj ją z krwią. W ten sposób przyrządza się miton. Mieszkańcy bagien zazwyczaj odcedzają ten płyn, ale to naprawdę nie jest konieczne — usłyszała w myślach Anigel.

— Dziękuję wam, moi przyjaciele — odparła. Wypełniła ich zalecenia i tykwa napełniła się brązowym, słonawym świętym napitkiem. Księżniczka tak już się do niego przyzwyczaiła, że piła bez wahania i następujące po nim wyostrenie zmysłów uważała za naturalne. Rankiem nie czuła się naprawdę rozbudzona, jeśli nie podzieliła się mitonem z rimorikami.

Znacznie później, przed świtem, kiedy prawie opłynęły Pagórek Cytadeli i mknęły przez jakieś rozlewisko graniczące z Zielonymi Błotami, Anigel zapytała Immu, czy miton zmienił jej osobowość, jak miał ponoć zmieniać Nyssomu, którzy się go napili.

— Jesteś tą samą miłą osobką, którą zawsze kochałam — odrzekła Immu — chociaż może dojrzałą, bardziej doświadczoną, nie tak wybredną w jedzeniu i mniej drażliwą na punkcie tego, gdzie będziesz spać, albo gdzie ulżysz naturalnym potrzebom twego ciała. Stałaś się też niezwykle zręczną poganiaczką. Nie wiem jednak, czy twoi ziomkowie uznaliby to za poprawę.

— Od opuszczenia Noth nie dokuczają mi senne koszmary — przyznała Anigel. — Immu, czy myślisz, że to znaczy, iż stałam się odważna?

— A może stałaś się skończoną wariatką — zrzędziła staruszka. Miała duszę na ramieniu, gdyż dłubanka kluczyła w gęstym zagajniku drzew kalas na północ od Wielkiej Grobli. Po raz pierwszy od bardzo dawna nie było mgły i trzy księżyce prześwitywały przez obwieszone mchem gałęzie. — Tylko spójrz na siebie, księżniczko! Kiedy mkniemy w mroku szybciej niż Skritekowie, ściskasz wodze tak wprawnie, jak stary rzeźnik obdziera wolumniała ze skóry. Kiedyś za szczyt swojej odwagi uznałaś parę kroków nowego tańca czy użycie nieznanego wzoru w hafcie. Daleko zaszłaś od tamtego czasu...

— Ale ja wciąż się boję, Immu.

— Oczywiście, że się boisz. Ja także — i mam powody! Jeżeli nie każesz zwolnić tym przeklętym zwierzakom, rozbijemy się na drzewie i nocne ptaki będą chichotały nad naszymi połamanymi kośćmi.

— One widzą w ciemności. — Anigel ściągnęła lekko wodze. — Szybkość zresztą nie jest naprawdę groźna. Chodzi o coś innego. Wisi nad nami coś groźnego i to blisko, a... ja to czuję.

— To może być prawdziwe.

— Sądzisz, że moje siostry również szukają swych przerażających talizmanów?

— Prawdopodobnie.

— Biała Dama postąpiła okrutnie, rozdzielając nas! — zawołała nagle Anigel. — Urodziłyśmy się razem. Przez całe życie byliśmy razem. Byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy mogły razem prowadzić poszukiwania. Mogłybyśmy sobie pomagać!

— Bez wątpienia — mruknęła zmęczonym głosem piastunka. Opuściła głowę. Podmuchy powietrza spłaszczyły jej długie uszy wystające spod dworskiego czepca, którego nie chciała zdjąć. — Ale nie brak wam wiernych sług.

Księżniczka w ostatniej chwili ugryzła się w język i nie wypowiedziała następnej skargi. Wielu tubylców jej pomogło, nie mówiąc już o rimorikach. Lecz jej najwierniejszą towarzyszką i pomocnicą była sama Immu. Czy choć raz okazała wdzięczność swojej starej, drogiej niani, odkąd wyruszyły w tę straszną podróż? Uważała obecność Immu za zupełnie naturalną, nigdy nie pomyślała, jak przerażona i zmęczona może być stara Nyssomu. Teraz zaś obie nie spały cały dzień i większą część nocy, gdyż Immu odrzuciła propozycję księżniczki, by zdrzemnęła się podczas nocnej jazdy. Anigel zaś była nieustająco podniecona, pełna energii, chciała płynąć dalej. Rimoriki wyczuwały to i dawały z siebie wszystko. Ale widać było, że Immu jest wyczerpana...

— Znajdźcie bezpieczne obozowisko — powiedziała w myśli swym wodnym rumakom.

— Tak, przyjaciółko — odrzekły. Dłubanka zwolniła, skręciła i prześlizgnęła się przez zasłonę kwitnących nocą pnączy. Przed nimi majaczył w mroku wysoki, suchy pagórek. Kiedy łódka zgrzytnęła o dno, Immu sapnęła. Podniosła głowę i otworzyła oczy.

— Obudź się, Immu — powiedziała cicho Anigel. — Czas iść spać.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kadiya wiedziała, że są traktowani jak honorowi goście, i jakaś cierpliwa cząstka jej istoty, choć niewielka, rozumiała, że być może to wszystko, czego należy oczekiwać. Mimo to na drugi dzień po przybyciu do wioski Nyssomu, podjęła ostatnią próbę pozyskania zbrojnej pomocy od gospodarzy. Chodziło jej o coś więcej niż tylko zyskanie sprzymierzeńców i zemstę. Ci wieśniacy przecież powinni się przygotować na najgorsze: na przybycie najeźdźców z Labornoku.

Poprosiła o jeszcze jedno spotkanie z Pierwszą Mówczynią, starając się pohamować zniecierpliwienie i powściągnąć swoje żądania.

— Pani — powiedziała cichym, monotonnym głosem — ludzie, którzy teraz przybyli do waszej krainy, nie są tacy jak my, Ruwendianie. Pozwól sobie opowiedzieć o ich okrutnych uczynkach.

Jej ręce, dotąd leżące spokojnie na kolanach, nagle zacisnęły się aż do bólu. Musiała dwukrotnie przełknąć ślinę, zanim rozpoczęła opowieść o śmierci swego ojca. Kiedy na jej wspomnienie poczuła mdłości, wzbudziła w sobie gniew.

Trudno jest odczytać subtelne zmiany wyrazu na twarzy Odmieńca. Kadiya bardzo uważnie szukała znaku, że Pierwszą poruszyło to, co przedstawiła jej w całej potworności, niczego nie ukrywając.

— W taki sposób potraktowali swoich ziomków, których pojмали w uczciwej walce — zakończyła. — Pani, oni jeszcze bardziej gardzą twoim ludem. Jak ci się zdaje, co by zrobili, gdyby zdobyli waszą wioskę? Błotny Labirynt strzeże waszych tajemnic i był dotąd waszym murem obronnym. Lecz Labornokowie przywieźli ze sobą czarownika, którego atakom nie mogły się oprzeć nawet zabezpieczenia Arcymagini. Walczyć uczciwie na miecze, stał przeciw stali, to jedno. Lecz zмагаć się z czarną magią bez niezbędnego oręża, znaczy ponieść klęskę zanim zagrają rogi bojowe. To jest wasza kraina, której najeźdźcy nie znają. Zdążyli już jednak, jak się zdaje, sprzymierzyć się ze Skritekami — a mają tę samą złą naturę co oni. Można się wszakże im przeciwstawić. Użyjcie swojej wiedzy o krainie bagien! Powiadam ci — jeśli nawet wasze obyczaje nie pozwalają poprzeć naszej sprawy, pilnujcie przynajmniej własnej!

Pierwsza milczała i przez ten czas Kadiya łudziła się nadzieją. Może jej słowa przekonały kobietę Nyssomu. Niech Hamil zdobędzie Trevistę, niech wezwie Skriteków, ale jeśli Nyssomu powstaną i uczynią broń z samej ziemi, na pewno istnieje szansa...

Lecz kiedy Mówczyni odezwała się, jej słowa brzmiały oficjalnie, nie było w nich ciepła.

— Królewska córko, to prawda, że twój lud i my, mieszkańcy Błotnego Labiryntu, żyliśmy w pokoju przez wiele lat. Kroniki nie zanotowały takich okropności, o jakich mi opowiedziałas. Ponieważ zabici są twymi krewnymi, rozumiałe jest, że szukasz wszędzie pomocy, by pomścić ich śmierć. Ale choć łączy nas przyjaźń, mamy dawniejsze zobowiązania, łączące nas z Białą Panią z Noth, której winni jesteśmy posłuszeństwo. Wezwała ona ciebie i twoje siostry. Możliwe, że ma już jakiś plan działania. Bądź jednak pewna, iż nie musisz nas ostrzegać. Zanim twój lud tu przybył, kraina błot poznała, co to wojna...

Zapatrzyła się ponad ramieniem Kadiyi w przestrzeń.

— Dawno temu śmierć zebrała tak obfite żniwo, że przekracza to wyobrażenie. Jak ci się zdaje, dlaczego ta kraina stała się taka jak obecnie: spustoszona, a w wielu miejscach opuszczona? Jest pełna tak strasznych niebezpieczeństw, że niektórych ścieżek unikamy od wieków? Tamta wojna nie była naszą, ale nas zrodziła. Kiedy walczący odeszli, pozostaliśmy sami, nowo narodzeni, w dziwnym świecie, który musieliśmy uczynić naszym. Wtedy to złożyliśmy przysięgę, że żaden Nyssomu nigdy więcej nie weźmie udziału w takiej wojnie.

Zawdzięczamy życie Pani z Noth. Dzięki niej długo żyliśmy w pokoju. Jeżeli nas atakują, walczymy, ale nie wydajemy wojny innym. Odpowiedzi na dręczące cię pytania znajdziesz w Noth, królewska córko.

Dlatego to wyłącznie Kadiya i Jagun wyruszyli w dalszą drogę, a im dalej wędrowali, tym dziwniejsza i straszniejsza stawała się kraina bagien. Większość roślin w lasach Czarnych błot miała różne odcienie zieleń. Natomiast tu, w Złotych Błotach, rosła wysoka trawa–trzcina o żółtych wiechach, od których nadano imię tej okolicy. Tutaj też, na wysepkach wynurzających się z pokrytej zieloną pianą wody, rosły kępami niespotykane gdzie indziej wielkie rośliny o mięsistych liściach. Liście te, białozółte z czerwonymi żyłkami, przypominały gnijącą ranę i zionęły smrodem, który przyciągał owady. Im dalej Jagun i Kadiya zagłębiali się w Złote Błota, tym bardziej jadowita i niebezpieczna stawała się roślinność.

Księżniczka usłyszała, jak Jagun z sykiem wciągnął powietrze do płuc. Znieruchomiała, starając się utrzymać równowagę. Wydało się jej, że brzegiem jednej z wysepek sunie ku nim właśnie taki obrzydliwy liść. Jagun zaopatrzył się w wiosce w włócznię o krótkim drzewcu. Teraz zamachnął się, nabił na włócznię wędrujący liść, uniósł go w górę i rzucił z powrotem w błoto. Kadiya zobaczyła na spodzie liścia podobne do frędzli nogi daremnie szukające oparcia. Potem nieznanne stworzenie przeniosło się na omszały kawał drewna i natychmiast okręciło wokół niego.

— Snafi — powiedział lakonicznie Jagun. — Tutaj musimy się przed nimi strzec. Ich pazury wtryskują truciznę w skórę, a skoro już się w nią wczepią, nie można ich oderwać.

Po opuszczeniu wioski Jagun uznał, iż znajdują się dostatecznie daleko od znanych szlaków i mogą podróżować za dnia. Kadiya była z tego rada. Błotny Labirynt musiał się roić od różnego rodzaju niebezpiecznych pułapek.

Amulet grzał jej pierś i wciąż wskazywał drogę. Jego iskierka wskazywała, że podążają we właściwym kierunku. Kadiya pracowała bosakiem w tym samym rytmie co Jagun, niezmordowanie, godzina za godziną i tylko od czasu do czasu pozwalała sobie na odpoczynek.

Jeśli ona była narażona na niebezpieczeństwa, przeciwko czemu musiała walczyć Haramis? I Anigel... zapytała siebie w duchu. Czy jej młodsza siostra została pojmana? W jakiś sposób czuła, że obie uciekły z Cytadeli i nie wpadły w łapy króla Voltrika.

Po południu niebo przesłoniły ciemne chmury, zmierzchało się zaś, kiedy Jagun zwinął w powrósł kępę długiej trawy i przywiązał do niej łódkę. Migotały już dziwne światła zrodzone z błotnych gazów. Tego wieczoru nie wysiedli z dębki, ale jedli na kolację zabrane z wioski prowiant.

— Śpij! — rozkazał Jagun.

Zaśnij! Dobrze sobie. Jak ktokolwiek mógłby tutaj spać: w ciemnościach, nie wiedząc, jakie niebezpieczeństwo może zagrozić z obu brzegów? Stwierdziła jednak z niechęcią, że zamykają się jej mimo woli oczy...

To, co potem zobaczyła, było bardziej wizją niż snem. Kadiya ujrzała miasto — nie obecną Trevistę, ale gród znacznie od niej młodszy, o lżejszej architekturze. Wartowników nie było na murach ani nie kręcili się przy otwartej bramie, która się pojawiła tuż przed dziewczyną. Czy to było Noth?

Później zapadła w głęboki sen, z którego nic nie zapamiętała po przebudzeniu. Obudziła się o świcie. Jagun już nie spał, grzebał w sakwie z żywnością. Wkrótce potem podjęli znów podróż do siedziby Arcymagini. Dostrzegli ją z oddali wczesnym popołudniem.

Zbliżając się do Noth nie ujrzeli takiego miasta, o jakim śniła Kadiya. Zobaczyli jedynie wysoką wieżę strzelającą w górę ponad pierzastą, złocistą trawą. Kadiya podniosła na nią oczy, podczas gdy Jagun popychał łódkę przez ostatnie zakręty. Wreszcie dębka zgrzytnęła na skraju kamiennego nabrzeża.

— To jest Noth — powiedział myśliwy. — Odtąd tylko ty, która zostałam wezwana, możesz iść dalej. Zaczekam na ciebie.

Brukowana dróżka nie była szersza od łódki, którą tu przyплыnęli. Za nią wznosiła się wieża wysoka niczym ogromne królewskie drzewa z południowych lasów. Wyglądała jak wykuta z jednego bloku granitu wielkości góry. Olbrzymie drzwi stały otworem.

Wprawdzie światło dnia zatrzymywało się na progu przepastnego wejścia, ale wieża nie miała w sobie nic groźnego. Mimo to Kadiya czuła się jak nieposłuszne dziecko, które ma zostać ukarane. Kroczyła jednak śmiało naprzód, nie dając po sobie poznać niepokoju.

— Witaj, Kadiyo. — Obcy głos nie obudził echa w wąskim korytarzu i dźwięczał tak samo jak każde inne powitanie. Dziewczyna szła z jedną ręką na rękojeści noża, drugą przyciskała do pulsującego w rytm jej serca, rozgrzanego amuletu. Potem weszła do wielkiej komnaty.

Stało tam wysokie krzesło, na jakich zasiadali jej rodzice podczas dworskich ceremonii. Siedziała w nim Biała Dama, która rządziła zapomnianym miastem Noth (a może i wszędzie indziej). Drugimi palcami gładziła leżący na kolanach skraj opończy. Srebrne ruiny przebiegały przez czarne fałdy i znikwały jak fale na sadzawce, do której wrzuci się kamyk.

Sądząc po wzroście, na pewno nie należała do rasy Odmieńców. Stojąc, przewyższyłaby Kadiyę o kilka dłoni. Twarz miała ani młodą, ani starą, nietkniętą przez czas, a w oczach błysk woli, determinacji — i znużenie.

— Kadiyo! — Arcymagini pochyliła głowę, lecz w jej głosie nie było ciepła.

Księżniczka o mało nie wybuchnęła gniewem, który od tak dawna tłumila w sobie. Chciała wylać złość i ból na tę obcą kobietę, usłyszeć z ust Arcymagini odpowiedź, czemu zawiodły jej czary. Czyż nie mogła w jakiś sposób powstrzymać wrogów Ruwendy? Czy ta dumna Pani z Noth była znacznie słabsza od Orogastusa? Przecież jej czary zawiodły właśnie wtedy, kiedy były najbardziej potrzebne! Kadiya z najwyższym trudem powstrzymała się, by nie wykrzyczeć tych myśli. Zamiast tego pochyliła głowę.

— Pani.

Wyczuła, że nie zdoła ani oskarżyć Białej Damy, ani zasypać jej wymówkami. Uniemożliwiła to jakaś siła, paraliżując umysł i uczucia Kadiyi, jakby w chwili wejścia do wieży spadły na nią niewidzialne kajdany.

— Wszystko ma swój kres — ciągnął bezbarwny głos.

Niemal przezroczyście ręce przestały gładzić opończy. — Upływ czasu zależy od nas samych. Czy jest rok dla góry? Czy jest dzień dla muchy draffer, która żyje tylko od wschodu do zachodu słońca? Ale każde z nas — roślinę, ptaka, owada, kamień, dumnego mężczyznę i kobietę — czeka śmierć. Dlatego ci, którzy przewidują przeszłość, mają dużo do zrobienia w bardzo krótkim czasie.

Po raz pierwszy oderwała wzrok od oczu Kadiyi i omiotła komnatę spojrzeniem, jakby rozglądała się z zaskoczeniem, nie znajdując tego, co tam być powinno, albo widząc to, czego nie było.

— Pełniłam tutaj straż. Tak, strzegłam wszystkiego, co służy Światłu. Niegdyś rozciągało się tu wielkie jezioro ozdobione wyspami, z których każda była jak piękny klejnot. I każda miała swoich mieszkańców. I to oni — podniosła ręce, jakby chciała coś osłonić — powierzyli mi wielkie zadanie, gdyż zjawilo się zło, nastąpiła zmiana. Pracowałam, by wznieść silne zabezpieczenia. — Westchnęła i mówiła dalej: — Ten czas niepokoju i smutku przeminął. Później ci, których nazywasz Odmieńcami, zapuścili się daleko na bagna i dla nich, choć nie należeli do mojego ludu, pozostałam Strażniczką. Czas ciążył coraz bardziej, zmieniając to, co było. Jako ostatni przybyli twoi pobratymcy. Zbadałam ich umysły i serca. Uznałam, że godni są Drogi Światła i że mój dzień jeszcze się nie skończył...

— A potem przybył Voltrik, który jest jednej myśli ze Skritekami! — wybuchnęła Kadiya. — Gdzie wtedy byłaś, Strażniczko?!

— Znów powstałi słudzy Ciemności — poprawiła ją Arcymagini. — Ci z mojej krwi zawsze muszą toczyć z nimi bój. Wśród tych najeźdźców był jeden dobrze obeznany z Najstarszą Wiedzą. — Pochyliła lekko głowę. — Może teraz nastał jego czas? Tylko jedno mogłam zrobić, gdy przejrzałam jego zamiary. Jesteś jedną z trzech i każda z was ma wrodzony, choć nie wyćwiczony talent, nie rozpoznany dar. To wy w końcu położycie kres rządóm Ciemnych Mocy — jeśli zapłacicie cenę, jakiej wymaga od was epoka.

— Jaka to cena? — Kadiya uniosła wyżej głowę. Nadal walczyła ze swym onieśmieleniem, nie chcąc go ujawnić przed Arcymaginią.

— Musisz znaleźć swój talizman... i użyć go w odpowiedniej chwili.

— Talizman? — Kadiya wyciągnęła zza pazuchy amulet, ale z szyi go nie zdjęła. — Mam go już, otrzymałam od ciebie, Pani, jeśli opowiedziana mi historia jest prawdziwa.

— Nie, ten był dotychczas twoim przewodnikiem. Musisz użyć swojej własnej siły — i inteligencji — by znaleźć talizman, który da ci moc. Zawsze wybierałaś stal: jest to bezpośrednia i krótka, ale znacznie niebezpieczniejsza droga do sukcesu. Istnieją inne sposoby na wygranie bitew.

Arcymagini wstała z tronu, wyprostowawszy się na całą swą wysokość. Starość nie osłabiła energii jej ruchów. Wiedziała, czego chce dokonać, i była zdecydowana doprowadzić to do końca. Kadiya zdała sobie sprawę, że wlecze się za nią z tyłu i wydłużyła krok, tak że razem wyszły z wieży.

Teraz Arcymagini odrzuciła poły swej niezwyklej opończy, srebrne runy zafalowały. Nagle okazało się, że w dłoni trzyma roślinę; księżniczka nie wiedziała, skąd się ona wzięła. Sądząc po kwiecie na wierzchołku było to legendarne Czarne Trillium. Binah raptem złamała roślinę tuż nad cienkimi jak włosy korzeniami.

— To będzie twój przewodnik i z nim będziesz szukać Potrójnego Płonącego Oka.

Rzuciła roślinę w stronę wody, tam gdzie tkwiła dłubanka i leżący w niej nieruchomy Jagun. Trillium wpadło do wody prosto jak strzała. Ale czymże jest to Potrójne Płonące Oko?! Arcymagini musi to wytłumaczyć! Kadiya miała już dość łazęgi po krainie bagien w poszukiwaniu nieodpowiedzialnej czarodziejki. Potrzebowała więcej danych, jeśli miała szukać dalej...

Nagle... stała sama na dróźnie! Nikogo obok niej nie było. Miała przecucie, że gdyby zawróciła do wieży i przeszukała ją od piwnic po dach, nie znalazłaby Białej Damy.

Rozgniewana i zawiedziona, niechętnie wróciła do łódki. Jagun ocknął się już ze snu. Kadiya zerknęła na wodę poza dłubanką. Dostrzegła wśród drobnych fal wywołanych kołysaniem łódki zieloną świetlną nić. Jeszcze nigdy nie widziała na bagnach takiego odcienia zieleni: był jaśniejszy, przejrzystszy, połyskiwał jak szlachetny kamień. Lecz sam koniec nitki był czarny, dostrzegamy tylko w jej własnym zielonym blasku. Kiedy księżniczka wsiadła do dłubanki i sięgnęła po bosak, zielono-czarna różdzka drgnęła i zaczęła się oddalać. Nie tak szybko jak żywa istota, ale powoli, by mogli za nią nadążyć. — Mamy nowego przewodnika, Jagunie, i nowy cel podróży. Ruszajmy w drogę. — Kadiya westchnęła ciężko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Górski wiatr ryczał w wąwozie, rzucając garści zmarzniętych śnieżynek. Było późne popołudnie. Na niebie pozostało jeszcze kilka skrawków błękitu, chociaż chmury gromadziły się przez cały dzień na południu, ponad najwyższymi szczytami Gór Ohogan: górą Brom, Gidris i Rotolo. Przed zapadnięciem nocy rozpęta się burza, jedna z wysłanniczek zimowych monsunów, które zaczną wiać już za dwa tygodnie.

Orogastus był bardzo zmęczony po ośmiodniowej podróży z Cytadeli. Pozostawił swoją uzbrojoną eskortę na równinach Labornoku i teraz, zupełnie sam, zbliżał się do swej siedziby na górze Brom. Okutany w futrzaną opończę, przemówił w myśli do swego zmęczonego wierzchowca i dwóch jucznych froniali, które szły za nim.

— Naprzód! Czekają was ciepła stajnia, smaczne jedzenie i woda do picia. Widzicie? — pokazałem to wam! Biegnijcie tą ścieżką! Wspinajcie się żwawo! Jak tylko okrążycie tę grupę skał, zobaczycie dom. No, no, śpieszcie się!

Trzy froniale podniosły głowy i złożone koniuszki ich rogów zabłyśły w promieniach zachodzącego słońca. Rozdęły nozdrza, gdyż dzięki sztuce czarownika poczuły jedzenie czekające na nich na końcu stromego szlaku.

Przytulona do zbocza świeciła bielą wieża z czarnymi blankami i ozdobnymi czarnymi maswerkami wokół okien. Podniecone zwierzęta pomknęły kłusem, a potem puściły się w cwał. Klekocząc kopytami, unosząc wysoko ogony przebiegły ostatnie kilkaset elli i zatrzymały się, parskając i sapiąc przed przepaścią rozwierającą się na końcu ścieżki. Poniżej w zboczu ziała rozpadlina głęboka prawie na milę i szeroka na pięćdziesiąt elli. Na jej dnie płynął wartki potok zasilany wodą z lodowców. Twierdza czarownika znajdowała się z drugiej strony przepaści i wydawała się całkowicie niedostępna. Niebo zachmurzyło się już całkowicie i zrobiło się bardzo zimno.

Orogastus wyjął z mieszka u pasa małą, srebrną piszczalkę i wydobył z niej cienką nutę, którą niemal zagłuszyło wycie wiatru. Natychmiast ciemne dotąd okna wieży zaświeciły się i światło zajaśniało w otwartych drzwiach. Rozległ się głośny huk. W ścianie skalnej tuż pod bramą pojawił się kwadratowy otwór. Z otworu wysunął się wąski most, który rozsuwał się coraz bardziej przy akompaniamencie dudnienia, i w końcu zamknął wyrwę pomiędzy ścieżką a wieżą.

Orogastus zsiadł ze swego wierzchowca i zawiązał oczy trójce froniali. Potem poprowadził je po wąskiej kładce z niską poręczą, szerokiej zaledwie na krok. Wiatr szarpał opończę czarownika i trząśł gwałtownie konstrukcją pod jego stopami. Wystarczyłby jeden fałszywy krok człowieka lub zwierzęcia, by wszyscy runęli w dół, a tam czekała pewna śmierć. Orogastus jednak użył swoich magicznych mocy, by unieruchomić most i dodał otuchy froniałom. Kroczyły za nim nawet wtedy, gdy zaczął padać śnieg. Wszyscy zniknęli bezpiecznie w otwartych drzwiach. Czarownik zamknął je i nacisnął jakieś urządzenie, które sprawiło, że czarodziejski most znów wsunął się w głąb góry.

Nareszcie w domu!

Z okrzykiem ulgi odrzucił ciężkie futro. Froniale piszczały i stawały dęba. Orogastus ze śmiechem ściągnął im opaski z oczu, rozsiadł swego wierzchowca i zdjął juki z dwóch pozostałych. Później poprowadził wiernych towarzyszy w dół korytarzem, oświetlonym przez dziwaczne, pozbawione płomieni lampy, do wykutej w skale stajni, suchej i wyposażonej we wszystko służące wygodzie froniali. Karmiąc je, pojąc i czyszcząc Orogastus uważał się nad sobą i utyskiwał żartobliwie. Zazwyczaj tę pracę wykonaliby pomocnicy, ale teraz przebywali w ruwendiańskiej Cytadeli, pielęgnowując króla Voltrika. Ich pan zatem musiał zatroszczyć się zarówno o zwierzęta, jak i o siebie. Umiał to robić, gdyż trzech akolitów zwerbował dopiero

przed dziesięciu laty, a już na długo przedtem mieszkał zupełnie sam w tej niezwyklej siedzibie, zbudowanej pod jego kierunkiem przez labornockich rzemieślników.

Teraz, pnąc się krętymi kamiennymi schodami do swoich komnat, mieszczących się w połowie wysokości wieży, cieszył się, że nie ma tu nikogo. Ostatnie dziesięć tygodni było najpracowitszymi i najbardziej meczącymi w jego życiu — najpierw śmierć starego króla i koronacja Voltrika, potem przygotowania do inwazji i marsz na Ruwendę. Zwycięstwo było zaskakująco łatwe: tylko zranienie króla i ucieczka trzech księżniczek popsowały wielki plan Orogastusa.

No cóż, pomocnicy zapewnili go, że Voltrik wraca do zdrowia, a jeśli wszystko dobrze pójdzie, kryjówka dziewcząt już wkrótce przestanie być tajemnicą. Trzeba się tą sprawą zająć natychmiast. Najpierw poradzi się lodowego zwierciadła, dopiero potem pomyśli o sobie.

Pozostawił tobołki z żywnością przy kominku w jadani, zatrzymawszy się tylko na chwilę, by magiczną zapalniczką rozpałić przygotowane polana. Następnie pośpieszył do sypialni, zrzucił brudny podróżny strój i włożył srebrno-czarne szaty oraz czapkę, które nakładał do najbardziej uroczystych ceremonii.

Nie chciał tracić czasu na kąpiel, zmył tylko gąbką najgorszy brud i poprosił Ciemne Moce o wybaczenie — a potem zachichotał, gdy przyszło mu na myśl, że mogą one woleć, by z nimi obcował brudny i zablocony. Delikatna metalowa siateczka ceremonialnej szaty była zaskakująco zimna w zetknięciu ze skórą. Wkładając ją skrzywił się i zapomniał odmówić odpowiednie modlitwy. Jego skórzane rękawice o srebrnym połysku i czapka z ochronną przyłbicą, ozdobiona wizerunkiem wybuchającej gwiazdy, były cieplejsze. Zrezygnował z rytualnych sandałów i włożył ozdobione futrem buty, zanim skierował się do tunelu prowadzącego do ukrytej w głębi góry Pieczary Czarnego Lodu.

W wilgotnym, zimnym powietrzu skalnego korytarza, widział zamarzającą mgiełkę oddechu. Kroczył żwawo, modląc się w duchu, żeby lodowe zwierciadło spełniło jego prośbę szybko, bez sprzeciwu. Z cudownymi urządzeniami Zaginionych nigdy nic nie było wiadomo. Mogły kapryścić nawet wtedy, gdy odprawiało się odpowiednie obrzędy i zaśpiewano potężne zaklęcia. Ale błagam, nie dziś wieczorem, kiedy jestem tak zmęczony, głodny i zmarznięty.

Podszedł do masywnych drzwi, pokrytych szronem nawet w najcieplejsze dni, zebrał się w sobie i wypowiedział pierwsze zaklęcie. Przeprósł Zaginionych za zakłócenie ich odwiecznego spokoju, ale w imieniu Ciemnych Mocy nakazał im surowo służyć sobie. Potem otworzył drzwi.

Pieczara Czarnego Lodu wyglądała tak samo jak zawsze. Jak wtedy, kiedy ją znalazł — a raczej został do niej wezwany! — gdy po raz pierwszy przybył do Labornoku z księciem Voltrikiem. (Dopiero później Orogastus nakazał zbudować dla siebie górską twierdzę, by chronić pieczarę i zapewnić sobie łatwy dostęp do jej cudów.) Była to wysoka, sklepiona komnata niezręcznie wykuta w granitowej, pociętej żyłkami kwarcu skale. W ścianach tkwiły wystające kryształki czarnego lodu. Dno pieczary wyłożono dziwnymi czarnymi płytkami podobnymi do obsydianu. Z tego samego materiału, który sam bardzo przypominał czarny lód, zbudowano mnóstwo niewielkich nisz i maleńkich pokoików, a wszystkie zaopatrzone w drzwi. To właśnie w nich znalazł urządzenia, które odciągnęły go od mniej uchwytnej magii (nauczył się jej od Bondanusa), jednocześnie, o dziwo, zapewniając mu rzeczywisty wpływ na królestwo Labornoku. Większość komór była zaopatrzona w czarodziejskie zamki, których nie zdołał otworzyć. Inne jednak — w tym pokój z lodowym zwierciadłem — dobrowolnie wyjawiały mu swoje tajemnice.

Podniósł ręce w srebrzystych rękawicach i zaintonował głośno:

— O Ciemne Moce! Dziękuję wam za wasze wielkie dary. Pozwólcie mi z nich korzystać bez szwanku. — Potem odsunął wąskie obsydianowe drzwi i wszedł do pokoju lodowego zwierciadła.

Pokój był głęboki tylko na kilka kroków. Większą część wewnętrznych ścian pokrywał grudkami szron, całkowicie ukrywając tajemnicze urządzenia, które mogły znajdować się po obu stronach okrągłego zwierciadła. Drżąc z zimna i niepokoju — wiedział bowiem, że jeśli zwierciadło nie zechce odpowiedzieć, jego wielkie plany zdobycia władzy nad światem spełzną na niczym — wymówił zaklęcie:

— O, potężne lodowe zwierciadło! Dalekowidzące oko Zaginionych! Obudź się i wysłuchaj mojej prośby!

Czekał.

Początkowo w szarej, szklistej powierzchni odbijała się tylko jego postać, wysokiego, silnego mężczyzny otulonego w płynne srebro i czern, ukoronowanego diademem z wybuchającą gwiazdą, ze srebrną maską zasłaniającą górną część twarzy. Później w głębi zwierciadła pojawił się słaby blask... i rozległ się głos. Słaby, chrapliwy jak u konającego, z nie—człowieczym akcentem.

— Odpowiadam. Prośba, proszę.

Orogastus stał jak skamieniały. Tak bardzo zmarzł, a mimo to pot spływał teraz mu z czoła i zalewał oczy ukryte za srebrną maską. To był krytyczny moment. Jeżeli przedstawi prośbę niewłaściwie, obrażone zwierciadło zgaśnie i będzie spać przynajmniej dwa dni, „przychodząc do siebie” po doznanej zniewadze. Odmówił w duchu modlitwę do Gemnych Mocy i powiedział obojętnym tonem:

— Odszukanie trzech osób. Zlokalizowanie obecnej pozycji tych osób na mapie.

Zwierciadło rozjaśniło się. Wir srebrzystoniebieskiego cienia zmaterializował się w jego środku. Odparło:

— Prośba zatwierdzona. Imiona tych trzech osób.

— Księżniczka Anigel z Ruwendy. Księżniczka Kadiya z Ruwendy. Księżniczka Haramis z Ruwendy. — Mówiąc, przezornie budował w myśli obraz każdej dziewczyny.

— Szukam — odparło zwierciadło. Orogastus o mało nie zemdlął z ulgi. Podziałało...

Zwierciadło oświadczyło teraz:

— Podmiot pierwszy: księżniczka Anigel z Ruwendy. Umiejscowienie: Są czternaście dwa, Lo siedemdziesiąt jeden dziesięć na siatce Ohma. — Jak zwykle w takich okazjach przemawiało w niezrozumiałym żargonie, ale zaraz potem pojawiła się piękna mapa—diagram z światełkiem migocącym na rzece Mutar poniżej Cytadeli, zaledwie o kilka mil ponad jeziorem Wum.

Orogastus heroicznym wysiłkiem zachował spokój. Jednym niebacznym słowem czy ruchem mógł potrącić zwierciadło. Skoncentrował się więc na zapamiętaniu wskazanej lokalizacji. Po chwili mapa zniknęła i zwierciadło ukazało barwny obraz dziewczyny w ruchu, jakby przebywającej we wnętrzu szarego lodu. Anigel siedziała na dziobie dłubanki, trzymając parę postronków, które wyglądały jak wodze. Coś z wielką szybkością holowało łódkę po wodzie. Za księżniczką siedziała kobieta z rasy Odmieńców, która spojrzała przez ramię na zachodzące czerwono słońce, a potem powiedziała wyraźnie: — Lepiej zatrzymajmy się na noc, moja słodka. W tamtej lagunie powinno być mnóstwo ryb dla rimorików. I obraz zniknął.

— Podmiot drugi: księżniczka Kadiya z Ruwendy — powiedziało cicho zwierciadło. — Umiejscowienie: Mo dwadzieścia dziewięć cztery, Vi dziewięćdziesiąt pięć pięć na siatce Ohma. — Migocące światełko zlokalizowało uciekinierkę tuż na zachód od rojącej się od Skriteków dżungli znanej jako Cierniste Piekło.

Orogastus powstrzymał okrzyk, a potem patrzył zafascynowany, kiedy zwierciadło ukazało mu drugą dziewczynę klęczącą o zmierzchu na mulistym brzegu, a w tle pojedynczego Odmieńca, który coś wyjmował z dłubanki. — Aż zsiniałam od dmuchania, Jagunie — powiedziała Kadiya — ale nie mogę zmusić tego upartego draństwa, by się zapaliło. Ty spróbuj to zrobić. — Orogastus słyszał wyraźnie jej głos.

Obraz zgasł.

— Podmiot trzeci: księżniczka Haramis z Ruwendy. Umiejscowienie: Pa czterdzieści dwa trzy, No szesnaście osiem na siatce Ohma. — Światelko na mapie zabłysło w niezwykłym miejscu — wysoko na zboczu góry Rotolo, drugiego co do wysokości szczytu w Górach Ohogan, w pobliżu głównego koryta rzeki Vispar i tylko o milę lub dwie od tajemnej osady Odmieńców Vispi.

Czarodziej wstrzymał oddech, kiedy na dysku zwierciadła ukazał się ostatni obraz. Był bardzo ciemny, ciemnopurpurowy. Orogastus rozpoznał w końcu śnieżną pieczarę ponad zboczem oblanego zmierzchającym światłem lodowca. Jakiś cień odłączył się od ciemności i zamienił w postać wyglądającej na zewnątrz młodej kobiety owiniętej w białą opancę. Haramis powiedziała do siebie: — Czy przeżyję tę noc? Oni są tam, czekają na mnie. Oczy w Wirach Powietrznych. Z nasion trillium, które zaprowadziły mnie w to miejsce lodowej śmierci, pozostało mi tylko jedno. To już koniec. Nie mam już prowiantu, a śnieg jest taki głęboki, że nie mogę dalej iść. Jeśli sami Vispi nie zlitują się nade mną i nie przyjdą mi na ratunek, nie zdołam odnaleźć Trójskrzydłego Kręgu.

Obraz znikł.

Potem z magicznego urządzenia rozbrzmiały nieuniknione, fatalne słowa:

— Moc Bahkupa czasowo wyczerpana. Przerwa na ponowne naładowanie — głos ucichł, a światło w lodowym zwierciadle zgasło.

— Dzięki niech będą wszystkim Ciemnym Mocom — Aysee Lyne, Inturnal Bataree i Bahkupowi — zaintonował Orogastus, składając głęboki ukłon — i oby Wielki System działał tutaj zawsze i na zawsze. Niech się tak stanie.

Potem wycofał się, idąc pokornie tyłem, zamknął obsydianowe drzwi i uciekł do swoich pokoi.

Dużo później, po jedzeniu i kąpieli w wannie, Orogastus zajrzał do starożytnej „Księgi Proctw Półwyspu” siedząc przed ogniem palącym się na kominku w gabinecie i sącząc zimną wódkę. Na zewnątrz burza szalała wśród blanków wieży.

Trójskrzydły Krąg...

Tak, wspomniano o nim wraz z innymi niezrozumiałymi symbolami: Potrójne Płonące Oko i Trójgłowy Potwór. Wzmianka była niejasna, ale wyglądało na to, że ta trójka miała się połączyć i w ten sposób przyspieszyć jakieś ważne wydarzenie.

— Czy to możliwe, że pozostałe księżniczki również szukają talizmanów, tak jak Haramis szuka swego? — myślał głośno czarownik. — A kiedy znajdą je i połączą, czy nie staną się tak potężne, że zrzucą jarzmo Labornoku?

Wpatrywał się przez jakiś czas w płomienie, zanim podjął decyzję. Dostrzegł potrzebę usunięcia Kadiyi i Anigel, ale księżniczka Haramis, następczyni tronu Ruwendy, to zupełnie inna sprawa... Wyprostował się w fotelu, zamknął oczy i przytknął palce do skroni.

— Moje Głosy! — zaintonował. — Usłyszcie mnie!

W umyśle Orogastusa zjawiły się trzy postacie, czerwona, niebieska i zielona, które przybrały wygląd jego zakapturzonych sług. Nie miały oczu, lecz na ich twarzach malowała się gorliwość i zapał.

— Panie! Czy ci się udało?

— Tak. Przygotujcie się do odbioru Posłania. Oto obecna pozycja księżniczki Anigel... A tu znajduje się Kadiya.

— Odebraliśmy twoje Posłanie, Wszzechmocny Panie. A księżniczka Haramis?

— Ją także znalazłem. Ale słuchajcie! Generał Hamil ma wysłać przynajmniej połowę armii w pościg za Kadiya, która wyruszyła w bardzo niebezpieczny rejon. Czerwony Głos ma towarzyszyć Hamilowi i naradzać się ze mną codziennie, póki nie zostanie schwytana.

— Będę posłuszny — odparł Czerwony Głos.

— Książę Antar z eskortą rycerzy ma wyruszyć na poszukiwanie księżniczki Anigel. Niebieski Głos będzie mu towarzyszył.

— Książę i jego eskorta wrócili do Cytadeli przed czterema dniami — powiedział Niebieski Głos. — Nietrudno będzie znaleźć Anigel, jeśli jest tak blisko, jak mówisz.

— Nic nie jest łatwe tam, gdzie zainteresowaną stroną jest Arcymagini Binah — skarcił go ostro Orogastus. — Pamiętajcie, że resztkami swojej magii strzeże tych dziewczyn. A gdyby udało im się znaleźć nowe, potężne talizmany zwane Potrójnym Płonącym Okiem i Trójgłowym Potworem, ich magia na pewno bardzo się wzmocni. Te księżniczki koniecznie muszą zostać schwytane i zabite, a ich talizmany mnie przekazane.

— Rozumiemy — odpowiedzieli chórem słudzy.

— Mam jeszcze dodatkowe instrukcje dla Niebieskiego Głosu dotyczące księcia Antara — uzupełnił czarownik.

— Myślę, że wiem, co masz na myśli, panie — zachichotał ponuro Niebieski Głos. — Byłoby smutne, gdyby książę miał zginąć w nieszczęśliwym wypadku po spełnieniu swego obowiązku.

— Nic nie może wskazywać, że jesteś w to zamieszany — ostrzegł go Orogastus.

— Czy mam przyłączyć się do zbrojnych, którzy będą ścigać księżniczkę Haramis, panie? — zapytał wtedy Zielony Głos.

— Nie. Pozostaniesz z królem Voltrikiem. Dopilnujesz, by wrócił do zdrowia, i zapewnisz, że przekazuję ci wieści z pościgu.

— Ale Haramis...

— Sam zamierzam się zająć księżniczką Haramis — uciął Orogastus.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Haramis rzuciła przed siebie ostatnie nasionko Czarnego Trillium pewnego ranka, gdy perłowa mgła otulała zbocza góry Rotolo. Po obudzeniu stwierdziła, że wokół dziwnie się ociepliło. Ściany maleńkiej jaskini, w której spała — zaskakująco mocno — połyskiwały od topniejącego śniegu. Jej obszyta futrem oponcza, którą dodatkowo narzuciła na śpiwór, całkowicie przemokła, zrobiła się bardzo ciężka i zupełnie nieprzydatna, gdyż nie można jej było tu wysuszyć. Odrzuciła ją na bok i małym nożykiem rozcięła swój nieprzemakalny śpiwór w taki sposób, że powstało coś w rodzaju kapy, sztywnej, lecz chroniącej przed wilgocią. Po wypiciu kilku łyków zimnej wody zamiast śniadania, uwolniła ostatnie ziarenko i chwiejnym krokiem wyszła z jaskini, by brnąć za nim, zapadając się po kostki w mokrym śniegu.

Nasienie Czarnego Trillium leciało powoli, dostosowując się do jej kroków, dryfując przed nią na długość ramienia. Mgła była tak gęsta, że nie widziała nic dalej. Stąpała ciężkimi krokami, opierając się na podkutym żelaznym podróznym kiju. Niejasno zdawała sobie sprawę, że coraz bardziej kręci się jej w głowie od rozrzedzonego powietrza, ale przyjmowała to jako coś bez żadnego znaczenia. Wszystko zrobiło się dalekie i przesłonięte mgielką. Nie patrzyła, gdzie stąpa, jak długo widziała przed sobą swego niezwyklego przewodnika.

Wiele razy potykała się i padała, jej biały strój, buty i rękawiczki były coraz brudniejsze. Odslonięte wnętrze rozciętego śpiwora również przesiąkło wilgocią i niebawem okrycie ciążyło jak z żelaza. Po kolejnym upadku Haramis zostawiła go na ziemi. Było teraz tak ciepło, że już go nie potrzebowała.

Nasienie. Skrzydlate nasienie. Tylko to widziała, tylko na nim mógł się skoncentrować jej zmęczony umysł. Szła wciąż przed siebie, pnąc się coraz wyżej. Czasami zapadała się w śniegu po kolana, kiedy indziej tylko po kostki; zawsze jednak ciężka, mokra masa lgnęła do butów. Miała wrażenie, że jej nogi są z ołowiu.

Musiało upłynąć trzy lub cztery godziny, zanim pogoda niebezpiecznie się zmieniła. Haramis była zbyt oszołomiona, by zauważyć, że mgła straciła swoją perłowość i poszarzała i bardzo się ochłodziło. Straciła już czucie w rękach i nogach, lecz to nie przełamało jej obojętności, podobnie tępy ból żołądka.

I wtedy zaczął padać śnieg.

Zatrzymała się, początkowo nie zdając sobie sprawy, co się dzieje. Nasiona? Czy świat wypełniają unoszące się w powietrzu puszyste nasiona trillium? Które z nich jest jej przewodnikiem? To? Nie...

Mgła rzedła, w miarę jak padało coraz gęściej. Haramis znów zobaczyła strzelające w niebo klify i strome skały góry, na którą się wspinała. Zerwał się wiatr, ciskając jej w twarz płatki śniegu. Zdała sobie sprawę, że zgubiła swój podróznym kij. A nasienie-przewodnik? Zniknęło.

Zniknęło tak jak zwykle — ale nie stało się to pod koniec dnia, w pobliżu bezpiecznego schronienia. Nastąpiło to blisko szczytu ostrego jak nóż grzbietu górskiego, z którego wiatr zmiotł śnieżną pokrywę. Zwiął też ostatnie nasienie Czarnego Trillium — i tak oto zakończyła się jej podróż...

Od wiatru i śniegi piekła ją skóra twarzy, oczy łzawiły, a nos i policzki najpierw swędziały, potem zaś straciła w nich czucie. Ogarnęła ją senność i sen wydał się jej najbardziej upragniony ze wszystkiego na świecie. Po co dalej walczyć? Każdy oddech zadawał ból jak cięcie miecza. Serce biło jej tak mocno, że wydawało się, a połamię zebra. Ręce i nogi zamarły.

Pójdę na skraj szczytu, powiedziała sobie. To jeszcze tylko dwadzieścia kroków. I stamtąd po raz ostatni spojrzę na moje królestwo. Wiatr próbował ją pokonać. Wył jak wielkie,

rozdrażnione zwierzę, odpychał i jak niewidzialny mur uniemożliwiał dalszą wędrówkę. Skuliła się, podniosła jedną stopę, potem drugą, pchnęła ciało do przodu, resztkami sił stawiając opór wichurze.

Ojczy! Matko! Poniosłam klęskę i wkrótce się z wami połączę. Tak bardzo pragnęłam, by mój sen okazał się jawą, żeby ta szaleńcza wyprawa miała magiczny koniec, aby biedna, stara Arcymagini naprawdę знаła moje przeznaczenie. Wydaje się jednak, że nic nie wiedziała, i w tym wszystkim nie było żadnych czarów. Tak podejrzewam.

Wiatr.

Śnieg.

Mróz.

Ale jej ciało nadal się poruszało, prawie już nie czuła bólu. Ściągnęła zębami sztywną od mrozu rękawiczkę i upuściła ją. Następnie wsunęła zlodowaciałą rękę pod pokryty warstwą zamrożonego śniegu kaftan i po raz ostatni dotknęła amuletu, modląc się o resztki sił fizycznych.

— Pozwól mi tylko wejść na szczyt góry! — Jeszcze pięć kroków, największy wysiłek w całym jej życiu... — Boże, pomóż tej, która Ci zaufała — ...jeszcze jeden krok...

Udało się!

Szczyt góry był płaski, przykryty tylko cienką warstewką śniegu. Kiedy Haramis wyprostowała się, wiatr osłabł i zamieć już jej nie smagała. Tam, skąd przybyła, nadal kłębił się szary mrok, lecz przed sobą widziała błękitne niebo i oszałamiający widok ośnieżonych szczytów ciągnących się daleko na zachód. U jej stóp ściana skalna opadała pionowo w dół, ziała przepaść, która zdawała się nie mieć dna, gdyż jej głębiny przesłaniała lekka mgielka.

— Dotarłam jednak... — szepnęła. Poczowała silniejszy niż poprzednie zawrót głowy, zachwiała się i omal nie zemdląca. Nagle zdała sobie sprawę, że odzyskała czucie w ściskającej amulet rękę: rozchodzące się ciepło sprawiało silny ból. Nie chcąc ulec śmierci, po raz ostatni otworzyła oczy.

Na szczycie góry, na prawo, w odległości rzutu kamieniem, dostrzegła wielki śnieżny słup połyskujący w słońcu jak diamentowy pył.

Haramis padła na kolana, wpatrując się weń bezradnie.

Słup zakołysał się i przekształcił w olbrzymi biały stożek wirujący na czubku. A w jego wnętrzu zabłyśły Oczy.

Oczy zielone jak lód. Całe tuziny oczu, które wpatrywały się w nią.

— Szukam Trójskrzydłego Kręgu — szepnęła

— Jesteśmy jego strażnikami, wyszliśmy ci na spotkanie — usłyszała w myśli.

— Witam was — powiedziała z godnością księżniczka Haramis. Potem runęła na twarz w bezdenny, przyjazny mrok.

Przez jakiś czas śniła. We śnie czuła wielki ból, a potem znalazła ukojenie. Oczy i Wiry Powietrzne zamieszkiwały jej sny: czasami były przerażające, kiedy indziej zaś łagodne, kryły się w nich wysokie, pełne wdzięku istoty odziane w fałdziste szaty o bladych kolorach, ozdobione niezwykłą ilością klejnotów. Istoty te szeptały do niej, pielęgnowały ją i zachęcały, by zrobiła to lub tamto, ona zaś słuchała się ich jak małe dziecko.

Zapytała, kim są. Odpowiedzieli, że Pierwszym Ludem, który od niepamiętnych czasów strzegł wielkiego Berła Mocy Zaginionych.

Zapytała ich, czy to Berło jest talizmanem, którego szuka, oni zaś odrzekli:

— Pod pewnym względem tak, pod innym nie. W ciemnych wiekach bowiem Potrójne Berło zostało podzielone, a jego części rozproszone, by nie wpadło w ręce sług Ciemności.

Nadal śniąc, księżniczka zapytała Oczy w Wirach Powietrznych, czy rzeczywiście są strażnikami Trójskrzydłego Kręgu, jej własnego talizmanu.

— Tak, gdyż przechowujemy tę część Potrójnego Berła w lodowej jaskini. Biała Dama odesłała pozostałe części bardzo daleko, by inni ich strzegli do czasu, aż jej moce osłabną i Berło Mocy będzie potrzebne do przywrócenia wielkiej równowagi świata.

— Moje siostry szukają pozostałych talizmanów — powiedziała Haramis.

— I to samo robi wielki sługa Zła z tej epoki, który właśnie teraz patrzy na ciebie, mając nadzieję, iż znajdziesz to, czego szukasz...

Haramis wydało się, że jedna para Oczu zmieniła kolor z zielonych jak lód na gwiazdzistobiałe, rozjarzone. Ujrzała piękną twarz jakiegoś mężczyzny, który spoglądał na nią z uśmiechem, i zapytała:

— Czy to on?

— Tak — odpowiedziały Oczy.

We śnie ten mężczyzna wyciągnął do niej rękę, ona zaś odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech i powiedział do niej:

— Nie jestem taki, jak one mówią. Nie daj się zwieść. Ci malcy rozumieją tylko część wielkiej całości. Powstrzymaj się od wydawania sądów, zanim dobrze mnie nie poznasz. Sama podejmiesz decyzję.

Haramis obudziła się na wąskim łożu z przezrystymi zasłonami i zdumiała się, że jest jej tak ciepło, aż zdała sobie sprawę, że emanuje ono od materaca, na którym leży.

— To hypocaustum ogrzewa podstawę łoża i podłogę — powiedział cichy głos. — Przepływa przez niego para z gorących źródeł. W ten sposób ogrzewamy nasze domy.

Zasłony łoża rozsunęły się i księżniczka zobaczyła tubylczą kobietę z nieznannej rasy. Twarz miała węższą niż twarze Nyssomu, usta i nos bardziej podobne do ludzkich. Ogromne oczy — raczej zielone niż złote — i uszy wynurzające się z falistej masy włosów o barwie platyny świadczyły, iż należała do Odmieńców. Tak jak oni miała trójpalce dłonie ze szczątkowymi pazurami, bardzo przypominającymi paznokcie — zjedna tylko różnicą: były bardzo grube i w naturalny sposób spiczasto zakończone.

Kiedy uśmiechnęła się do Haramis, okazało się, że nie ma kłów, lecz małe, równe zęby. Księżniczka przypomniała sobie zasłyszany we śnie melodyjny głos kobiety Vispi. Lecz dopiero po kilku minutach zdała sobie sprawę, że usta nieznannej nie poruszały się, kiedy mówiła.

— Oczywiście, że nie — dotarły do niej wypowiedziane wesołym tonem słowa. — Nie zrozumiałabyś naszego języka, dlatego rozmawiamy z tobą w myślach! Nazywam się Magura i witam cię, księżniczko Haramis od Czarnego Trillium.

A teraz wstań z łoża. Pomogę ci się ubrać, gdyż już przyszedł do siebie i moi współplemieńcy chcieliby się z tobą spotkać, zanim wyruszysz w dalszą drogę.

— Ale ty mnie rozumiesz... — Księżniczka nadal była oszołomiona, nie miała też pewności, co jest snem, a co jawą. słowa Magiry o „dalszej podróży” przestraszyły ją.

— Kiedy mówisz, twój umysł powtarza twoje myśli, księżniczko. My, Vispi, rozumiemy cię bez trudu... Czy ta suknia ci odpowiada? Myślę, że uznasz ją za bardzo wygodną, a czarne futro, którym jest obszyta, pasuje do twoich włosów.

— Tak, dziękuję ci. Jest śliczna.

Haramis pozwoliła Magirze ubrać się w jasnyniebieską suknię z miękkiej jak aksamit tkaniny, ale nie tak ciężkiej, obszytą czarnym futrem. Wycięcie, rękawy i dół spódnicy zdobiły szerokie, haftowane srebrną nicią wstęgi, wysadzone szafirami i kamieniami księżycowymi. Włożyła też buty ze srebrzystej skóry, takiż sam pasek z sakiewką obszytą drobnymi jak ziarenka klejnocikami. Kobieta Vispi zaplotła jej włosy w dwa grube warkoczki i przewiązała je niebieską wstążką.

— Nasza krew jest bardzo ciepła, dlatego potrzebujemy znacznie lżejszych ubrań niż ludzie musieliby tu nosić. Weź tę opończę i rękawiczki. Zaprowadzę cię do Domu Rady w Movisie. To niedaleko stąd.

Haramis posłusznie włożyła zdobne drogimi kamieniami rękawiczki, podczas gdy Magira narzuciła jej na ramiona wspaniałą opończę z czarno-białego futra i naciągnęła kaptur na głowę. Potem księżniczka wyszła za kobietą Vispi z sypialni, zeszła po kamiennych schodach oświetlonych wąskimi, oszklonymi oknami do korytarza, a stamtąd na dwór.

— Wiec to jest Movis!

Haramis zatrzymała się w portyku i spojrzała na miasto, które uważała za legendarne. Powietrze połyskiwało złociście; wydawało się, że słońce już chyli się ku zachodowi. Zobaczyła piękne kamienne domy o imponujących rozmiarach oraz znacznie większe od nich budowle skupione wokół centralnego placu.

Zewsząd unosiły się kłęby pary — nie tylko z krytych łupkową dachówką domów, ale także z krat w brukowanych ulicach oraz z małych, podobnych do skrzynek konstrukcji stojących na każdym dziedzińcu i podwórzu. Domy otaczały drzewa i pięknie utrzymane ogrody, ale wszędzie było pusto — żadnych mieszkańców, żadnych zwierząt czy innych istot. Wszystko tonęło w dziwnym, nie rzucającym cieni świetle (promienie słońca nie docierały tak głęboko). Całą Dolinę Movis przesłaniała warstwa jasnych chmur, niczym złoty sufit podparty setkami filarów białej pary. Niższe partie zboczy opadały zielonymi tarasami, wyższe zaś pokrywał śnieg. Z ogromnego lodowca tryskał wodospad podobny do długiej białej szarfy.

— Mieszkańcy Movis przygotowali dla ciebie uroczystą wieczerzę i czekają na twoje przybycie — przesłała myśl Magira.

— To ładnie brzmi — odparła Haramis wydłużając krok, by nie pozostać w tyle za długonogą kobietą Vispi, która teraz szła szybko krętymi ulicami. Przezroczyście szaty Magiry powiewały na wietrze jak sztandary. — Jestem bardzo głodna; może to tutejsze powietrze tak na mnie wpływa.

— Spałaś pięć dni, księżniczko.

— Och! — jęknęła Haramis.

— Przez ten czas nasi uzdrowiacze pielęgnowali cię i leczyli twoje odmrożenia i inne obrażenia ciała. Na pewno czułaś to przez sen.

— Tak, i śniłam również o kimś innym.

Magira zwolniła kroku, zwróciła na Haramis szmaragdowe oczy i pomyślała z niepokojem:

— Wiemy, że zły czarownik przemówił do ciebie. Może cię odnaleźć tylko za pośrednictwem swego lodowego zwierciadła i to nie zawsze, tylko co dwa dni, albo jeszcze rzadziej, ponieważ twój amulet chroni cię przed naturalnym jasnovidzeniem tych, którzy źle ci życzą...

— A mimo to mógł przemówić do mnie we śnie?

— Mógł, wiedząc, że tu jesteś. Gdybyś nie spała, oczywiście nie musiałabyś go słuchać.

Haramis powstrzymała się od dalszej rozmowy o Orogastusie, ulegając niezwykłym emocjom, które zrodziły się w jej umyśle. Powiedziała więc zdawkowo do Magiry:

— Wyjaśnij mi, czy twój lud jest samowystarczalny w tej dolinie?

— Uprawiamy takie rośliny, które mogą rosnąć w słabym świetle, hodujemy też zwierzęta — togary i nunchiki w samym mieście, a większe od nich volumniale i nieliczne froniale na zewnątrz. Wypasamy je podczas pory suchej, a gdy pada deszcz i śnieg chronimy w jaskiniach. Rosną tam pożywne świecące porosty i grzyby. Zdziwiłabyś się, gdybyś nocą widziała nasz inwentarz! Zimowa dieta sprawia, że zęby, rogi i kopyta świecą im się w mroku.

— Czy są to zwierzęta, które kupujecie?

— Tak, gdyż w górach rozmnażają się niechętnie. Haramis podniosła rękawiczkę i naszyte na niej klejnociki zabłyśły.

— Sprzedajecie tylko drogie kamienie i metale szlachetne? Magira roześmiała się.

— To wystarczy, księżniczko, gdyż wszystkie rasy, które nazywacie Odmieńcami, lubują się w takich ozdobach. Dawniej nasze powiązania handlowe sięgały od Gór Ohogan aż do Lasu Tassaleyo, a mali, nieśmiali Uisgu zawsze pełnili rolę pośredników w wymianie z innymi plemionami. Od przybycia ludzi handel uległ zmianie, gdyż twoi współplemieńcy dostarczają więcej zwierząt i słodczy niż nasi krewni kiedykolwiek byli do tego zdolni. Dlatego dobrze się nam powodzi.

— A mimo to zabraniaacie wstępu na wasze terytorium. Magira wzruszyła lekko ramionami.

— Dolin, w których biją gorące źródła, jest niewiele i są bardzo od siebie oddalone, a życie w nich wymaga ciągłej baczości i zachowania delikatnej równowagi. Pierwszy Lud został stworzony dla tego klimatu, kiedy obejmował on większą część świata. W miarę jak strefa jego wpływów się kurczyła, nasza liczebność również się zmniejszała, aczkolwiek udało się nam zachować naszą kulturę. Z czasem inne rasy oddzieliły się od nas i przyłączyły do ohydneho Podstawowego Rodu i zamieszkały tam, teraz nazywa się Błotnym Labiryntem. Lecz wysokie góry należą do nas i chronimy je za pomocą takich przerażających iluzji jak Oczy w Wirach Powietrznych. A ponieważ jesteśmy Ludem Trillium i słuchamy rozkazów Białej Damy, pilnujemy także Przełęczy Vispir pomiędzy Ruwendą i Labornokiem...

Haramis zatrzymała się, śmiało spojrzała w oczy towarzysze i powiedziała z wyrzutem:

— Gdzie więc byliście, kiedy najechała nas armia króla Voltrika?

— Niestety... Pani z Noth nie zawiadomiła nas w porę o zbliżaniu się waszych wrogów, a kiedy przybyli nasi strażnicy przełęczy, moc złego czarownika przeniknęła ich iluzje. Rozkazał labornockim żołnierzom zignorować zjawy i uderzyć na osoby z krwi i kości, które je stwarzały. Najeźdźcy zabili wszystkich strażników Vispi z naszych wiosek położonych w pobliżu Przełęczy Vispir — około trzystu osób.

— Przykro mi. Nic o tym nie wiedziałam — odrzekła szczerze księżniczka. — Niewiele wieści o przebiegu inwazji dotarło do nas, do Cytadeli, gdyż najeźdźcy maszerowali niezwykle szybko, druzgocąc naszych, zanim ci zorientowali się, o co chodzi. Nawet teraz nie wiem, jaki los spotkał moich ziomków z krainy Dyleks, albo z wysuniętych na południe zamków...

Dotarli w końcu do bardzo dużej budowli, której okna świeciły w mroku, a przez ściany słychać było cichą muzykę. Kiedy Magira otworzyła drzwi, Haramis zdumiał zgromadzony tam wielki tłum Vispi. Było ich kilkuset, jedni siedzieli przy okrągłych stołach, drudzy tańczyli na otwartej przestrzeni na środku sali przy dźwiękach majestatycznej melodii.

Na przeciwległym krańcu Domu Rady znajdowało się szerokie podwyższenie. Siedzieli tam bogato odziani Vispi. Na ścianie nad nimi wisiała chorągiew z wyszytym diamentami wielkim Czarnym Trillium. Mieszkanki Movis były ubrane podobnie jak Magira, w kolorowe fałdziste suknie, nosiły też mnóstwo ozdób. Mężczyźni zaś mieli na sobie ciemnogrnatowe szaty, białe tuniki, spodnie i buty. Wysadzone drogimi kamieniami pasy, naszyjniki i bransolety były wszystkimi barwami tęczy w blasku tysięcy lampek oliwnych zawieszonych pod wysokim sufitem.

Podniosła się wielka wrzawa, kiedy Magira prowadziła księżniczkę do siedzących na podwyższeniu Vispi. Haramis poczuła zamęt w głowie i zrobiło się jej ciemno przed oczami. Zatoczyłaby się, gdyby Magira jej nie podtrzymała. Te wokalne i myślowe okrzyki! Nigdy nie przeżyła nic podobnego. Czowała, że atakują ją z zewnątrz, i wewnątrz, i choć wiedziała, że są przyjaźnie nastawieni, nie mogła tego dłużej znieść.

— Przestańcie! — mimo woli krzyknęła w myśli. Konsternacja. Cisza pełna skruchy.

— Dziękuję — powiedziała drżąc z ulgi. — Doceniam wasze powitanie, ale obawiam się, iż jeszcze nie przywykłam do sposobu, w jaki okazujecie życzliwość.

Mężczyzna o najbardziej czcigodnym wyglądzie, którego oczy nie były zielone, lecz matowobiałe, wstał z miejsca u szczytu stołu i zwrócił się do Haramis. Pojęła, że choć jest ślepy, to jednak ją dostrzega.

— Wybacz nam, droga księżniczko! Nie przestraszyliśmy cię umyślnie. Poniosła nas radość, że cię widzimy. Witam cię w imieniu wszystkich Vispi. Jestem Carimpol. Słuchacz Movis. Długo czekaliśmy na ciebie. Wiedzieliśmy, że latające nasiona trillium zaprowadzą cię do naszego miasta... jeśli starczy ci na to sił. Obserwowaliśmy cię przez cały czas, odkąd opuściłaś Noth. Widzieliśmy, jak dzielnie znosisz trudy podróży, zmęczenie i zniechęcenie. Widzieliśmy, jak przyszedł w te pokryte wiecznym śniegiem wyższe partie gór, gdzie na nic się nie zdała twa błyskotliwa inteligencja, a tylko siła woli i wytrzymałość fizyczna pozwalały ci iść dalej. Później wydawało się, że osłabłaś i nie dotrzesz do nas. Często tak się dzieje z tymi, którzy zbyt wiele czasu poświęcają na myślenie, gardząc ciałem, niezdolnym w efekcie do utrzymania przy życiu goszczącego w nim ducha. Modliliśmy się za ciebie w tej godzinie próby, tak samo jak Biała Dama. Możliwe, że to od nas zaczerpnęłaś świeżych sił i zmusiłaś swoje ciało, by służyło umysłowi, przechodząc pomyślnie tę ciężką próbę. Dotarłaś do naszej wewnętrznej granicy — i wtedy pozwolono nam cię wpuścić.

Haramis usłyszała wokół siebie życzliwe pomruki wielu dotykających jej umysłów.

— Nie mogliście pomóc mi wcześniej, ponieważ wam tego zabroniono? — zapytała ledwie dosłyszalnie.

— Tak. Dla ciebie sama podróż była przełomowa, jako najważniejsza część twoich poszukiwań.

— A czy teraz ta wędrówka już się dla mnie skończyła? Macie Trójskrzydły Krąg i dacie mi go?

— Jutro rano zaczniemy cię uczyć, jak rozkazywać wielkim ptakom, które wy, ludzie nazywacie lammergeierami. Twój talizman znajduje się w odległości kilku mil stąd, w lodowej jaskini na górze Gidris. Jeden z lammergeierów zaniesie cię tam. Nie wiem jednak, czy na tym zakończą się twoje poszukiwania. Nie wystarczy trzymać w rękę Trójskrzydły Krąg. Trzeba jeszcze pobudzić go do działania. Nie wiemy, jak tego dokonać.

— Arcymagini powiedziała mi, że mam wrócić do niej z talizmanem, kiedy już się nauczę panować nad sobą. Dodała jednak, że mój los jest ściśle złączony z losem moich sióstr i że musimy odnieść sukces wszystkie trzy albo żadna go nie odniesie. Mam więc pomagać Kadiyi i Anigel?

— Nie wiemy tego, Haramis od Czarnego Trillium. Myślę, że sama będziesz musiała o tym zdecydować.

— Jestem najstarszą z nich i zawsze brałam na siebie odpowiedzialność za moje siostry. Rozpowszechniona wśród mieszkańców bagien przepowiednia głosi, że jakaś Ruwendianka obali tron Labornoku. Wydaje się, że ja nią jestem, gdyż korona Ruwendy mnie się należy i to ja muszę wyzwolić nasz kraj.

— Lammergeier zaniesie cię tam, dokąd zechcesz się udać. Nam jednak nie wolno udzielać ci dalszych rad. Teraz, kiedy wyzdrowiałaś, możemy tylko uczcić twoje przybycie i pomóc ci ruszyć w dalszą drogę. Czy zasiądziesz z nami przy biesiadnym stole? Przez pięć dni przyjmowałaś tylko płyny, my zaś staraliśmy się przygotować potrawy, które będą smakować człowiekowi.

— Dziękuję wam — odrzekła Haramis. — Przyłączę się do was z radością.

Słuchacz Movis klasnął w dłonie.

— Niech więc przyniosą potrawy i ciasta, soczyste owoce i grzane wino! Niech gra muzyka, niech będą tańce i wesele, gdyż nasza księżniczka zbliża się do celu swej podróży, a

świat bliski jest przywrócenia odwiecznej równowagi... Chwała niech będzie Białej Damie, Władcom Powietrza, a przede wszystkim Trójjednemu Bogu!

Okrzyki radości wypełniły Dom Rady, boczne drzwi otwarły się, by wpuścić długi szereg kucharzy i ich pomocników niosących ciężkie talerze i dymiące misy. Muzykanci znów zagrali, podczas gdy obecni pośpieszyli do stołów.

Księżniczka Haramis zdjęła rękawiczki, zsunęła płaszcz i z wdzięcznością osunęła się na miejsce wskazane przez Carimpola. Magira usiadła obok niej. Haramis znów poczuła zawrót głowy i zamknęła oczy. Wydało się jej, że widzi poprzez ściany Domu Rady. Chmury opuściły się niżej, gdyż zbliżała się noc. Padał śnieg, lecz śnieżynki topniały, gdy znalazły się w ciepłym powietrzu tuż nad szczytami dachów i zamieniały się w deszcz, który najpierw kroił, a potem zacinał coraz mocniej, bijąc w szyby, jakby żądał, by go wpuszczono do środka. Poprzez plusk deszczu słyszała cichy męski głos przyzywający ją po imieniu.

Haramis otworzyła oczy. Ujrzała wokół siebie blask licznych lamp i tłum radosnych biesiadników. Nie słyszała już nic poza głosami weselących się Vispi i ich dziwnej muzyki, dźwięczącej na poły w jej uszach, na poły w myślach.

Ktoś podał jej kryształowy kielich z iskrzącym się winem. Wypiła spory łyk i spróbowała się uśmiechać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Odrażony w ten sposób czarownik był raczej rozbawiony niż rozgniewany.

— Baw się wiec ze swoimi przyjaciółmi Vispi, Haramis! Ale ja przywołam cię znowu i znowu, aż nadejdzie czas, kiedy będziesz musiała mi odpowiedzieć.

Bezpieczny w swoim legowisku na górze Brom, wokół której nadal szalała śnieżycą, Orogastus zaczął grzebać w swojej bibliotece, szukając dalszych wskazówek co do natury trzech tajemniczych talizmanów.

„Księga Przepowiedni Półwyspu” jak zawsze była jego podstawowym źródłem wiedzy. W jednej wzmiance wymieniała nazwy talizmanów, dodając, że się połączą i spowodują jakieś niezwykle wydarzenie. Inna przepowiednia, którą Orogastus znał od dawna (i dopilnował, by król Voltrik również ją poznał), otwarcie nazwała Płatki Żywego Trillium „niszczycielkami” labornockiego tronu; nic jednakże nie wskazywało na więź pomiędzy zbiegłymi księżniczkami a tajemniczymi talizmanami. Odłożywszy na bok starożytny wolumin, zaczął przeglądać swój duży zbiór magicznych i mistycznych ksiąg. Nie znalazł nic w licznych woluminach z Labornoku, nie miał też więcej szczęścia wertując nieliczne księgi z Varu i Raktum. Najstarsze źródło, inkunabuł zatytułowany „Cyklopedia Ciemnych Mocy”, którą przywiózł ze swojej dalekiej ojczyzny, Tuzamenu, zawierała krótką, podniecającą wzmiankę. Pod hasłem „Potrójny Talizman” znalazł tylko jedno zdanie: „Urządzenie o wielkiej mocy, w zamierzonych czasach ponoć powierzone Vispi przez Zaginionych”. Tak! Ale do czego służyło?

Kontynuował poszukiwania, zaglądając do ksiąg. Aż wreszcie, w cienkiej, nadgryzionej przez lingity rozprawie o tubylcach z wyspiarskiego księstwa Engi trafił na wzmiankę o wielkim Potrójnym Berle Mocy, którego mieli strzec Vispi, najstarsi z Odmieńców, póki nie nadejdzie godzina przeznaczenia. Księga zapewniała, że to Zaginieni nakazali, by ten tajemniczy przedmiot ponownie się pojawił: żaden człowiek nie wiedział, czego miałyby dokonać to Berło Mocy, pisano jednak o wstrząśnięciu podstawami świata.

— Mamy więc trzy talizmany i szukające ich trzy dziewczyny — powiedział do siebie Orogastus, zamykając ostatni wolumin i wstając od stołu.

Założywszy ręce za plecami, podszedł do okna i wpatrzył się w zadymkę. Nie rozszalała się przedwcześnie, gdyż monsuny zaczną wiać już za dziesięć dni. Nie mógł więc przypisać jej pojawienia się czarom — zwłaszcza zaś wyrządzającym szkody Vispi, którzy byli tak wielkimi przyjaciółmi Arcymagini Binah i którzy, według bazarzy, w pewnym stopniu rządzą pogodą. Burza sprawiła jednak, że musiał się śpieszyć, by zwyciężyć zbiegłe księżniczki, zanim wielkie zimowe śnieżycy uwiężą go tu, w górach.

— Trzy talizmany, poprzednio tworzące razem Berło Mocy i powierzone Vispi, teraz wszakże rozdzielone i rozproszone po Ruwendzie... I tak zwane Płatki Żywego Trillium, księżniczki, które po znalezieniu i połączeniu talizmanów mogą pobudzić do działania jakieś tajemnicze Trzy-w-Jednym...

Własne niezdecydowanie nie dawało spokoju czarownikowi. Zdawał sobie sprawę, że w grę wchodzi nie tylko przetrwanie Labornoku i jego króla, ale i jego, Orogastusa, wielkie ambicje! Czyż nie lepiej pozwolić księżniczkom żyć tak długo, aż zakończą poszukiwania? W ten sposób wszystkie trzy talizmany dostaną się w jego ręce. A może jego pierwsze, instynktowne pragnienie było właściwe: że powinien za wszelką cenę uniemożliwić księżniczkom wykonanie zleconego przez Binah zadania, gdyż tylko one mogły napęłnić mocą magiczny talizman Trzy-w-Jednym?

Więcej informacji! Potrzebował więcej informacji, zanim podejmie ostateczną decyzję.

Orogastus odwrócił się gwałtownie i wielkimi krokami podszedł do kominka, a ogień zabarwił jego białe włosy niesamowitymi refleksami. Zesztywniał, rozwarł szeroko ręce,

zamknął na chwilę oczy i wymówił zaklęcie. Kiedy uniósł powieki, w głębi jego źrenic rozbłyły gwiazdy, przy których zbladły płomienie igrające na kominku.

Przemówił w myśli do Zielonego Głosu, który przebywał w Cytadeli, rozkazując mu przeszukać bibliotekę i zdobyć wszelkie dostępne dane o talizmanach księżniczek, Żywym Trillium lub Potrójnym berle Vispi. Zielony Głos miał wziąć sobie do pomocy najinteligentniejszych pomocników, których zdoła znaleźć wśród labornockich zastępów.

— Nie wtajemniczaj w tę sprawę żadnego Ruwendianina — ostrzegł go czarownik — a pomocnikom każ dochować tajemnicy pod uroczystą przysięgą, pod karą królewskiej niełaski.

— Będę ci posłuszny, Wszechmogący Panie.

— Powiedz mi teraz, jak się wiedzie królowi Voltrikowi.

— Powraca do zdrowia — powiedział Zielony Głos. — Ucieszyła go bardzo wieść, że wróciłeś szczęśliwie do wieży i odnalazłeś trzy księżniczki z pomocą lodowego zwierciadła. Gratuluje ci, wyraża królewską aprobatę i osobiste najlepsze życzenia z nadzieją, że równie gorliwie będziesz kierował poszukiwaniami zbiegłych Ruwendianek. Rozkazał nam zanieść się do okna, żeby mógł dać swoje błogosławieństwo dwóm odpływającym w pościg oddziałom, i tego dnia po raz pierwszy zjadł pełny posiłek.

— To bardzo dobrze. A teraz melduj mi wszystko o okupacji i pacyfikacji Ruwendy.

— W Cytadeli i jej okolicach panuje spokój. Ruwendianie z klasy średniej i wolni właściciele ziemi z Pagórka Cytadeli, choć niechętnie, złożyli przysięgę lenną Labornokowi. Nie ma zorganizowanego oporu przeciw naszym rządóm. Większość ocalałych szlachciców na południu królestwa uciekła na bagna, ale nie stanowią oni poważnego zagrożenia. W tych wsiach Dyleksu, które nie zostały spalone, stoją teraz nasze garnizony, wyjątkiem są odległe enklawy Prok i Goyk. Zaczęto sprzątanie plonów i przetwarzanie żywności. Podczas pory deszczowej mogą wystąpić jej niedobory w niektórych miejscach, ale nasza armia będzie dobrze karmiona.

— To zadowalające. A co z eksportem?

— Jarmark w Treviście został ponownie otwarty. Handel lekami, korzeniami, olejkami i barwnikami spadł do poziomu jednej czwartej stanu przedwojennego. Kupcy–Mistrzowie oczekują, że wszystko wróci do normy w następnym sezonie. Handel drzewem ustał aż do końca Zimowych Deszczów. Miasto Tass, gdzie gromadzi się drewno, nie zostało zniszczone, broniący go rzemieślnicy poddali się bez walki, lecz ze sporym opóźnieniem wrócili do pracy. Duże ilości pni i kłód zgromadzone są w składach w mieście Tass i na pomocnym brzegu jeziora Wum, w pobliżu Wielkiej Grobli. Do wznowienia handlu potrzebne jest tylko przybycie karawan z Labornoku, a stanie się to wraz z nadejściem wiosennej pory suchej.

— Bardzo dobrze. — Orogastus odetchnął. — Jestem z ciebie zadowolony, mój Głosie. Za dwa dni znów odezwę się do ciebie.

— Niech się dzieje twoja wola, Wszechpotężny Panie. — Obraz Zielonego Głosu zniknął.

Orogastus zwrócił teraz na krótko swoje dalekowiedzące oko na zachód, gdzie dojrzał wielką flotyllę rzecznych łodzi dowodzoną przez generała Kamila, która płynęła pod prąd w stronę Trevisty. Nie wyteżał sił, by porozmawiać z Czerwonym Głosem. Będzie na to dość czasu, kiedy flotylla dotrze do Ciernistego Piekła. Do tej pory ustalili szlak wędrówki księżniczki Kadiyi za pomocą powtarzanego co dwa dni kontaktu z lodowym zwierciadłem i znajdzie jakiś sposób pojmania uciekinierki.

Niebieski Głos już zameldował, że podczas pierwszego dnia poszukiwań oddział księcia Antara nie natrafił na żaden ślad księżniczki Anigel. Nie było to zaskoczeniem dla Orogastusa. Księgi wyjawiały mu naturę środka lokomocji, jakim podróżowała Anigel — najwidoczniej była to nowość wprowadzona przez samą Arcymaginię Binah. Mając do dyspozycji silne rimoriki ciągnące jej dłubankę, Anigel na pewno przepląnęła już spory dystans od obsadzonej przez wrogów Cytadeli. Teraz, kiedy kończyła się dwudniowa przerwa

na odpoczynek, którego wymagało lodowe zwierciadło, odnajdzie miejsce jej pobytu i może zdoła odkryć, dokąd się udaje w poszukiwaniu swego talizmanu.

Włożywszy ceremonialne szaty i maskę, Orogastus znów przybył do jaskini Czarnego Lodu i zwrócił się do cudownego urządzenia:

— O potężne narzędzie Zaginionych, wysłuchaj mojej prośby!

Szarość w ramie zapaliła się powoli — tak bardzo powoli! Zwierciadło szepnęło ochryple:

— Odpowiadam... prośba... proszę.

A niech to piorun! Światło migotało. Może powinien był pozwolić mu na dłuższy odpoczynek po pierwszym wyczerpującym wypytywaniu. No cóż, teraz nic już na to nie poradzi. Zapyta o Anigel i na razie zostawi w spokoju jej siostry. I tak były nieosiągalne, gdy tymczasem Anigel mogła znajdować się w pobliżu księcia Antara.

— Szukaj jednej osoby tak długo, jak pozwolą ci Ciemne Moce — zaintonował Orogastus. — Ukaż na mapie lokalizację tej osoby.

— Prośba... zatwierdzona. Imię osoby. — Niesamowity głos stał się silniejszy, a wir w głębi zwierciadła przybrał prawie normalny wygląd.

— Księżniczka Anigel z Ruwendy. — Orogastus wyobraził sobie dziewczynę, a potem wstrzymał oddech.

— Szukam.

Na szarym dysku pojawiła się mapa. Nie była taka jasna, ani tak wyraźna jak ostatnim razem, ale dobre i to. Anigel znajdowała się na jeziorze Wum, bliżej zachodniego brzegu, gdzie rozciągały się Zielone Błota, w połowie drogi do miasta Tass, położonego na przeciwległym krańcu jeziora. Nie mogła płynąć gdzie indziej! Ale cóż to za szczególny cel podróży?

— Księżniczka Anigel z Ruwendy. Umiejscowienie: Sa pięćdziesiąt jeden dwa, La dwadzieścia dwa cztery na siatce Ohma.

Potem ukazał się obraz, matowy, lecz wyraźny. Ciągnięta przez rimoriki dłubanka płynęła z umiarkowaną szybkością przez gęste zarośla Zielonych Błot przy zachodnim brzegu jeziora, gdzie mali drzewni krwio pijcy, śliskie, płaskie stworzenia wielkości monety nie dawały spokoju księżniczce i Immu, jak grad spadając z liści do łódki.

— Jeśli myślisz, że ci krwio pijcy są źli — powiedziało odbicie Immu do oburzonej dziewczyny — poczekaj, aż dotrzemy do Lasu Tassaleyo!

— Aha! — zawołał z radością Orogastus. — Teraz cię mam!

— Zły rozkaz — natychmiast go zganiło lodowe zwierciadło. — Przejrzyj swój program i usuń usterki. Przerwa na ponowne naładowanie.

Nadąsało się i obraz znikł.

Lecz nie zmniejszyło to uniesienia Orogastusa. Otrzymał kluczową wskazówkę, która pozwoli mu ułożyć plan pojmania Anigel, i jego głos nappełniał echem lodową jaskinię, gdy dziękował Ciemnym Mocom.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO